
LYN STONE

*Cena
honoru*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zachodnie wybrzeże Szkocji, rok 1340

Gorycz pierwszej porażki zawsze jest taka sama. Tam na morzu, i tu na łądzie, pomyślał Henri Gillet po opuszczeniu nieszczęsnej łajby, którą przyplłynęli. Długim krokiem przedostał się przez przybrzeżne fale, sięgające mu niemal bioder.

- Zapłać temu człowiekowi, Ev - zmęczonym głosem rzucił przez ramię.

Giermek wręczył wyraźnie rozczarowanemu rybakowi małą sakiewkę z pieniędzmi i przedarł się przez pas lodowatej kipieli na skałę, na której oczekiwał go Henri.

- Gdzie jesteśmy, panie? - spytał Everand, otrząsając się z wody i dygocząc z zimna.

Wprawdzie starał się mówić spokojnie i beznamiętnie, ale Henri był pewny, że chłopiec boi się tego, co ich tu może spotkać. Prawdę powiedziawszy, sam też z niepokojem zastanawiał się nad swoim losem. Jednak przyczyna jego strachu była zupełnie inna.

Chłopiec musiał jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Henri nie był pewny, czy to, w ogóle jest możliwe. Ba, nie wiedział nawet, czy sam doży-

je następnego ranka. Całą siłą woli zmusił się, żeby wstać i chociaż trochę zapanować nad przejmującym bólem. Ciągłe krwawiąca rana tuż poniżej żeber dokuczala mu tylko odrobinę mniej niż zraniona duma. Stracił wszystko.

Gdyby zginął, byłaby to wola Boga. Skoro przeżył, będzie musiał stanąć przed groźnym obliczem ojca. W gruncie rzeczy, to mała różnica, pomyślał. Nie dlatego, że spodziewał się surowej pokuty lub nagany. Jak dotąd rodzic traktował go z miłością i zapewne będzie tak czynił dalej. Jednak to właśnie było gorsze niż jakakolwiek kara, którą mógł otrzymać. Porażka okazała się gorzka do przełknięcia.

Prawdę rzekłszy, nie było w tym jego najmniejszej winy. Zrobił wszystko, aby zapobiec klęsce. A jednak czuł się odpowiedzialny za utratę tego, co mu powierzono. Za zawiedzione zaufanie. Za śmierć tych, którzy poszli za nim na przegraną wojnę. Wszyscy zginęli, wszyscy utonęli. Z wyjątkiem młodego Everanda.

- Dobrze znam to miejsce. Możesz mi wierzyć, że na pewno nie zabłądziliśmy - zapewnił Henri młodego giermka.

Znów odezwało się w nim poczucie winy, że zabrał młodzieńca, dziecko nieledwie, tak daleko od jego rodziny w Sarcelles, na wojnę z Anglikami i doprowadził go niemal do grobu, w który zmienił się ich okręt, zatopiony w pobliżu Portsmouth.

Henri zerknął na Everanda. Czternastolatek drobił śmiesznie, żeby mu dotrzymać kroku. Wyglądał teraz jak uczeń, który pragnie zasłużyć na pochwałę swojego

mentora i nauczyciela. Henri przyjął z zadowoleniem szczere oddanie chłopca.

- Chyba powinienes nieco odpocząć, mój panie. Wszak jesteś ranny. Bardzo mnie to niepokoi - odezwał się Ev przesadnie dostojnym tonem.

Ani na moment nie dał po sobie znać, że zauważył narastające osłabienie i nierówny krok rycerza. Wierność, oddanie i współczucie były wrodzonymi cechami tego chłopca, pomyślał Henri. To właśnie dla nich wybrał na swego giermka Everanda Merciera. Mimo niewielkiego wzrostu, najmłodszy syn zmarłego kupca miał wspaniałe zadatki na rycerza.

- Całkiem niedaleko stąd jest małe sióło. Schronimy się tam i przez umyślnego wyślemy wiadomość do mojej rodziny - powiedział chłopcu.

- Nie starczy nam pieniędzy, panie, żeby wynająć kogoś do przebycia w poprzek całej Szkocji - chmurnie odparł Everand.

Henri zatrzymał się i zdjął z szyi srebrny łańcuch. Ściągnął także pierścień, który nosił na małym palcu i pokazał giermkowi.

- Posłuchaj, Ev. Jeśli nadejdzie taka chwila, że śmierć jednak mnie dopadnie, to zapłać tym łańcuchem komuś, kto zgodzi się zawieźć wiadomość do zamku Baincroft, w Midlothian. Pan zamku, lord kasztelan Robert MacBain, przekaże dalej tę nowinę, na dwór mojego ojca. Ten z kolei na pewno zajmie się i tobą. Możesz liczyć na jego pomoc i opiekę.

Everand nie spierał się o to, że śmierć rycerza raczej nie wchodzi w rachubę. Wiedział swoje. Kiwnął więc głową i zapytał:

- A co z pierścieniem, panie?

Henri uśmiechnął się i przyjacielskim ruchem położył rękę na chudym ramieniu chłopca.

- Pierścień jest dla ciebie. Powiedz lordowi Robertowi i mojemu ojcu, że jesteś moim synem.

Everand zaczerwienił się i roześmiał z wyraźnym niedowierzaniem.

- Ja, mój panie? Tylko spójrz na mnie: w przeciwieństwie do ciebie mam jasne włosy i bardzo bladą cerę. A poza tym nikt nie uwierzy, że mógłbyś być ojcem takiego cherlaka. Nie mówiąc o tym, że w odpowiednim czasie nie byłeś jeszcze na tyle dorosły i... i wysoki, żeby móc spłodzić syna..

- Dorosły i wysoki? - z rozbawieniem spytał Henri i zrobiło mu się lżej na sercu. Ev potrafił go rozśmieszyć nawet w beznadziejnej sytuacji.

Dobrze wiedział, że do wieczora jeszcze bardzo daleko, a mimo to wydało mu się, że nagle zmrok zapada, a ziemia drży aż po horyzont. Z wolna osunął się na kolana i usiadł na piętach.

- Powtórz im, co ci powiedziałem. Wyznaj wszystko. Ufam ci, że nie zataisz żadnej naszej przygody. Lord MacBain na pewno ci uwierzy. Jest dla mnie jak brat, chociaż w rzeczywistości nie mieliśmy wspólnych rodziców.

- Dobrze, panie, zrobię, jak zechcesz, lecz nie pragniesz chyba, aby twoja rodzina myślała, że jestem twoim potomkiem z nieprawego łoża - rzekł Ev znaczącym tonem.

- Oczywiście, że nie! Nie myśl, proszę, że podważam legalność twojego pochodzenia albo prawa tego, który cię

spłodził. Mam zamiar adoptować cię tu i teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. A ponieważ w myśl obowiązującego prawa, nie będziesz mógł odziedziczyć mojego tytułu, w zamian otrzymasz sporą część majątku. Zasłużyłeś sobie na nagrodę po tym wszystkim, co do tej pory dla mnie uczyniłeś.

- Z całego serca ci dziękuję, panie, myślę jednak, że jesteś zbyt hojny.

Henri z bólu przygryzł wargi.

- Niestety, boję się, że co do pewnych spraw się nie mylisz, Ev. Potrzebny mi odpoczynek. Jak będzie z resztą, jeszcze zobaczymy.

Przyłożył rękę do boku i poczuł lepką wilgoć na swej dłoni. Po jednym dniu wykrwawił się prawie na śmierć. Postanowił wydać giermkowi jeszcze jeden rozkaz. Może ostatni? Przynajmniej tak mu się zdawało teraz, kiedy czuł coraz silniejsze dreszcze rosnącej gorączki.

- Ruszaj, Ev - powiedział sztucznie rześkim głosem.
- Poszukaj wioski i znajdź jakąś podwodę dla mnie. Poczekam tu na ciebie.

Położył się na zdrowym boku i patrzył, jak drobny Everand żwawo przebierał nogami, biegnąc wzdłuż brzegu morza, w poszukiwaniu pomocy. Kiedy chłopiec oddalił się już dostatecznie, Henri wyszeptał cichą modlitwę, zamknął oczy i zapadł w kojący sen. Na jak długo? - zdążył pomyśleć, zanim zasnął.

Everand wkrótce dotarł do nadbrzeżnego lasu. Widać tu było setki rosochatych drzew, niekiedy przysadzistych i poskręcanych od stale wiejących wiatrów. Tam, gdzie

kończyła się kamienista plaża, zaczynała się gęsta piękna zielona murawa. Tu też rozpościerały się zarośla, czasem tak gęste, że nie przepuszczały do ziemi promieni słońca. W innych znów miejscach, w zielonej gęstwinie, tworzyły się jakby zacienione ścieżki, które wyobraźnia chłopca porównywała do alejek wiodących do dzikiej leśnej samotni, zamieszkaney przez piękną wróżkę albo pustelnika.

Nie widywał takich w swojej ojczyźnie. Kiedy zagłębił się nieco między drzewa, zobaczył gęstą szachownicę to jaśniejszych, to bledszych plam słonecznego światła, które nieśmiało prześwitywało przez zielony kobierzec liści.

- Ciekaw jestem, kogo tutaj zastanę - mruknął do siebie. Sam, w obcym kraju, mógł się spodziewać praktycznie wszystkiego.

Wtem cofnął się. Na pobliskiej polanie wznosił się pagórek niski, ale tak foremny, że bez wątpienia musiał być dziełem rąk ludzkich. Z wierzchu otaczał go krąg grubo ciosanych, pionowo ustawionych głazów. Były ogromne. Kilka z nich jeszcze stało, lecz wiele było przewróconych, zapewne przez pierwszych chrześcijan, którzy na wszelkie możliwe sposoby zwalczali dawne wierzenia Szkotów. Jeden z nich leżał nieco na uboczu, dotykając krawędzią wąskiej ścieżki.

Everand pochylił się nad ziemią. Tak, tym razem to rzeczywiście była ścieżka i to na pewno często używana. Widać, że wciąż ktoś po niej chadzał. Pewnie wiodła do pobliskiej wioski, zamieszkaney, jak to w Szkocji bywa, przez ni to chłopów, ni to rybaków.

Giermek westchnął z niewysłowioną ulgą. Najważniejsze, że są tu ludzie. Z obawą spojrzął na omszałe głązy i na cienie mroczną kurtyną zalegające między drzewami. Mam iść dalej? - przebiegło mu przez głowę. Zaraz jednak opuściły go wątpliwości, gdy pomyślał o swoim panu.

Przeżegnał się i zanurzył w leśną gęstwinę. Szedł szparko, nie rozglądając się na boki. W pewnej chwili wydało mu się, że zobaczył światło.

Rzeczywiście. Las rzedniał, a w oddali, za rozległą, niekoszoną łąką, zamajaczyły chaty. Everand przystanął i wyteżył wzrok. Tak, na pewno się nie mylił. Odnalazł ludzi, wieś i pomoc dla swojego rannego pana. Bystro spojrzął w prawo i lewo, lecz wciąż nie dostrzegał nikogo. Przystanął, osłonił ręką oczy, a potem wydał zdławiony okrzyk i puścił się biegiem.

- Zostaw mnie wreszcie w spokoju, utrapieńcze!

Iana przez bite pół godziny opierała się ustawicznym nagabywaniom wymizerowanego chłopca. Wcale nie miała zamiaru ulec jego prośbom, choć błagał ją o litość. Przez cały dzień była zajęta przygotowaniami do wyjazdu z Whitethistle. Nie miała czasu na nic więcej.

Podniosła nosidełko ze śpiącym niemowlęciem i kilkoma zręcznymi ruchami przymocowała je sobie do pleców. Opuściła wiadro do studni. Odczekała chwilę, aż się nappełniło wodą. Jeśli teraz upiorę szybko zapasową odzież, to przynajmniej wszystko wyschnie do wieczora, pomyślała. Skoro świt, będę mogła na dobre porzucić tę wioskę.

Energicznie pociągnęła za sznur, żeby wydobyć wiadro

ze studni. Wiedziona współczuciem, rzuciła obojętnym tonem, pozornie od niechcenia:

- Słyszałam, że niedaleko stąd mieszka uzdrowicielka. Dlaczego do niej nie pójdziesz?

Chłopak jednak nie ustępował.

- Musisz pójść ze mną, pani - powiedział, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. - W tej okolicy tylko ty jedna rozumiesz, co do ciebie mówię. Chyba że twój mąż też zna język francuski? Chodźmy doń. Wy tłumaczę mu, co się stało. Kiedy usłyszy na własne uszy to, co mam mu do powiedzenia, na pewno pozwoli ci pójść ze mną. Na dodatek będzie zadowolony, bo dostanie sowitą zapłatę.

- Nie mam męża. Nie mam też tak wiele czasu, by go marnować po próżnicy dla jakiegoś rannego włóczęgi. A teraz wyonoś się!

Dźwignęła pełne wiadro i odwróciła się, aby odejść.

- Ależ my nie jesteśmy żadnymi włóczęgami! - zawołał niemal z rozpaczą Ev. - Przysięgam na wszystkie świętości! Sir Henri umrze, jeśli w porę nie sprowadzę do niego pomocy! Proszę!

Co prawda, to prawda, pomyślała Iana. Poza nią nikt w tej zapomnianej przez Boga okolicy nie mówił po francusku. A nawet gdyby ktoś zrozumiał tego chłopca, to i tak by mu nie uwierzył. Opowieść brzmiała zbyt niewiarygodnie, a tutejsi ludzie byli przesadnie ostrożni.

Co będzie, jeśli się zgodzę i pójdę z nim na pustą plażę? - zadała sobie w duchu pytanie. Przecież może tam czekać banda rozbójników, którzy mnie ograbią lub zrobią coś gorszego.

Była całkiem pewna, że chłopiec nie jest żebrakiem. Nie wyglądał też na banitę, ściganego prawem. Widać było, że jego odzienie, choć teraz wygniecione, brudne i zniszczone, pamiętało dużo lepsze czasy. Tak piękne i bogate stroje obce były tutejszym wieśniakom. Mowa młodzieńca wskazywała na to, że otrzymał wykształcenie, a jego manieri - na dobre wychowanie.

Iana nie miała wątpliwości, że rzeczywiście mógł być giermkim jakiegoś możnego rycerza, tak jak ją o tym zapewniał.

Postawiła wiadro, wsparła się pod boki i z uwagą popatrzyła na chłopca. A co się stanie, jeśli ktoś umrze, pomyślała, bo nie poświęcę mu paru chwil swojego czasu i nie wspomogę go ziołami? Do końca życia będę miała wyrzuty sumienia.

- Jak daleko stąd do twojego rannego pana? - zapytała ostrożnie.

- Niedaleko - zapewnił ją pospiesznie.

Kłamał. Na pewno kłamał. Widziała to w jego oczach. Skarciła go ostrym spojrzeniem.

- No dobrze. - westchnął z komiczną rezygnacją. - Przyznaję. To jakieś dwie godziny drogi.

- Dwie godziny? - Iana podniosła rękę i zmęczonym ruchem przetarła lekko załzawione oczy. - Dlaczego ja? Dlaczego myślisz, że mogę go uzdrowić?

Chłopiec wziął się pod boki i przybrał pełną powagi pozę.

- Damy są po to, żeby zajmować się rannymi rycerzami, nie wspominając już o chorych i niedołącznych krewniakach. Błagam cię, milady. Przecież nie prosiłbym tak

natarczywie, gdyby mój pan nie był ciężko ranny! Trzeba mu zaszyć i opatrzyć ranę. Dobrze zapłacę!

Popatrzyła na niego chytrze.

- Słuch mnie nie myli? Naprawdę nazwałeś mnie damą? Skoro tak, to skąd wiesz, że w ogóle przyjmę jakąkolwiek zapłatę?

Jasnowłosa młodzieniec wyprostował się na całą swoją wysokość i od stóp do głów obrzucił ją przeciągłym, taksującym spojrzaniem.

- Twoje zachowanie i sposób mówienia zdradzają dobre pochodzenie, pani, mimo że suknia jest niewiele lepsza od chłopskiej sukmany - stwierdził z powagą.

Popatrzył na stojące wokoło lepianki.

- I mieszkasz tutaj - dodał z zadumą. - Jestem pewien, że popadłaś w poważne tarapaty. Ale raczej nie ze swojej winy - uzupełnił szybko.

Ostatnie słowa zdradzały, że miał wątpliwości. Ani razu nie wspomniał o dziecku. Nawet nie spojrzął w jego stronę. A przecież Iana wyraźnie powiedziała mu, że nie ma męża. Pomyślał pewnie, że zgrzeszyła z jakimś mężczyzną i że rodzina się jej wyrzekła.

W gruncie rzeczy niewiele się mylił. Nie znał jednak prawdziwej przyczyny, a ona nie miała ochoty teraz się zwierzać.

- Jeśli ci to potrzebne, mogę zapewnić, że sir Henri i ja sownie nagradzamy tych, którym jesteśmy winni wdzięczność - oznajmił poważnym tonem.

Z kilkoma monetami w sakiewce o wiele łatwiej byłoby jej opuścić tę przeklętą wioskę. To ponure i nieprzyjemne miejsce, w którym zostawił ją Newell. Nie udało

mu się złamać jej oporu. Whitethistle wydawało jej się czymś o wiele gorszym od piekła. Nie miała jednak dokąd pójść. Bywały chwile, że mało brakowało, a by się poddała.

Wiedziała jednak, że gdy ulegnie, będzie musiała oddać małą Thomasinę. Tak źle, i tak niedobrze. Newell nigdy nie zgodzi się, aby zatrzymała dziecko. Zwłaszcza po tym, co mu niedawno powiedziała. Nie mogła liczyć też na wieśniaków. Chyba rzeczywiście Bóg zesłał tego chłopca, aby ułatwić jej ucieczkę.

- Ile mi dacie? - zapytała nonszalanckim tonem, udając, że nie jest tym specjalnie zainteresowana.

Chłopiec wyciągnął srebrny łańcuch z kieszeni opończy pokrytej morską solą.

- Na przykład to - powiedział z nieukrywanym żalem.

- Co prawda, mieliśmy tym opłacić dalszą podróż na wschód, ale myślę, że byłoby bardzo niedobrze, gdyby sir Henri teraz zmarł z powodu rany. Wylecz go, pani, a przyrzekam, że w zamian otrzymasz ten łańcuch.

Oczy Iany mimo woli roziskrzyły się na widok takiego bogactwa. Mogłabym go podzielić na luźne ogniwa, pomyślała. Sprzedawałabym je po jednym. Tak. Dzięki temu co najmniej przez kilka następnych miesięcy miałyby zapewniony byt dla siebie i dla Thomasiny. Zdecydowała się więc szybko.

- Najpierw musimy wrócić do mojej chaty, żeby zabrać wszystkie potrzebne rzeczy. Wspominałeś, że to cięta rana?

Chłopiec odetchnął z ulgą.

- Raczej draśnięcie, niezbyt głębokie. Przynajmniej

tak mi powiedział sir Henry. Nałożyliśmy opatrunek, ale rana się nie zasklepiła. Utrata krwi i gorączka bardzo go osłabiły, choć jak dotąd nie widać żadnych śladów gangreny.

Skrzywił się przy ostatnich słowach.

- Jak dotąd - powtórzył znaczącym tonem.

Iana ze zrozumieniem pokiwała głową i poprowadziła go do chaty. Na szczęście nikogo z wieśniaków nie było w pobliżu. Mężczyźni wypłynęli na ryby, a kobiety zajęły się gotowaniem strawy. Nawet młodzież poszła do swoich obowiązków. To bardzo dobrze, pomyślała

Iana. Nikt nie zobaczy, że opuszczam wieś z tym młodym nieznajomym.

Niewiele czasu zabrało jej spakowanie przyborów do szycia i kilku rzeczy, których nie chciała zostawić. Thomasina obudziła się, kiedy weszli do chaty, więc Iana wyjęła ją z nosidła i nakarmiła resztką chleba i mleka. Potem posadziła ją na małym nocniczku. Chłopak wyszedł i czekał na zewnątrz.

- Hop, hop, moja słodka - wyszeptała czule do dziecka. - Hop, hop, moja mała Thomasino. Jak zwykle będziesz dzielną dziewczynką, prawda?

Szybko umyła dziecko mokrą szmatką, zmoczoną w wodzie ze studni i ubrała ją w czystą, lnianą sukienkę, jaką nosiły chłopskie dzieci.

Wielkie brązowe oczy patrzyły na nią z taką ufnością, że Iana poczuła łzy pod powiekami. Poglądziła dziewczynkę po ciemnej, lekko kędzierzawej główce.

- Nikt nigdy nas nie rozdzieli - szepnęła. - Mogę ci to obiecać. Zbyt wiele straciłaś ostatnio. Tak jak i ja. A

teraz musimy już iść, kochanie - powiedziała z głębokim westchnieniem.

Zarzuciła na plecy nosidło z dzieckiem i kilkoma drobiazgami, które stanowiły jej skromny dobytek. W ciągu ostatnich dwóch tygodni całą jej radością była wyłącznie Thomasina - słodka kruszynka.

Matka dziewczynki zmarła na chorobę płuc, chyba na gruźlicę. W ostatnich chwilach życia błagała Iana, aby opiekowała się jej dzieckiem. Mała Tam też była bliska śmierci z wycieńczenia, ale szczęśliwie nie z powodu choroby, która zabrała jej matkę.

Iana знаła zaledwie imię dziecka i wiedziała, że przed miesiącami jego matkę wygnano z wioski za jakieś przewinienie. Od tamtej pory obie żywiły się jagodami i korzonkami, Iana spotkała je w lesie, gdzie zbierała zioła. Nikt we wsi nie chciał z nią rozmawiać o matce, dziecka zaś wszyscy unikali, jakby było trędowate.

Z kolei Iana nie miała z małą prawie żadnych kłopotów - może najwyżej podczas spacerów czuła niewielki ciężar na plecach. Thomasina jadła wtedy, kiedy jeść jej dawano, pozwalała się karmić i nigdy nie płakała. Sądząc po liczbie małych ząbków, musiała mieć około dwóch lat, mimo że wyglądała na dużo mniej i nie umiała chodzić. Pierwszej nocy, kiedy Iana wzięła ją na ręce, Tam dotknęła rączką jej policzka i wydała z siebie ciche miauknięcie. Zupełnie jak mały kociak. Teraz była jej prawdziwą córką.

Iana zobaczyła, że chłopiec wchodzi do chatki.

- Płatki owsiane - powiedziała, chwytając zawiązany sznurkiem worek ze swoimi zapasami. - lekarstwo.

Podawała chłopcu dzbanek. Mocny alkohol przydawał się w równej mierze, jak i inne medykamenty pożyczone od sąsiadów.

Nikt w okolicy nie znał ziół, których Iana używała do leczenia ran i różnych chorób. Miejscowa ludność wierzyła w czary druidów i leki ze zwierzęcych wnętrzności. Tymczasem las był pełen skuteczniejszych lekarstw.

Iana wrzuciła wszystkie potrzebne zioła do torby. Jeszcze w dzieciństwie sporo się nauczyła od starej uzdrowicielki z Ochney. Gorzko żałowała teraz, że nie poświęcała wystarczająco dużo czasu na przyswojenie wiedzy.

Kilka sukien, które jej jeszcze zostały, owinęła szerokim szalem, zrobiła z tego zgrabne zawiniątko i zawiązała na gruby supeł. Postanowiła, że gdy tylko uleczy ranę nieznanego rycerza, natychmiast wyruszy w drogę do najbliższego portu w Ayr. Kilka srebrnych ogniów z łańcucha, który obiecał jej młody giermek, bez wątpienia wystarczy na opuszczenie Szkocji.

Całkiem możliwe, że popłynie na drugą wyspę, na Eire, czyli do Irlandii. Słyszała, że jest tam bardzo piękniej a ludzie są uczciwi.

Wcale nie przejmowała się tym, co los jej zgotuje, byle tylko uciec jak najdalej od Newella.

Brat zastosowałby bardziej surową karę, gdyby wiedział się, że wygnanie niczego jej nie nauczyło i że nie zmieniła zdania na temat ślubu z Douglasem Sturrockiem. Ostrzegał nawet, że ją pobije, jeżeli nie ulegnie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że to odniosłoby odwrotny skutek. Tak jakby cielesna kara mogła ją zmusić do potulno-

ści. To, co opowiadała o Newellu jego własna żona, Dorothea, świadczyło o tym, że w niedługim czasie po ślubie stał się draniem - takim samym, jakim był mąż Iany. Trudno było w to wszystko uwierzyć, ale postępowanie Newella potwierdzało słowa Dorothei.

To, co obecnie obiecywał siostrze za zgodę na ślub ze Sturrockiem, było równie kłamliwe i złudne, jak w czasie jej pierwszego małżeństwa. Poddałaby się, gdyby brat zmusił ją do ślubu i nie byłoby innego wyjścia, ale mała Tam, bezbronna sierotka, została by całkiem sama i nie wiadomo, czy by przeżyła. Nieoczekiwane spotkanie z francuskim giermkim dawało szansę na przetrwanie zarówno Thomasinie, jak i Ianie. Ta myśl dodała jej skrzydeł. Biegła tak, że chłopiec z trudem za nią nadążał.

- Mówisz zatem, że pod Portsmouth rozegrała się bitwa? - zapytała, wiedzona nagłą ciekawością. - Francuzi najechali Anglię? A tak w ogóle, to gdzie leży Portsmouth?

- Na południowym wybrzeżu, pani. Ostrzelaliśmy port i odpływaliśmy już do domu, kiedy naraz okręt zaczął nabierać wody. Dawaliśmy sygnały do najbliższej naszej jednostki, ale nie odpowiedzieli. Zanim się obejrzelśmy, okręt położył się na boku i wielu wypadło za burtę, a potem wszystko zatонуło w jednej chwili.

Everand umilkł, wziął głęboki oddech i kontynuował opowieść.

- Sir Henri został zraniony drzewcem złamanego masztu. Upadł na mnie, kiedy odwiązywał beczki umocowane na pokładzie. Myśleliśmy, że nasi ludzie będą

mogli na nich pływać, ale nikt z tego nie skorzystał. Trzydzieści osób zginęło. Tylko my wyszliśmy cało z tej katastrofy.

Iana potrząsnęła głową ze współczuciem. Nie знаła się na wojskowości i na polityce, lecz zawsze wydawało się jej, że to bezsensowne, aby tylu ludzi ginęło w krwawych walkach. Szkocja, o ile dobrze pamiętała, od zawsze sympatyzowała z Francją. Kilka lat temu, kiedy przyjaciel króla Anglii, Bailliol, przywłaszczył sobie koronę Szkocji, prawowity król Dawid znalazł bezpieczny azyl na francuskim dworze.

Tutaj, na zachodzie kraju, w gruncie rzeczy nie miało większego znaczenia, kto panował. Życie od wielu wieków płynęło ustalonym trybem. Iana nigdy nie pokochała tej okolicy; pragnęła uciec, znaleźć własne miejsce na ziemi.

Teraz nikt z zamku Ochney jej nie znajdzie. Newell przybędzie za trzy dni z pytaniem, czy zmieniła zdanie w sprawie ślubu z Douglasem Sturrockiem. Ale się zdziwi, gdy zobaczy, że zniknęłam, przebiegło jej przez głowę. Ta myśl sprawiła jej dużo radości.

Szli jeszcze jakiś czas, kiedy nagle Everand jak szalony puścił się biegiem i zawołał:

- Tutaj, tutaj leży! Chodź prędzej, pani! Pospieszmy się!

Zobaczyła, że klęknął tuż przy swoim panu, położył jego głowę na swoich kolanach i dotknął twarzy, jakby sprawdzał, czy ranny ma gorączkę.

Stała koło nich i spojrzała na mężczyznę, któremu miała pomóc. Dziwne, wyobrażała sobie, że jest dużo star-

szy. Oceniała, że ma około trzydziestu lat, może trochę więcej, ale na pewno niewiele. Był wysoki, barczysty, o ciemnej karnacji i nawet przystojny. Upływ krwi spowodował, że twarz mu poszarzała nad gęstą, krótką brodą. Gdyby stanął, sięgałyby mu pewnie do ramion. Był nieprzytomny.

- Odsuń się - powiedziała do giermka i uklękła na ziemi koło rannego. - Usiądź gdzieś z boku i postaraj się nie przeszkadzać.

Ostrożnie odwiązała nosidło i położyła dziecko za sobą, na piasku. Rozkazała chłopcu, aby go pilnował, kiedy ona będzie zajmować się jego panem. Ostrożnie odwinęła skrawek przesiąkniętego krwią materiału i rozchyliła poły rycerskiego kaftana, żeby obejrzeć ranę.

- Litościwy Boże! - szepnęła ze zgrozą, zobaczywszy zaognioną ranę.

Zawołała chłopca i kazała mu natychmiast rozpalić ognisko.

- Coś mi się zdaje, że zajmie nam to nieco więcej czasu, niż z początku myślałam.

Dobrze wiedziała, że najchętniej byłoby, gdyby zniknęła stąd w ciągu godziny. Nie mogła jednak opuścić rycerza. Co gorsza, nie powinna pracować w pośpiechu. Wszak szło o ratowanie życia. Ranny na chwilę otworzył oczy i popatrzył na nią błędnym, nieprzytomnym wzrokiem. Domyśliła się, że ma gorączkę.

- Zabierz chłopca do Baincroft. Słyszysz? Baincroft. Dam ci, cokolwiek zechcesz - wymamrotał.

Język mu się plątał. Z trudem go rozumiała.

- Mam cię zostawić w takim stanie?! Zresztą, nawet gdybym chciała, to twój młody przyjaciel na pewno by mi nie pozwolił.

Zamrugał oczami. Usta rozchyliły mu się w niepewnym uśmiechu. A może to był grymas bólu?

- Chyba masz rację - wyszeptał z trudem. Mówił cicho, ale Iana nie miała wątpliwości, że jest Francuzem.
- Bardzo dziękuję ci za pomoc.

Oczy same mu się zamknęły. Iana uśmiechnęła się gorzko.

- Może odłożyć te podziękowania na nieco później, panie - powiedziała, raczej do siebie niż do niego.

Niestety, tak się składa, że zadam ci więcej bólu, niż dotąd wycierpiałeś, pomyślała. Kiedy chłopiec wrócił z naręczem suchego drewna, znalazła hubkę i krzesiwo. Po chwili rozpałała ogień. Zakrzętnęła się przy tobołku i wyłowiła z niego małą, metalową miskę. Podała ją giermkowi.

- Nabierz tu morskiej wody - powiedziała.

Usiadła w wyczekującej pozie, z małą Thomasiną w milczeniu opartą o jej kolana.

Sir Henri z trudem uniósł ciężkie jak ołów powieki i spojrzał prosto w twarz pochylonej nad nim niewiasty. Dokładna, niczym lichwiarz liczący pieniądze, pomyślał, kiedy zdjęła mu opończę i obmywała ciało szmatką zmoczoną w morskiej wodzie, którą przyniósł Ev.

Rana go piekła jak diabli podczas mycia, lecz nie był to ból gorszy od tego, który od kilku dni stale mu towa-

rzyszyl. Henri zdobył się nawet na wąły uśmiech, kiedy dziewczyna z niepokojem spojrzała mu prosto w oczy. W ten sposób chciał jej udowodnić, że jest nadzwyczaj dzielny i cierpliwy. Takie małe niewinne oszustwo wobec pięknej kobiety. Tak naprawdę to był na wpół żywy i odepiały z bólu. Od paru dni oswoił się już z myślą o śmierci. Teraz czekało go piękne zakończenie. Bez jednego krzyku.

Spokojnie patrzył, jak z małej buteleczki wylewała mu na ranę jakiś dziwny roztwór o silnym aromacie. Nagle piekielny ból sprawił, że głośno jęknął.

- Boli, prawda? - westchnęła dziewczyna ze współczuciem. - Pewnie, że boli. Niestety, zaraz będzie jeszcze gorzej.

Henri z całej siły zacisnął zęby. Bał się, że zacznie kłać na czym świat stoi. Nie ucieszyła go perspektywa dalszych, jeszcze bardziej dotkliwych cierpień. Iana przelała płyn do drewnianego kubka. Przyłożyła naczynie do ust rannego i kazała mu upić duży łyk. Henri posłusznie przełknął nawet kilka. Doskonale zdawał sobie sprawę, że była to słynna szkocka aqua vitae. Paliła przelyk równie mocno jak ranę. Kiedyś próbował tego trunku i wiedział, że za chwilę spłynie nań błogosławione, tępe oszołomienie, a potem pijacki sen. Twardy sen, z którego może się nie obudzić.

- Zaraz zrobisz się senny - powiedziała Iana, jakby czytając w jego myślach.

Odstawiła kubek na bok i z torby wyjęła igłę długości małego palca. Przez uszko przewlekła długą i mocną nitkę.

- Na wszystkie świętości! - wyszeptał sir Henri z nieukrywaną grozą. - Naprawdę chcesz mnie tym zaszyć?

- Nic się nie martw. Jeszcze będziesz ze mnie zadowolony. - Westchnęła. - Ale to dopiero za chwilę - dodała przeprasającym tonem.

Otumanienie spowodowane alkoholem otuliło go niczym ciepły kokon. Słońce już znikало za widnokregiem. Henri widział ostatnie promienie tańczące na morskich falach. Półprzymyślny, zastanawiał się, czy zobaczy wschód. A niech tam, pomyślał, wszystko jedno.

- Czyń swoją powinność, pani - mruknął w końcu zrezygnowany.

Oczy same mu się zamknęły, choć bardzo chciał na nią popatrzeć. Z trudem rozchylił ciężkie powieki i zmusił się, by jeszcze raz spojrzeć jej w oczy. Chciał się upewnić, czy naprawdę jest taka piękna, jak mu się przedtem wydawało. Nie pomylił się.

Chociaż w życiu zwiedził niemałą część Szkocji, to nigdy jednak nie był aż tak daleko na zachodzie. Nie wiedzieć czemu, wyobrażał sobie, że mieszkają tu tylko wysokie i brzydkie kobiety o silnych rękach i wiecznie rozczochranych włosach. Potomkinie nieokielzanych wikingów i tubylców.

Ta, która klęczała przy nim, nie pasowała do tych wyobrażeń. Była bardzo urodziwa - smukła, delikatna, pełna wdzięku. Kremowa cera z lekkim rumieńcem była nieskazitelna. Wielkie ciemne oczy lśniły. Henri wyobrażał sobie, że jej włosy są jedwabście gładkie i sięgają talii. Niestety, były szczelnie zasłonięte czepkiem, co sprawiało, że nie mógł zaspokoić ciekawości.

Lekko odwrócił głowę i zobaczył Everanda. Giermek siedział ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku. Na jego kolanach kulilo się jakieś dziecko z oczami wielkimi jak orzechy włoskie. Henri zmrugał powieki, żeby lepiej widzieć". Patrzyło prosto na niego. Dziecko? Skąd się tu wzięło?

Wyglądało jak zjawa lub skrzat z zapomnianych legend, ze skrzywioną buzią, kruchym ciałkiem dziecka i oczami starca. Everand mocniej przygarnął maleństwo. Zachowanie chłopca podniosło rycerza na duchu. Na pewno dobry będzie z niego człowiek w przyszłości, pomyślał. Potem znów przeniósł spojrzenie na dziewczynę. Zastanawiało go, skąd się tu wzięła. Gorączka i zmęczenie, osłabienie i bezbronność sprawiały, że na przemian, żywił nadzieję, to znów popadał w desperację. Jednak nadzieja trzymała go przy życiu, uchwycił się więc jej kurczowo.

Znowu powoli zamknął oczy. Rad był, że obraz dziewczyny zostanie przy nim, dopóki nie straci przytomności. Bez cienia strachu, niemal z ulgą, odpływał w błogą nieświadomość.

Nagle ocknął się z rozdzierającym krzykiem.

- Boże, jak boli!

Iana szybko odsunęła igłę, żeby nie ukłuć jego gwałtownie podniesionej ręki.

- Co ty wyprawiasz? Leż spokojnie - powiedziała stanowczym tonem.

Henri spojrzał na nitkę zwisającą z brzegów otwartej rany. Cóż z tego, że nie umarł do tej pory? Piękna uzdrowicielka była na najlepszej drodze, żeby wyprawić go na tamten świat.

- Przytrzymam go - przemówił Everand głębokim głosem dorosłego, silnego niczym dąb mężczyzny.

Henri ukradkiem zerknął w jego stronę. Niewiele brakowało, żeby się roześmiał, gdy wyobraził sobie małego Everanda, próbującego utrzymać go nieruchomo. Sięgnął po kubek z whisky i wypił do dna. Wiedział, że to Uwolni go od dalszych tortur. Był już pijany, ale wciąż za słabo.

- Rób swoje - z wysiłkiem szepnął do dziewczyny. - Everand będzie mnie trzymał. Ma dużo więcej siły, niż na to wygląda.

Dobrze wiedział, że musi leżeć nieruchomo. Nie chciał, żeby Ev wyszedł na samochwałę. W końcu choć jeden z nich musiał zachować resztki godności przed piękną nieznaną. Niestety, sam wyszedłem na głupca i słabeusza, smętnie pomyślał Henri.

Po dłuższym czasie Iana powiedziała:

- Zrobione.

Henri poczuł w ustach krew. Zbyt mocno przygryzał wargi. Szybko odwrócił się i splunął, gdy tylko Ev uwolnił mu rękę.

Znów zobaczył to nieziemskie dziecko. Siedziało nieruchomo na piasku i ssało palec. Spoglądało na Henriego wielkimi i smutnymi oczami. Może czekało, aż dusza opuści grzeszne ciało rycerza?

Henri jeszcze nigdy w życiu nie zemdlął. Teraz pomyślał jednak, że to dobry moment, aby choć na chwilę zapomnieć o zmartwieniach. Ból ogromnie mu dokuczał - rozrywał go niczym pazury dzikiego zwierzęcia. Dziewczyna otarła mu twarz mokrym i przyjemnie chłodnym kawałkiem tkaniny.

- Spróbuj teraz zasnąć - powiedziała nieznoszącym sprzeciwu tonem. - Niedługo wrócę i spróbujemy przenieść cię w bezpieczne i suche miejsce.

- Będę żył? - zapytał słabo.

Szczerze mówiąc, miał co do tego wątpliwości. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest poważnie chory. Gorączka złaapała go przed dwoma dniami, a w ostatnich godzinach zaczęła majaczyć.

Iana, niewiele myśląc, powiedziała:

- Nie wiem. Różne rzeczy mogą się jeszcze zdarzyć. Ze swojej strony zrobiłam wszystko, co tylko dało się zrobić. Reszta zależy od ciebie. I od Boga.

Henri wziął ją za rękę i uściśnął jej długie, szczupłe palce.

- Na razie nas nie opuścisz? - zapytał z nadzieją w głosie.

Zmarszczyła brwi. Jej niezdecydowanie zmieniło się w rezygnację.

- Nie. Śpij spokojnie, panie. Zostanę przy tobie. Twój giermek obiecał mi srebrny łańcuch za dobrą opiekę.

Oferta brzmiała: nad żywym lub umarłym - dodał Henri, pamiętając własne słowa.

- Wiesz co? Najlepiej będzie, jak zostaniesz naszą przewodniczką. Zaprowadź mnie do mojego brata. - Wydało się mu, że dziewczyna nie zamierza się na to zgodzić. Dodał więc szybko: - Obiecał ci srebrny łańcuch? To za dużo za chwilę szycia i parę łyków paskudnej whisky. Bądźże uczciwa!

Iana w milczeniu rozważała jego słowa, a potem ski-

nęła głową, spakowała swoje manatki do torby i zawiązała rzemienie.

- Jeśli przeżyjesz, otoczę cię dobrą opieką, dopóki nie wyzdrowiejesz. Jeśli zaś umrzesz, to starannie oblepię cię gliną i dostarczę tam, gdzie chcesz być pochowany. Twój giermek pokaże mi drogę.

Henri usłyszał, że Ev coś powiedział natarczywym, protestującym tonem. Odwrócił się więc do niego i rzekł przesadnie głośno:

- Idźcie na wschód i przekroczcie Firth of Clyde. Po przejściu przez góry, zapytajcie o drogę do Baincroft lub zamku Trouville.

- Niech i tak będzie - zgodziła się Iana .

Wysunęła rękę z jego dłoni i wstała.

- Chwileczkę, pani - wychrypiął Henri. - Jeśli można, to chciałbym przynajmniej poznać twoje imię.

Popatrzyła na niego przez ramię i po chwili zastanowienia powiedziała:

- Iana . Z Ayr.

- Wolnego stanu? - dopytywał się dalej, chociaż jej odpowiedź niczego by nie zmieniła.

Chciał tylko wiedzieć, czy przypadkiem nie będą ści-gani przez jej rozgniewanych krewnych. Żał by mu było stracić tak piękną uzdrowicielkę.

- Wolna? - zapytała zdziwiona.

A kiedy tak na nią patrzył, w jej wielkich, pięknych oczach zamigotały niebezpieczne błyski.

- Tak, jestem wolna! - powiedziała z nieukrywaną dumą. - Wolna jak skowronek. Taką chcę pozostać aż do końca życia. Nie obawiaj się, mój dobry panie, z pewno-

ścią zaprowadzę cię do miejsca zwanego Baincroft. Liczę na to, że twoja rodzina da mi godną pracę.

Henri zasnął, uspokojony myślą, że Everand mimo wszystko znajdzie się w dobrych rękach.

Scan-dalouis

ROZDZIAŁ DRUGI

Iana wytłumaczyła chłopcu, jak ma się zajmować małą Thomasiną i po chwili zniknęła w ciemnościach. Ostrzegła go, że los jego pana zależy od dobrej opieki nad dzieckiem. Zdziwiło ją, że nie oponował, i było jej trochę wstyd, iż nie powiedziała mu całej prawdy. Nienawidziła kłamstwa.

Nie kłamała, gdy na pytanie rycerza odparła, że jest wolna. Przecież to właśnie on, darując jej srebrny łańcuch i czyniąc ją opiekunką i przewodniczką, umożliwił jej ucieczkę i odzyskanie swobody. Nie musiał wiedzieć, że dopiero dzięki temu wyrwała się z niewoli.

Niestety, utrata krwi i gorączka mogły na niego spowodować śmierć. Chyba że wypije dużo naparu z ziół i przez kilka dni, zanim na dobre wyruszymy w podróż, będzie przebywał w cieple, pomyślała. Ciężko wędrować z nieboszczykiem, nie mówiąc o tym, że brat rycerza na pewno by się nie ucieszył z takiej niespodzianki. W dodatku pozostawał giermek. Iana serdecznie polubiła chłopca za to, że był oddany panu i opiekuńczy dla małej Tam. Wcale nie chciała, żeby wpadł w rozpacz, a na pewno tak by się stało, zważywszy jego szczere przywiązanie do rycerza.

Nie mogła zabrać ich do chaty, chociaż znajdowała się ona na samym skraju wioski. Ktoś mógłby ich zauważyć. Lepiej nie myśleć, co by się stało, gdyby wieść o tym, że przyjmuje obcych, dotarła do uszu Newella. Na pewno by jej tego nie darował i ukarał co najmniej chłostą. Poza tym, wkrótce miał się zjawić po odpowiedź w sprawie małżeństwa ze Sturrockiem. Pozostały im zaledwie trzy dni, aby zniknąć.

Zatem najlepsza będzie jaskinia, zdecydowała Iana . Wiedziała, gdzie znajduje się taka, która by się do tego nadawała. Wybrała ją, planując ucieczkę. Kłopot w tym, że rannego trzeba przenieść. Henri nie będzie w stanie zrobić nawet jednego kroku, a ona nie miała własnego konia. Pozostawała zatem kradzież.

Konia? A może trzech? Właściwie to wszystko jedno. Wina ta sama. Przynajmniej będę wiedzieć, za co mnie wieszają, uznała Iana . Nie wyobrażała sobie wędrówki przez Szkocję, z dzieckiem na plecach i rannym na noszach. To nie mogło się udać nawet z pomocą dzielnego Everanda.

Najbliższa wieś leżała w odległości co najmniej sześciu mil od Whitethistle. Iana znała ją bardzo dobrze, bo była położona na dobrach należących do jej zmarłego męża, zramolałego starca, od którego przez dwa lata małżeństwa nie doświadczyła niczego dobrego.

Kuzyni ze strony męża, niemal tuż po jego śmierci, zabrali jej biżuterię i wszelkie kosztowności, wraz z całym posagiem, który wniosła do małżeństwa. Doszła do wniosku, że dwaj synowie jego pierwszej żony są jej coś niecoś winni. W ich stajni powinny stać przynajmniej trzy dobre

wierzchowce, które pozwolą odbyć szybką i bezpieczną podróż.

Iana uniosła spódnicę i przyspieszyła kroku. Co mnie właściwie zmusza do tych szaleńczych poczynań? - zadała sobie w duchu pytanie, chociaż знаła odpowiedź. Zamierzała uciec z tego przekłętą miejsca, zanim na dobre zbraknie jej odwagi.

Henri otworzył oczy. Na niebie nie dostrzegł ani gwiazd, ani księżyca. Otaczały go głębokie ciemności. Pomyślał, że umarł i znalazł się po tamtej stronie, lecz w tym momencie dał o sobie znać dojmujący ból i Henri uzmysłowił sobie, że pozostał w świecie żywych. Poczuł, że jest czymś przykryty. Dobiegło go chrapanie Everanda i ciche parskanie koni. Czyżby znaleźli się w stajni?

- Ev? - wyszeptał.

Chłodna, drobna kobieca dłoń dotknęła jego skroni.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał po chwili.

- W jaskini - odpowiedziała kojącym, melodyjnym głosem. Potem wsunęła mu do ust świeżą wierzbową gałązkę.

- Pożuj to, a szybciej zaśniesz i spadnie ci gorączka.

Kora była bardzo niesmaczna, ale nie miał powodu wątpić w rady Iany. Jak do tej pory spisała się bez zarzutu. Henri posłusznie zgniótł zębami gałązkę, po czym wypluł gorzkie resztki.

- Wyjdziemy stąd z samego rana - powiedział stanowczym tonem.

- Patrzcie go, jaki niecierpliwy! - roześmiała się Iana .

- Obawiam się, że minie co najmniej dzień lub dwa, za-

nim będziesz miał dość siły do podróży, mój szlachetny panie.

- W dużo gorszych warunkach przepłynąłem wzdłuż brzegów całej Anglii. Nie sądzę, aby kilka dni, spędzonych na końskim grzbiecie, okazało się groźne dla mojego zdrowia czy nawet życia.

- Zrobisz, jak będziesz chciał, ale teraz musisz spać, by odzyskać siły. Sen to najlepsze lekarstwo, panie.

- Henri, mów do mnie Henri - wyszeptał, szukając jej ręki, a gdy znalazł, splótł swoje palce z jej palcami. Nabral przekonania, że w obecności Iany może czuć się bezpiecznie. Zapadł w spokojny sen.

Gdy się ocknął, powtórzył, jakby wracając do przerwanej rozmowy.

- Mam na imię Henri.

Nagle zdał sobie sprawę, że postąpił wbrew utartym zwyczajom i zarazem własnym zasadom. Nawet jego kochanki nie zwracały się doń po imieniu. Nigdy nie pozwalała niewiastom na taką poufałość. To nie było dobrze widziane, a on sam nie dostrzegał takiej potrzeby.

Zapewne Iana myślała, że jest prostym rycerzem. Nic dziwnego, przecież jeszcze na długo przed podróżą poinstruował Everarida, aby nie tytułował go „milordem”, ani tym bardziej „jego lordowską mością”. Wolał być zwykłym rycerzem wśród towarzyszy broni niż spadkobiercą dynastii Trouville’ów. Dzięki temu o wiele łatwiej zawierał przyjaźnie i bratał się z tymi, którymi dowodził. Uśmiechnął się w ciemnościach na myśl, że zapragnął zbliżyć się do tej urodziwej młodej kobiety, która ocaliła mu życie.

- Jestem Iana - przypomniała melodyjnym głosem.
 - To akurat pamiętam. Iana - powtórzył, z przyjemnością wymawiając jej imię. - Twój ojciec pewnie miał na imię Ian. Dobrze się domyśliłem?

- Mój dziadek - odparła. Wyraźnie słyszał śmiech w jej głosie.

- Znałem jednego Iana - powiedział cicho, gdyż zmęczenie znowu dało znać o sobie. - Niezłe było z niego ziółko!

Roześmiała się perliście.

- Lepiej teraz odpocznij, Henri - poradziła.

Ból powoli ustępował. Chłód jej ręki sprawiał, że Henri odniósł wrażenie, że gorączka spada.

- Czary - westchnął i uśmiechnął się.

Wyobrażał sobie, że słyszy bijące równym rytmem serce pięknej dziewczyny. A może to było jego własne serce?

Koń zarżał, a Ev we śnie przeciwko czemuś protestował. Po raz pierwszy od wielu tygodni Henri poczuł się na tyle dobrze, żeby spokojnie zasnąć, nie myśląc o śmierci.

- To twoje konie, pani? - spytał półgłosem Everand.

Delikatnie pogłaskał łeb i szyję najmniejszego wierzchowca. Klacz usiłowała go uszczypnąć.

Iana kiwnęła głową.

- Teraz tak.

Chłopak uśmiechnął się szeroko, pokazując równe i białe zęby.

- Ukradłaś je, prawda? Wczoraj wieczorem wróciłaś

bardzo późno, właściwe była noc. Od razu wiedziałem, że coś się za tym kryje. Zabiłaś kogoś, żeby je zdobyć?

- Oczywiście! - potaknęła energicznie, zadowolona, że chłopiec dał się nabrać. Mocno przytrzymała prowizoryczną uzdę, zrobioną z kawałka sznura, tak by koń mógł napić się wody ze strumienia. - Tak naprawdę, to zostawiłam właścicielom kawałek srebrnego łańcucha jako zapłatę.

Swobodną ręką uderzyła w sakiewkę przyczepioną do pasa. Z przyjemnością usłyszała, jak brzęknęła dźwięcznie.

- W pewnej chwili przyszło mi do głowy, że nie mogę być zwykłą złodziejką. To nie uchodzi.

- Aha. - Everand potwierdził ten fakt ze stoickim spokojem. - Honorowa dusza. Szczerze podziwiam to w kobietach.

Przemiana chłopca w dżentelmena i znów w chłopca, ciągle dziwiła Ianę. Trudno było się nie uśmiechnąć, słuchając jego napuszonej mowy.

- Ile właściwie masz lat, Everand?

- Czternaście wiosen. A ty, pani?

- Nie powinienes pytać kobiet o wiek. Nie wypada, ale tym razem ci odpowiem. Dwadzieścia dwa.

Zrobił zdziwioną minę. Szybko obrzucił Ianę taksującym spojrzeniem.

- Klnę się na wszystkich świętych w niebie! Myślałem, że nie więcej niż jakieś siedemnaście! Dobrze wyglądasz jak na swoje lata.

Iana nie potrafiła ukryć rozbawienia.

- Niepoprawny pochlebca. Uwielbiam to u mężczyzn

- stwierdziła, parafrazując jego wcześniejszy komplement. - A teraz chodź, musimy ukryć konie w jaskini. Ktoś mógłby je tutaj zobaczyć, a ja jakoś nie mam ochoty zawisnąć na szubienicy.

- Przecież zapłaciłaś za nie o wiele więcej, niż są rzeczywiście warte! - zaperzył się Ev. - Czego się więc obawiasz?

Iana odwróciła się, szarpnęła wodze i skierowała się z końmi do kryjówki.

- Tak, ale pamiętaj, że nie pytałam właścicieli, czy mogę je zabrać. A jeśli wcale nie chcieli ich sprzedawać? Dość gadania. Lepiej się pospiesz, bo w każdej chwili twój pan może się obudzić. Nie będzie wiedział, gdzie nas szukać.

Everand zatrzymał się, żeby napelnić wodą drewniane wiadro, które Iana wzięła ze stajni razem z końmi. Poniósł je w jednej ręce, a drugą prowadził kłacz.

- Dwadzieścia dwa, tak? - powtórzył i pokiwał głową.
- Mówiłaś wcześniej, że nie masz męża. Nie zamierzałaś kiedyś wyjść za mąż, pani? - zapytał nagle.

Zachowywał się, jakby wciąż nie chciał przyjąć do świadomości obecności dziecka, które teraz spokojnie drzemało w nosidłach na plecach Iany. A przecież ubiegłej nocy sam zajmował się Thomasiną.

- Nie. Nigdy nie chciałam męża, lecz mimo to wbrew sobie musiałam zostać czyjąś żoną - oschle odpowiedziała Iana .

Wprawdzie nie zamierzała kłamać, lecz nie miała najmniejszej ochoty zwierzać się chłopcu z całej ponurej historii. Gdyby wiedział o wszystkim, zwłaszcza o planach

jej brata, z pewnością powiedziała by o tym swemu panu. Na pewno zrobiły to w dobrej wierze. Tylko że wtedy rycerz mógłby dojść do wniosku, że lepiej byłoby odprawić Ianą, by w tej trudnej sytuacji nie narobić sobie dodatkowych kłopotów.

- Mój mąż zmarł w zeszłym roku i nie chcę więcej o tym rozmawiać.

- Aha - pokiwał głową Ev. - Zatem zostałeś wdową - dorzucił domyślnie. - Biedna pani. Powinnaś znowu wyjść za mąż, lecz tym razem za kogoś, kto naprawdę o ciebie zadba i zajmie się przyszłością dziecka - dodał, po raz pierwszy zupełnie otwarcie mówiąc o Thomasinie.

Pewnie pomyślał, że Duncan, jej mąż, był ojcem dziewczynki, uznała Iana. To dobrze, tym sposobem będzie mógł o wiele łatwiej zaakceptować jej obecność.

- Nie twoja sprawa - burknęła gniewnie. - lepiej już bądź cicho, bo cię wytargam za uszy.

- Ho, ho! Co za odwaga! Diabeł, nie kobieta! - zahuczał swoim „dorosłym” głosem Everand. - To też bardzo lubię u ciebie, pani - dodał.

Cóż to za napuszony kurczak! Iana, która do tej pory nie miała do czynienia z chłopcami odbywającymi służbę u rycerza, z westchnieniem potrząsnęła głową. Nawet gdy znaleźli się znów w jaskini, nie ochłonęła jeszcze ze zdumienia.

Dobrze wybrała kryjówkę. Wielka grota sięgała daleko w głąb góry, lecz wejście do niej było tak ciasne, że z trudem mogli się przez nie przedostać. W środku jaskinia rozszerzała się jednak na tyle, że można tam było umieścić konie. Dalej był znów wąski skalny prze-

smyk, a za nim - następne pomieszczenie, o połowę mniejsze od poprzedniego, ale na tyle duże, że mogli spać w nim ludzie. Tu właśnie odpoczywał rycerz i mała Thomasina.

Iana postanowiła nie rozpalać ognia. Nie wiedziała, czy w skalnych załomach nie ma jakiejś szczeliny. Uchodzący na zewnątrz dym na pewno zdradziłby ich obecność. Jedynym źródłem światła w części, w której obecnie przebywali, była lampka oliwna, którą Iana zabrała ze swojej chaty. Nie wiedziała, co poczną, kiedy cała oliwa się wypali.

Nie zgasiła lampki przed wyjściem, aby pod ich nieobecność rycerz nie zastanawiał się, co się z nim stało.

- Woda, jagody i płatki owsiane - oznajmiła obu swoim podopiecznym.

Sir Henri właśnie z trudem zwlókł się z posłania i po raz pierwszy od czasu choroby chwiejnie stanął na nogach. Oparł się o ścianę jaskini, bo w pierwszej chwili zakręciło mu się w głowie.

- To chyba wszystko, co mamy na dziś do Jedzenia - dodała Iana .

Wzrok rycerza utkwiony był w Thomasinie, która niepewnie wyglądała zza ramienia Iany. Dziewczyna na próżno czekała, żeby coś powiedział. Henri wyglądał już znacznie lepiej, lecz w jego bystrych oczach czaiła się niechęć, zmieszana z obawą. Iana poczuła, że Thomasina czym prędzej schowała główkę i przytuliła się do jej pleców.

- Dlaczego nie możemy kupić jakiejś porządniejszej stawy? - zapytał giermek i usiadł koło swojego posłania.

- Przecież masz srebro, a twoja wioska znajduje się całkiem niedaleko!

Iana westchnęła ciężko. I jak tu, bez podania prawdziwej przyczyny, przekonać ich, że nadal muszą się ukrywać? Gdyby była naprawdę wolna, mogłaby znaleźć odpowiedni transport i kupić prowiant na drogę. A tak, wciąż musiała kręcić i mijać się z prawdą.

Rycerz spodziewał się, że w zamian za srebrny łańcuch, który podarował Ianie, ułatwi im ona bezpieczną podróż do Baincroft. Na pewno nie chciałby narażać się na przykrości z powodu kobiety uciekającej przed własnym bratem. Wszyscy mieliby mnóstwo kłopotów, gdyby Newell schwycił ich razem. Iana musiałaby oddać cenny łańcuch - lub to, co z niego by jeszcze pozostało - i poddać się woli brata. A wtedy Newell bez wątplenia zmusiłby ją do ślubu, tym samym podpisując wyrok śmierci na Thomasinę.

Mam im powiedzieć prawdę? - zadała sobie w duchu pytanie, zajęta przygotowaniem stawy. Mogłaby przecież sprzedać konie i pójść dalej swoją drogą. Wiedziała jednak, że właściciele będą szukać skradzionych zwierząt. Wszak mieli pełne prawo podejrzewać, że złodziej będzie chciał je sprzedać albo ukryć. Kobiet złodziejek było mało, więc każdy by ją zapamiętał i doniósł o tym tam, gdzie trzeba, na przykład Newellowi. Nie, zdecydowała Iana. Choćby dla własnego dobra muszę zostać z rycerzem i jego przemądrzałym giermkim. To najlepsza osłona. Newell zapewne będzie szukał samotnej kobiety, przemycającej obrzeżami.

Henri i Everand wciąż na nią spoglądali, jakby czekali

na odpowiedź. Iana zdecydowała się, że powie im półprawdę. Powinnam zagrać na ich uczuciach, uznała. Powinnością prawego rycerza jest obrona słabszych.

- Pewien okrutny człowiek chce mnie przymusić do małżeństwa. Jeżeli zniknę, to może o mnie zapomni. Jeśli jakimś sposobem dowie się, że mam trochę srebra, będzie mnie ścigał aż na koniec świata.

Newell na pewno by tak postąpił. A Douglas Sturrock? Bardzo możliwe. Nawet prawdopodobne.

Na dobrą sprawę dotąd nie wiedziała, co Newell mu obiecał w zamian za małżeństwo. Iana straciła już przecież cnotę i - we własnym mniemaniu - urodę, a pierwszy mąż, Duncan, odebrał jej nawet ziemię, którą mu wniosła w posagu.

Ani rycerz, ani jego giermek nie odezwali się ani słowem. Po prostu patrzyli na nią, czekając, co im jeszcze powie.

- Choćby dlatego teraz tkwimy tutaj, a nie w mojej chacie - dodała Iana tonem wyjaśnienia. - Gdyby ów człowiek albo któryś z jego popleczników zobaczył mnie razem z wami, nie wątpię, że doszłoby do najgorszego. Za nic w świecie nie stanę przed ołtarzem z kimś, kto po ślubie będzie mnie źle traktował. No i jest jeszcze dziecko.

Umilkła na krótką chwilę.

- A co do was... - dodała półgłosem. - Naprawdę nie chciałabym narazić was na kłopoty, nie mówiąc o tym, że nie wybaczyłabym sobie, gdybyście doznali krzywdy. Oto dlaczego się ukrywamy.

Henri wyglądał na zmieszanego. Poprawił się na swoim

miejscu i powiedział coś, czego Iana zupełnie się nie spodziewała.

- Pani, człowiek, o którym nam powiadasz, do niczego cię jeszcze nie zmusił. Skądinąd wiem, że w myśl tujejszego prawa nikt nie może skłonić niewiasty do ślubu wbrew jej woli.

- Tak, to prawda - odparła - ale jest wiele różnych sposobów, żeby na dobre złamać czyjś opór. Zwłaszcza gdy chodzi o kobietę.

- Zdarza się, że mężowie źle traktują żony. Pod tym względem całkowicie się z tobą zgadzam - westchnął Henri. Rozmyślał przez chwilę, zanim zapytał: - Dlaczego martwisz się o dziecko? Przecież rodzina zmarłego męża nie pozwoliłaby mu zrobić krzywdy. Nie dopuściliby do wojny klanów.

- To nie jest dziecko mojego męża - odpowiedziała i umilkła, nie dodając nic więcej.

- Ach! Zatem... - Henri zająknął się i zakasłał głośno, jakby nagle zabrakło mu odpowiedniego słowa.

- Zatem czyje? - wypalił Ev bez większego zastanowienia.

Iana spojrzała w bok i odrzekła:

- Thomasina jest moja!

- W takim razie co byś zrobiła, gdyby nie złączył nas przypadek? - zagadnął rycerz. - Przecież nie miałaś pretekstu do ucieczki!

To było dobre pytanie. Iana skrzywiła się z niechęcią.

- Może potulnie poddałabym się woli mojego prześladowcy?

Everand roześmiał się na całe gardło. Z rozmachem uderzył ręką o kolano i powiedział:

- Na święty nigdy!

- Co masz na myśli, Ev? - spytał sir Henri.

Giermek odwrócił się do swojego pana, wskazał ręką na Ianę i wdał się w dłuższe objaśnienia, wypowiedane wszechwiedzącym, niemal protekcjonalnym tonem:

- Oto niewiasta, która niedawno pochowała męża i wybrała samotne życie w lepiance, pomiędzy wieśniakami. Teraz z kolei, na własną rękę, łamie wszelkie inne zasady. Nocuje w dziczy z dwoma mężczyznami i kradnie konie śpiącym chłopom. Czyżbyś naprawdę chciał uwierzyć, panie, że taka dzielna i niezależna białogłowa da się wziąć w jasyr jakiemuś leniowi, który do tej pory nie zdołał pozyskać jej względów?

Skrzyżował chude ręce na piersi, wyzywająco spojrział na Ianę i dodał poważnie:

- Wątpię, by to co nam powiedziała, w pełni odpowiadało prawdzie.

Iana spostrzegła, że rycerz starał się nie roześmiać.

- Jak powiedziałeś? W dziczy? I z dwoma mężczyznami? - powtórzył. - Tak, tak. Masz rację. Myślę, że to dobrze świadczy o jej uporze i odwadze. Słusznie powiadasz, że jest dzielna. A teraz jedz swoje jagody i trochę panuj nad językiem i wyobraźnią.

Chłopiec posłuchał rady, choć w dalszym ciągu miał minę mędrka, który zjadł wszystkie rozumy.

- Wygląda na to, że się lepiej czujesz, panie - powiedziała Iana, zdecydowana za wszelką cenę jak najszybciej zmienić temat rozmowy. - Jak tam twoja rana?

Henri lekko dotknął opatrunku, na którym nie było już plam świeżej krwi.

- Wciąż boli, ale chyba powoli się goi - odparł. - Po tak długim śnie czuję się dużo lepiej. Za pozwoleniem, jeszcze raz chciałem ci podziękować za opiekę i za to, że z nami zostałeś.

Iana odmierzyła garść płatków do metalowego garnka i zalała je wodą, żeby nieco zmiękły.

- Czekaj nas długa droga - przypomniała. - A za opiekę przydałoby się trochę więcej niż srebrny łańcuch - dodała, siląc się na zuchwałość.

Henri zrobił taką minę, jakby chciał przestrzec Iana przed zbytnią chciwością. Po chwili przekonał się jednak, że pochopnie posądził ją o interesowność.

- Panie, znajdziesz mi pracę w miejscu, do którego zdążamy? Wszak mógłbyś szepnąć słówko swojemu bratu, kasztelanowi Baincroft, o moich umiejętnościach.

- Mówiąc szczerze, nie łączą nas więzy krwi. Nasi rodzice, wdowiec i wdowa, pobrali się, gdy byliśmy dziećmi. Wychowaliśmy się razem, a Robert stał się dla mnie kimś więcej niż bratem. Na pewno znajdzie dom dla ciebie i dla dziecka, skoro takie jest twoje życzenie.

Oby tylko udało mi się dostać na drugą stronę Szkocji, pomyślała Iana. Newellowi nigdy nie wpadnie do głowy, żeby szukać mnie tak daleko.

- Obiecuję, panie, że dasz mi pracę, bo na razie nie mam niczego oprócz łańcucha, który mi ofiarowałaś, a i on zaledwie na jakiś czas zapewni utrzymanie mnie i dziecku.

- Przysięgam, że poproszę brata o zajęcie dla ciebie. Jeśli się okaże, że ma już w swoich włościach znachora lub znachorkę, to sam cię zatrudnię! Wierz mi!

- A w jakim charakterze? - zapytała.

Brat Henriego piastował godność kasztelana, a to oznaczało, że on sam był młodszy i zdobywał majątek mieczem. Ostatnio, w roli najemnika, sprzymierzył się z Francuzami. Tacy ludzie nie marnowali pieniędzy na dobre uczynki.

Everand zachichotał pod nosem. Rozśmieszyło go podejrzenie, że miejscem pracy Iany będzie łożnica. Rycerz stanowczym ruchem położył mu rękę na ramieniu i nie pozwolił na wypowiedzenie tej myśli na głos.

- Cokolwiek zechcesz - powiedział sir Henri trochę zdziwiony tym dopytywaniem. - Pod tym względem masz wolny wybór. Chyba nie wyglądam na kogoś, kto mógłby zaproponować ci coś nieprzyzwoitego?

Iana nie dała się zwieść tym zapewnieniom. Żadnemu mężczyźnie - obojętnie, czy chłop, czy szlachcic - nie można było zbyt ufać, co do tego była przekonana. Niestety, jej własne doświadczenia w całej rozciągłości potwierdzały tę znaną prawdę.

- Tak czy inaczej, teraz nie mógłbyś na mnie nastawać. Kto jednak mi zareczy, co się stanie, kiedy wyzdrowiejesz? Chciałabym wiedzieć, czy mnie nie oddasz któremuś ze swoich ludzi, niezależnie od jego stanu i majątku. Powtarzam: znajdź mi, panie, uczciwą pracę. Winnym przypadku będę zmuszona nazwać cię człowiekiem bez zasad, czci i wiary. Wtedy to ty się będziesz wstydził, a nie ja.

Spostrzegła, że Henri gwałtownie poczerwieniał ze złości i skarciła się w duchu za swój niewyparzony język. Teraz już na pewno mnie tu zostawi, pomyślała. Skruszona i zrozpaczona, natychmiast spuściła z tonu.

- Tylko błagam, nie obrażaj się na mnie, panie.

- Skończ wreszcie to głupie gadanie! - rzekł podniesionym głosem. - Możesz być pewna, że nie mam co do ciebie żadnych zamiarów, pani. Wyraźnie widzę, że jesteś damą albo nią byłaś - dodał z nutką przekory w głosie. - Zapewniam cię, że nie musisz się mnie obawiać.

- A co ze źrebakiem?

Wskazała na Everanda. Chłopiec poderwał jasną głowę, Iana spostrzegła takie zdziwienie w jego oczach, że przestała się bać się afrontów z jego strony. Może poczuł się obrażony, że nazwała go źrebakiem?

Spostrzegła dziwny grymas na ustach rycerza, jakby usiłował powstrzymać uśmiech. Udało mu się pohamować. Przybrał poważny wyraz twarzy i odparł:

- Everand bez wątpienia nie będzie cię napastował. Jako mój syn może robić jedynie to, co mu każę.

- Syn? - spytali jednocześnie Iana i Ev.

- Syn - głośno potwierdził Henri i spojrzał chłopcu prosto w oczy. - Już zapomniałeś? Powiedziałem ci, że jesteś moim synem. Wszak nosisz mój sygnet. Dlaczego mi nie wierzysz?

- No. Przecież jeszcze nie umierasz, panie - odrzekł cicho i niepewnie Everand.

- Chyba tym lepiej. Czyżbyś chciał po raz drugi w ciągu roku zostać sierotą?

Everand odetchnął głęboko, usiadł prosto jak świeca i machinalnie obrócił złoty pierścień na środkowym palcu.

- Uf - wyrwało mu się z głębi piersi. - Klnę się na Boga, że nie przywykłem jeszcze do tego wszystkiego. Bardzo przepraszam, panie ojcze!

- Nic się nie stało. A teraz obiecaj damie, że będziesz chronił jej cześć i honor, by przypadkiem nie pomyślała, że chodzą ci po głowie niestosowne myśli.

Everand odwrócił się i padł na kolana przed Ianą.

- Solennie ci oświadczam, pani, że z mojej strony nie musisz niczego się obawiać.

- Doprawdy, moja wdzięczność nie ma granic, Everandzie - odpowiedziała, zachowując powagę, choć sytuacja była dość humorystyczna.

- Znakomicie - spokojnie oznajmił Ev i z powrotem usiadł koło rycerza. Wziął garść jagód i dodał swoim napuszonym tonem: - Tak czy inaczej, nie mam zwyczaju zlegać z dziewczynami, które sobie tego nie życzą.

Sir Henri dostał nagłego ataku kaszlu, a Iana roześmiała się serdecznie. Everand z kamienną twarzą zajadał jagody. Po chwili i on uśmiechnął się pod nosem.

Jak to dobrze, że los postawił na mojej drodze tych dwóch, pomyślała Iana. Nie bała się rycerza. Teraz, kiedy był osłabiony, obroniłaby się przed nim bez trudu. A potem? Pewnie także by mu umknęła. Był tak wielki, że nie wyglądał na zbytnio zwinnego. Musiała jednak przyznać, że jest bardzo przystojny i ma poczucie humoru. Chłopak, którego polubiła mimo skłonności do wymądrzania się, jeszcze na tyle nie dorósł, by musiała się lękać, że będzie na nią nastawał.



Jeśli o nią chodzi, to więcej nie chciała mieć do czynienia z mężczyznami. Przekląty James Duncan skutecznie wyleczył ją z chęci dzielenia życia z mężczyzną - ze ślubem i bez ślubu. Na szczęście, teraz nie musiała już się o to martwić. Była naprawdę wolna. Już na zawsze wyrwała się spod ręki brata i jego protegowanych.

scan-dalouis

ROZDZIAŁ TRZECI

Henri całe popołudnie poświęcił na ćwiczenia. Chciał się przekonać, do jakiego stopnia choroba pozbawiła go sił, a także popracować nad kondycją. Zamierzał szczęśliwie dotrzeć do domu wraz ze swymi podopiecznymi - giermkim, dzieckiem i dziewczyną. Po drodze mogli napotkać różne przeszkody i niebezpieczeństwa.

Zmęczony, wreszcie usiadł, opierając się plecami o ścianę jaskini, żeby odpocząć. Rano nie miał temperatury. Wkrótce okazało się, że się przeforsował, i gorączka wróciła.

Iana nie była tym zachwycona, ale zajęła się nim równie troskliwie jak poprzednio.

Na usta cisnęły mu się pytania związane z jej przeszłością. Dlaczego mieszkała we wsi? Co porabiała przedtem? Nie miał jednak odwagi, żeby szczerze z nią o tym porozmawiać. Nie zapytał też, kto jest ojcem dziecka. Jeżeli pochodziło z nieprawego łoża, to nic dziwnego, że rodzina się jej wyrzekła, nie mówiąc już o zmarłym mężu. A może umarł ze zgrzyoty? Tak czy owak, to mogło być powodem jej wygnania i nędznej egzystencji.

A właściwie co cię to obchodzi? - skarcił się w duchu Henri. Nie masz innych zmartwień? Wolał uznać, że Iana jest damą.

Uratowała mnie, więc powinienem być jej wdzięczny, a jej dawne grzechy czy pozycja społeczna nie mają nic do rzeczy, powiedział sobie. Iana opiekowała się mną bez zarzutu i w zupełności jestem z niej zadowolony. Może z wyjątkiem tych chwil, kiedy kazała mu rozgryzać gałązkę wierzby.

- Wierzba zmniejsza gorączkę, a także dobrze działa na sen - tłumaczyła mu po raz kolejny Iana . - Szczerze mówiąc, zdumiewa mnie twój szybki powrót do zdrowia, panie.

- A co jeszcze możesz zrobić, żebym na dobre wyzdrowiał? - zapytał.

- Być może znajdę coś, co zmniejszy twoje dolegliwości.

Podawała mu drewniany kubek z wodą zmieszaną z jakimś proszkiem.

- Wypij to, kiedy skończysz żuć korę. Zaraz zaśniesz - obiecała Iana , a potem zwróciła się do giermka: - Ty też połóż się spać.

- Dlaczego? Przecież nie jestem ranny - zaprotestował niezadowolony Everand.

- Nie zapominaj, że powinniśmy wcześniej wstać. A poza tym czeka nas daleka droga. Musimy porządnie wypocząć.

Opuścili jaskinię grubo przed świtem i zagłębili się w mrok nocy. Henri starał się nie myśleć o bólu w boku, chociaż jazda na rozkołysanym, tęgawym wałachu temu nie sprzyjała.

Iana zaleciła im milczeć, ale on uważał, że o tej porze

ludzie jeszcze śpią i na pewno nikt ich nie usłyszy. W słabym świetle księżyca ledwo było widać leśną ścieżkę, musieli więc bardzo uważać, aby nie wpaść na drzewo. Henri poradził im, by zasłaniaли twarze rękami tam, gdzie nisko wiszące gałęzie mogły je podrapać.

- Myślisz, panie, że jej prześladowca rzuci się za nami w pogoń, kiedy odkryje, że nie ma jej we wsi? - spytał cicho Everand, podążający w ślad za Henriem - Nie jesteśmy dostatecznie uzbrojeni, aby odeprzeć napastników.

- Cóż. Moim zdaniem będzie jej szukał. Na jego miejscu tak samo bym postąpił. To doprawdy niezwykła kobieta.

Stłumiony chichot Everanda wywołał uśmiech na twarzy rycerza. Chłopiec dopiero od niedawna zaczął wykazywać zainteresowanie płcią piękną, ale, jak na razie, jego uwagi były nieco gruboskórne i pozbawione wdzięku.

- Co zrobimy, jeśli rzeczywiście do tego dojdzie? - dopytywał się Ev.

- Podejmiemy walkę i damy Ianie czas, by mogła uciec wraz dzieckiem. Zachowałem swój sztylet, a ty?

- Mój jest niewiele większy od kuchennego noża! - gorączkował się Everand.

- Przecież wiesz, jak go używać nie tylko przy stole - zauważył Henri. - Ostrze to ostrze, a ty chyba już zdążyłeś się nauczyć, do czego może się przydać.

- Ciszej - napomniała ich Iana. - Słysząc was stąd aż do morza.

Henri zastanawiał się, czy usłyszała, że nazwał ją nie-

zwykłą. Nie miał się czego wstydzić. Powiedział na głos to, co naprawdę myślał. Pomijając urodę, podziwiał jej zmysł praktyczny. Jak na niewiastę była pełna pomysłów i inwencji. Nie poddała się, kiedy została sama ze słabowitym dzieckiem. Umiała wykorzystać każdą okazję, aby choć trochę poprawić swoją egzystencję. Henri był zadowolony, że mógł jej pomóc. Z niechęcią myślał o tym, co by się stało, gdyby nadal była zdana tylko na siebie i pozbawiona opieki. Na samotne kobiety czyhało wiele niebezpieczeństw, a Iana nie mogła się wiecznie ukrywać. Poza tym, musiała z czegoś żyć, nakarmić siebie i dziecko. Już zaplanował, że w przyszłości będzie miała wszystko, co potrzebne do wygodnego życia.

Zaciągnął wobec Iany dług wdzięczności. Wiedział, że gdyby mu nie pomogła, nie opatrzyła krwawiącej rany, nie zadbała o obniżenie gorączki, to dziś, zamiast wdychać rześkie powietrze poranka, gniłby w piachu, zakopany gdzieś w pobliżu plaży. Na dodatek znalazła schronienie, w którym mógł bezpiecznie dojść do siebie, sprowadziła konie, zgodziła się towarzyszyć im aż do Baincroft i pielęgnować go podczas podróży.

Ciekaw był, kim jest Iana ? Uznał, że musi pochodzić ze szlacheckiego rodu. Żaden chłop nie mówi tak biegle po francusku. Wielu szlachciców też miało z tym spore trudności. Dobór słów i sposób wysławiania świadczyły o tym, że otrzymała staranne wykształcenie.

Z jej zachowania można było wnosić, że kiedyś zajmowała wysoką pozycję w społeczeństwie, wystarczająco ważną, aby rozkazywać - i wymagać spełnienia wyda-

nych poleceń. To mogło świadczyć o tym, że jednak miała męża, dwór i służbę, którymi rządziła.

Jeśli jednak popatrzeć na to inaczej, to równie dobrze mogła być aktorką albo komediantką w jakiejś małej trupie i tylko z obserwacji znać dobre obyczaje i dworską etykietę. Podczas wędrówek po grodach i siołach praktycznie całej Europy mogła też nauczyć się francuskiego. Taki tryb życia tłumaczyłby obecność dziecka. Może nie miała męża, lecz była kochanką jakiegoś kasztelana, rycerza lub lorda? Zaszła z nim w ciążę, a on ją później porzucił?

Henri doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że pewnie nigdy nie dowie się prawdy. Po tym, co Iana dla niego zrobiła, musiał jej przyznać prawo do sekretów. Jednak przez całą drogę ciekawość nie dawała mu spokoju.

Wędrówka zdawała się nie mieć końca. Henri od dawna nie dosiadał konia, ponieważ od wielu miesięcy żeglował i miał pod stopami pokład okrętu. Świeża, niezagojona rana nie pozwalała o sobie zapomnieć, a w dodatku bolało go całe ciało, nieprzywykłe do jazdy na oklep. Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że jest mu obojętnej czy Iana kłamała, czy nie. Teraz już pragnął tylko jednego - by wreszcie zarządziła postój.

Wiedziony dumą nie zniżył się do prośby. Wkrótce skęcili nad rwący strumień. Och, jak cudownie byłoby na chwilę wyciągnąć się na trawie, pomyślał Henri, poczuć na skórze chłodny dotyk wody i zmyć morską sól z ciała i ubrania.

- Trzeba zatrzymać się na popas - powiedział półgłosem, kiedy ledwo mógł oddychać ze zmęczenia. - Musimy napoić konie.

Iana z zatroskaną miną odwróciła się szybko w jego stronę.

- Znowu krwawisz?

Henri miał szczerą ochotę przytaknąć. Prawdę mówiąc, nie krwawił, ale całkiem opadł z sił i marzył tylko o jednym: żeby zsiąść z konia.

- Nie - rzucił krótko i zatrzymał wałacha, zanim Iana zdążyła zaprotestować.

Zsunął się z konia i natychmiast chwycił się końskiej grzywy, żeby nie upaść. Nogi miał jak z waty. Zerknął na Ianę i zauważył z cichą satysfakcją, że ona też z trudem się porusza. Dobrze trzymała się na koniu, co było jeszcze jednym dowodem na to, że nie jest prostą wieśniaczką. Można jednak było zauważyć, że tak jak on, wyszła z wprawy.

- Mogłaś też ukraść siodła - powiedział pół żartem, pół serio.

Ev od razu podbiegł w ich stronę, żeby wziąć Ianę w obronę:

- Dobrze przynajmniej, że zabrała uzdy. Gdyby nie to, mielibyśmy tylko kawałek sznura albo powróż z trawy.

- Chodźmy tędy - zarządziła Iana, puszczając mimo uszu te uwagi.

Kulejąc trochę, poprowadziła konia przez las na małą polanę nad strumieniem.

- Odpoczniemy tu krótką chwilę.

Dlaczego tak się spieszyła? Jeszcze jedna tajemnica. Niedoszły mąż - jeżeli rzeczywiście istniał - na pewno potrzebował czasu, aby dowiedzieć się, że zniknęła.

Wyruszyli w drogę w środku nocy, a teraz dochodziło południe, sądząc z tego, że słońce stało wysoko na niebie.

- Trzeba poczekać, aż słońce znajdzie się w zenicie, bo inaczej łatwo możemy zmylić drogę.

- Tak? No dobrze - zgodziła się niechętnie. - Usiądź, przygotuję nam coś do jedzenia.

Odwiązała chustę z ramion i posadziła dziecko na trawie. Pozostało nieruchome, niczym zwierzątko, które instynktownie chce się wtopić w otoczenie.

Iana postanowiła się rozejrzeć. Ruszyła przed siebie, omijając wystające z ziemi liczne kamienie. Wkrótce dotarła do niewielkiego wzgórza, porośniętego sękatymi sosnami. Nie zamierzała zbyt się oddalać, aby nie tracić z oczu dziecka. Jazda bardzo ją wyczerpała, lecz nie zamierzała skarżyć się przy towarzyszach podróży. Wołała znosić trudy jazdy w milczeniu, a teraz zapragnęła pobyc trochę w samotności.

Nagle usłyszała szum wody. Zatem płynie tutaj jeszcze jeden strumyk, pomyślała. Poszła kawałek dalej. Strumień był węższy niż ten, nad którym się zatrzymali, ale woda wydawała się bardziej przejrzysta. Widać wypływał z jakiegoś podziemnego źródła.

Iana postanowiła skorzystać z okazji i trochę się umyć - a przynajmniej splukać z siebie pył drogi. Szum wartko rwącej wody był tak głośny, że nie słyszała nawet własnych kroków.

Z ulgą obmyła twarz i ręce. Zimna woda orzeźwiła ją i sprawiła, że na chwilę zapomniała o troskach i zmęczeniu. Zaraz jednak przyszła jej na myśl Thomasina. Prędko

wyjęła z fałdów sukni niewielki skrawek materiału. Pospiesznie osuszyła policzki i czoło, a potem, gnana niepokojem, zawróciła do obozowiska.

Zwolniła kroku dopiero wtedy, gdy ujrzała wyciągniętą na ziemi, barczystą postać rycerza.

Henri przez chwilę z niepokojem patrzył na dziewczynkę. Odpowiedziała mu ciężkim spojrzeniem wielkich brązowych oczu. Ani razu nie odwróciła główki.

- Jak się nazywasz? - zagadnął cicho.

- Na imię ma Thomasina. Czasami wołam na nią Tam lub Tami - natychmiast odpowiedziała Iana . - Nie umie mówić - dodała.

- Może jest chora? - zapytał, patrząc na wystające żebra i zapadnięty brzusek dziecka. Nawet ciemne i kędzierzawe włoski wydawały się cienkie i rzadkie. - Nie grymasi podczas jedzenia? Ma apetyt?

Krótki potwierdzający pomruk był jedyną odpowiedzią, Iana wyjęła resztki prowiantu i zajęła się przygotowaniem posiłku.

Co w zasadzie miała na myśli? - zastanawiał się Henri. To, że dziecko było chore, czy że dobrze jadło?

- No, Tam - rzekł półgłosem, delikatnie dotykając dziewczynki. - Muszę przyznać, że jesteś bardzo, bardzo grzeczna.

Thomasina zignorowała tę zaczepkę, ale po chwili rozchyliła usta, jakby coś chciała powiedzieć. Za moment jednak opuściła główkę i zaczęła ssać paluszek. Henri lubił dzieci, choć nieczęsto miał z nimi do czynienia. Na dobrą sprawę najlepiej pamiętał swoją młodszą siostrę, ale to było dobre szesnaście lat temu.

Zamyślił się. Alys była zupełnie inna niż Thomasina. Dobrze pamiętał, że miała aż trzy opiekunki zajmujące się nią na zmianę. Do dzisiaj słyszał jej rozdzierające wrzaski. Krzyczała za każdym razem, kiedy coś jej się nie spodobało. Uśmiechnął się do tych dalekich i drogich mu wspomnień.

Iana podała mu miskę z przygotowaną dlań porcją strawy. Znowu jagody i płatki owsiane, chociaż o wiele mniej niż wczoraj wieczorem.

- A może złowię rybę? - zaproponował.

- Niby na co? - westchnęła z wyraźnym pobłażaniem.

- A jeśli nawet jakimś cudem naprawdę ci się to uda, to jak ją zjemy? Na surowo? Nie wolno nam rozpalać ognia. To za duże ryzyko.

- Dlaczego? - ze zdziwieniem wtrącił Ev, uprzedzając pytanie rycerza.

- Bo... - zająknęła się - bo ktoś mógłby zauważyć dym. Przyszedłby tutaj i zapytał, kim jesteśmy i co robimy. Nie zapominaj, że chociaż zostawiłam garść srebra na zapłatę, i tak mogą nas powiesić za kradzież koni.

Henri domyślił się, że nie tylko z tego powodu Iana pragnie jak najszybciej niezauważona opuścić tę okolicę. Był pewny, że przed czymś lub kimś ucieka.

- Obronię cię przed prześladowcą - zapewnił ją zupełnie szczerze. - Jeżeli nas w ogóle znajdzie - dodał z powątpiewaniem.

Roześmiała się i posłała mu kpiące spojrzenie. Wyraźnie nie wzięła na serio jego deklaracji. Nie przypominał sobie, aby ktokolwiek śmiał wątpić w jego słowa. Ubodło go to do żywego. Czyżby wskutek osłabienia w oczach tej

kobiety przestałem być męznym rycerzem? - zadał sobie w duchu pytanie, zagniewany.

Wyciągnął z buta długi, ostry sztylet.

- Mam broń - rzekł.

- Nikt od niego nie włada lepiej tym ostrzem, pani - z przekonaniem poparł go Everand.

Iana zbladła na widok sztyletu. Za wiele walk i zbyt dużo cierpień widziała w swoim młodym życiu. Przesuwała ręką po twarzy, jakby chciała odpędzić złe myśli.

- Nawet sztylet nie daje pewności zwycięstwa - powiedziała tonem ostrzeżenia. - Co poczniesz, jeśli twój przeciwnik zechce użyć miecza? O ile wiem, cieszy się opinią dobrego szermierza.

Miecza? Zatem człowiek, który ją prześladował, był rycerzem lub szlachcicem, pomyślał Henri. Jakoś zupełnie go to nie zdziwiło.

- Jeszcze nikt nigdy nie pokonał mnie w uczciwej walce - rzekł urażony.

W duchu dodał, że ostatnio, w nierównym pojedynku, zwyciężyło morze. Kto jednak wygrał z żywiołem?

Powoli wsunął nóż z powrotem za cholewę ciasno wiązanego buta. Przez chwilę pustym wzrokiem spoglądał w przestrzeń. Wspominał utraconą załogę okrętu. Zginęli wszyscy, którzy służyli pod jego dowództwem. Ciężko westchnął.

Nagle poczuł małe paluszki. To dziecko chwyciło go za rękę.

- Tam? - szepnął z niedowierzaniem i zerknął w dół. Tak, to naprawdę była Thomasina.

Uniósł głowę i z niepokojem popatrzył na Ianę. Zauwa-

żył, że miała łzy w oczach, lecz uśmiechała się do dziecka. To nie miało żadnego sensu, zresztą jak wszystko, co mu się przydarzyło, odkąd przypląnął z Francji.

Po chwili Iana wzięła małą i posadziła ją sobie na kolanach. Henri z namysłem obserwował, jak zabrała się do karmienia.

- Jak ktoś mógłby nie polubić takiego widoku? - mruknął Henri, kiedy posiłek Tam dobiegł końca. Potem wskazał na swoją porcję. - Nie cierpię płatków - oznajmił, z nieukrywaną niechęcią patrząc prosto w miskę. - To chyba jedyna rzecz w całej Szkocji, której po prostu nie znoszę. Wszyscy jedzą płatki owsiane. Kiedy patrzę na suchy owies, to czuję się tak, jakbym był koniem.

Ku jego zdziwieniu Iana roześmiała się zupełnie szczerze.

- Zatem zrób tak jak ja i dolej trochę wody - powiedziała, wskazując na pobliski strumyk.

Henri wzdrygnął się i znowu spojrział w miskę.

- Żeby wyszła z tego jakaś ohydna packa?

- Moim zdaniem, płatki są przede wszystkim po to, żeby zapełnić nimi czyjś pusty żołądek, a nie po to by smakowały - odparła Iana .

Henri nabrał nieco wody do miski.

- Trochę błota na okrasę. *Voilà*. Prawdziwa ucztą.

Z obrzydzeniem nabrał trochę strawy i skrzywił się niechętnie.

Iana zachichotała jak niesforna dziewczynka. Szybko zakryła usta dłonią. Oczy błyszczały jej z uciechy. Były piękne, brązowe i klarowne niczym najlepsze piwo. I równie zwodnicze.

Henri zastanawiał się, co by tu powiedzieć. Jakie głupstwo palnąć, żeby znowu usłyszeć śmiech dziewczyny. Nagle zrobiło mu się radośnie i lekko na sercu.

Ile to lat upłynęło od czasu, kiedy jakaś kobieta sprawiła, że czuł się naprawdę szczęśliwy? Stanowczo zbyt wiele. Uśmiechnął się, zapominając nagle o bólu w boku i smaku ohydnych płatków.

W tym samym momencie zauważył, że Everand obrzuca go badawczym spojrzeniem. Chłopak stał nad strumieniem, obok koni, które chciwie piły wodę. Przyglądał się Henriemu ze zmarszczonymi brwiami, a potem zerknął na Ianę. Niespodziewanie rzucił lejce i pobiegł w głąb lasu.

Zazdrość. Henri westchnął i z rezygnacją pokiwał głową. Stare zielonookie monstrum. Nie wiedział tylko, czy chłopiec jest zazdrosny o Ianę, czy o niego? Everand był jego pomocnikiem i druhem. Henri uratował mu życie podczas bitwy morskiej, a potem Ev pomógł swemu panu opuścić tonący statek i dopłynąć do brzegu.

Tak czy inaczej, teraz nie było czasu na niesnaski. Mieli przed sobą długą drogę.

Iana była ogromnie rada, że mała Thomasina wyraźnie się ośmieliła. Zamiast leżeć czy siedzieć tam, gdzie ją położono lub posadzono, odważyła się na samodzielne kroki. Z własnej woli przybliżyła się do Henriego, który nie uczynił żadnego zachęcającego gestu. Faktem jest, że również nie zaprotestował. Czyżby przyzwyczaił się do obecności dziecka? Na to, by je polubił, było przecież stanowczo za wcześnie.

Gdy wreszcie zjedli i odpoczęli trochę, Iana poleciła im niezwłocznie dosiąść koni. Wkrótce udali się w dalszą drogę. Kierowali się ciągle na wschód, jadąc brzegiem strumienia. Mając wodę pod bokiem, nie musieli dodatkowo obciążać wierzchowców bukłakami, mogli więc podróżować szybciej. Iana nie wiedziała, ile czasu zabierze im wędrówka do miejsca zwanego Baincroft

- Popatrzcie, widać dym - niespodziewanie odezwał się Everand.

Rzeczywiście ponad gęstym lasem unosiło się kilka cienkich smug siwego dymu.

- To z pewnością wioska - orzekł Henri, mimo że na razie nie było widać chałup. - Możemy się zatrzymać, aby odpocząć, a nawet przenocować.

- Nie - gwałtownie zaprotestowała Iana .

Nie chciała pokazywać się komukolwiek we wsi na wypadek, gdyby Newell tu dotarł i o nią wypytywał. Mógłby domyślić się, dokąd podążają.

- Lepiej jedźmy dalej. Na pewno boją się obcych i nie okażą nam przychylności. A ty, mój panie, możesz wzbudzić niezdrową ciekawość.

- Niby dlaczego? - spytał Henri, urażony.

- Nikt cię tutaj nie zna, a poza tym nie wyglądasz na zwykłego podróżnego.

Popatrzył na nią z lekkim niedowierzaniem.

- Przecież wiesz, że musimy zdobyć pożywienie. Choćby mleko dla dziecka. Nie możemy wciąż żywić się jagodami. Twoja owsianka też prawie już się skończyła.

Nie umiała temu zaprzeczyć. Dorośli mogli długo wytrzymać bez jedzenia, ale nie dziecko.

- No cóż, dobrze, lecz wy dwaj musicie pozostać w ukryciu. Sama wybiorę się do wsi i spróbuję zdobyć coś do jedzenia.

- Weź dziecko - pospieszył z radą Everand. - Nie będą ci mogli odmówić. Thomasina wygląda tak, jakby dawno niczego nie miała w ustach.

Rzeczywiście tak było. Iana westchnęła z głębi piersi. Biedna mała. I tak nieco przytyła od czasu, kiedy zabrała ją od umierającej matki i się nią zaopiekowała. Ale o tym, niestety, nie mogła im powiedzieć.

- Spętajcie konie - rozkazała Iana. - Pójdę naprzód i zobaczę, co da się zrobić.

Zgodzili się, chociaż Henri nie miał zbytnio zadowolonej miny. Iana wiedziała, że bardziej uraził go jej ton niż słowa. Nie wyglądał na kogoś, kto przywykł do słuchania rozkazów - zwłaszcza gdy ów rozkaz padał z ust kobiety.

- Uważaj na siebie - rzekł nadąsany - i głośno krzycz, gdybyś znalazła się w niebezpieczeństwie.

Co on w ogóle sobie wyobraża? Że w razie czego będzie mnie ratować? - pomyślała Iana. On, który sam ledwie trzyma się na nogach?

Podeszła bliżej i delikatnie dotknęła jego twarzy. Uśmiechnął się, biorąc to za pieszczotę.

- Dobrze przynajmniej, że już nie gorączkujesz - powiedziała. Henri poczuł się rozczarowany. - Idź, połóż się na brzegu strumienia i poproś swojego giermka, aby przygotował ci coś do picia. Lekarstwo jest tutaj.

Podalała mu małą sakiewkę z kawałkami wierzbowej kory. Henri skrzywił się, biorąc ją do ręki, lecz zaraz potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Iana ruszyła przez las w kierunku wsi. Gdy odeszła na pewną odległość, przykłękała, wyjęła z torby srebrny łańcuch i za pomocą noża i dużego kamienia odłupała następane ogniwo. Resztę skarbu ukryła w fałdach sukni.

Szkockie wsie były na ogół otoczone licznymi pagórkami i rozległymi wrzosowiskami. Tutaj jednak było zupełnie inaczej. Wysoki las kładł się łagodnym cieniem na murawie. Promienie słońca z trudem przebijały się przez gęste listowie drzew i krzewów, więc nie grzały zbyt mocno. Wokoło panowała cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu donośnym charakterystycznym stukaniem dziecięcia, chrapliwym krzykiem innych leśnych ptaków i poszumem wiatru w pokrytych gęstym igliwem gałęziach świerków i sosen.

Tak samo jednak, jak i w całym kraju, cała okolica miała charakter górzysty. Za jednym niskim wzgórzem, które pokonała Iana, wznosiło się następne. Rzadko rozrzucone skrawki płaskiej równiny od dawna zajęte były przez chłopów pod uprawę.

Najbardziej jednak dziwił dziewczynę spokój tego zakątka, tworzącego swoiste uroczysko. Wydawać by się mogło, że w pobliżu nie ma żadnych ludzkich osiedli. Kiedy spojrzała w górę, nad sobą ujrzała wierzchołki strzelistych drzew i prześwitujące pomiędzy nimi błękitne niebo.

Iana przez chwilę cieszyła się swoją samotnością. Choć dawniej lubiła przebywać wśród ludzi, to splot wydarzeń sprawił, że zaczęła stronić od świata. Zwłaszcza takiego, w którym słowo mężczyzny było najwyższym prawem. Marzyła o tym, aby znaleźć swoje miejsce na ziemi

i w życiu - pracę, która pozwoliłaby jej egzystować, i najmniej, ale własny dach nad głową, gdzie mogłaby w spokoju wypocząć. Czy to wygórowane pragnienia? Okazało się, że w jej sytuacji zdecydowanie tak. Jak dotąd, nie udało się spełnić marzeń. A teraz, uciekając, wcale nie była bliższa ich realizacji.

Znów pomyślała o Irlandii, zielonej wyspie, ponoć słabo zaludnionej..Tam przynajmniej byłaby poza zasięgiem okrutnego, bezwzględnego brata. W portowych miastach Szkocji roilo się od ludzi przybyłych przez morza z najdalszych zakątków Europy. Ostatnio docierali nawet na pustkowia - choćby tak jak Everand i Henri.

Dzikie zakątki Szkocji straciły swój dawny charakter. Wędrując przez las w poszukiwaniu ziół lub - tak jak teraz - idąc do wsi po jakieś skromne jadlo, samotna dziewczyna nie musiała obawiać się dzikich bestii. O wiele gorsi byli ludzie. Zwierząt po prostu brakowało. Nawet dobry myśliwy musiał nieraz przez cały dzień uganiać się po pagórkach, zanim coś upolował. Najczęściej jego łupem padał jakiś drobiazg. Lisy podchodziły pod ludzkie osiedla. Tak, pomyślała Iana . Nie tylko ja mam swoje powody, żeby z rezerwą odnosić się do ludzi.

Gdy dotarła do wsi, zgodnie z jej przypuszczeniem, mieszkańcy odnieśli się do niej z dużą podejrzliwością. Popatrywali na Ianę nieufnie i choć nie wypyтали, co samotna dziewczyna z dzieckiem porabia na tym pustkowi, domyślała się, że jej obecność co najmniej ich dziwi. Ciekawe, jakby zareagowali, gdyby miała przy sobie cudzoziemskiego rycerza i giermka? Na pewno nie wyniknęłyby z tego nic dobrego.

Dopiero po długich błaganiach o litość, zdołała napęlić sakwę chlebem nie pierwszej świeżości, odrobiną sera i oczywiście płatkami owsianymi. Jej opowieść, że jest biedną, samotną wdową z dzieckiem, u nikogo nie wywołała współczucia. Dopiero gdy wyciągnęła srebrne ogniwo z łańcucha, dostała skórzany bukłak, wypełniony kozim mlekiem.

Jakiś chłop, zapewne z wioskowej starszyny, popatrzył na Ianę z niedowierzaniem, gdy płaciła srebrem za prowiant. Opowiedziała więc bajeczkę o tym, jak znalazła srebrne kółko między rzeczami zmarłego męża. Dodała przy tym, że odłożyła je na czarną godzinę.

Kiedy tylko dostała to, czego potrzebowała, umknęła między drzewa, ale w przeciwną stronę do tej, z której przyszła. Szła bardzo szybko i ciągle patrzyła za siebie, obawiając się pogoni. Szerokim łukiem okrążyła wieś i wróciła do obozowiska.

- I jak? Udało się? - zapytał giermek na jej widok.

- A jakże - odpowiedziała. Wręczyła mu worek i skórzany bukłak z mlekiem. - Byli niezwykle hojni - dodała z przekąsem.

- To znaczy, że dostałaś więcej płatków owsianych? - spytał Henri z komiczną miną.

Iana zaśmiała się, ale zaraz spoważniała, kiedy spostrzegła, co miał na sobie.

- Gdzie się podziało twoje odzienie?! - zawołała bezceremonialnie, lecz w mig zrozumiała swój nietakt. - Przeziębisz się jak amen w pacierzu, panie.

Henri nieco ciaśniej owinął się wystrzępionym pledem.

- Odzienie? Uprane i suszy się na krzaku - powiedział tonem wyjaśnienia. - Wolne od morskiej soli i zapachu potu. Tak jak i ja, nareszcie.

Iana odwróciła wzrok, nie chcąc patrzeć na potężne i harmonijnie umięśnione ciało. Nigdy przedtem nie widziała tak postawnego mężczyzny.

Giermek miał mokre włosy, ale na szczęście był już ubrany.

- Nie macie za grosz rozsądku - orzekła Iana z wyraźnym wyrzutem i usiadła na brzegu strumienia.
- Tylko nie miejcie do mnie pretensji, gdy się rozchorujecie.

- Przecież jest sam środek lata - obruszył się Henri.
- W dodatku zrobiło się ciepło, a poza tym po raz pierwszy od tygodnia czuję, że nie mam gorączki.

- A co z twoją raną?
- Przed kąpielą zdjąłem opatrunek. Rana nie krwawi, a założone przez ciebie szwy trzymają bardzo mocno. Odchylił koc, żeby jej pokazać zasklepioną ranę. Iana

natychmiast odwróciła wzrok, ale zdążyła zauważyć, że intymne części ciała Henn okrył kawałkiem materiału. Nie umiała sobie wytłumaczyć, co jej się stało, że z taką ciekawością podgląda mężczyznę, którego przecież prawie nie zna. Nie powinna być wścibska nawet wobec przyjaciół, nie wspominając o tym, że miała wszystkich mężczyzn powyżej uszu!

- Okryj się zaraz, bo ciągnie od wody! - poleciła, udając gniew.

Potraktowała go jak nieznośne dziecko, lecz w gruncie rzeczy była zła wyłącznie na siebie. Zignorowała Everan-

da, który przyglądał im się z ciekawością, i zajęła się zapasami żywności. Wspólnie usiedli na brzegu strumienia.

Iana z wyraźną ulgą zdjęła Thomasinę z pleców. Henri delikatnie odebrał jej małą i posadził ją sobie na okrytych kocem kolanach.

- Jesteś głodna, *cherie*? - odezwał się cichym i łagodnym tonem, jakby przemawiał do wystraszonego zwierzątka. - Zjesz ze mną? Mogę cię nakarmić?

- Ja to zrobię! - natychmiast zawołała Iana .

Henri popatrzył na nią w skupieniu.

- Nie tym razem. Musisz odpocząć. Kto mi zapewni właściwą opiekę, jeśli padniesz ze zmęczenia?

Odwrocił się w stronę chłopca.

- Ev rozпали niewielkie ognisko i upiecze rybę - powiedział.

- Rybę? - zdziwiła się Iana . - Jak ją zdobyliście?

- Złapaliśmy w strumieniu. To niezbyt trudna sztuka, pod warunkiem, że ktoś ma cierpliwość i stoi spokojnie w wodzie.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem i zabrała krzesiwo chłopcu.

- Ani trochę nie wierzę w takie opowieści. A poza tym już wam mówiłam, że nie wolno rozpalać ognia.

Henri wyjął krzesiwo z jej dłoni i spokojnie oddał je giermkowi. Dotyk jego ciepłych palców okazał się tak przyjemny, że tym razem Iana nie zaprotestowała.

- Teraz odpocznij, wykąp się lub poleż - zarządził Henri. - My jednak rozpalimy ogień i przygotujemy ciepłą stawę. Nie próbuj się ze mną sprzeczać. To już postanowione.

Impertynent i zarozumialec! - orzekła w duchu Iana . Nie powiedziała tego głośno, lecz Henri i tak się domyślił, co sądzi o takim traktowaniu. Poznał to po jej buntowniczej minie. Nie przejmował się jednak babskimi fochami i z ciekawością zająrzył do worka z prowiantem.

- Czym nakarmimy nasze dziecko? A może najpierw łyk mleczka? Wygląda na zupełnie świeże - zaczął wdzięczyć się do Thomasiny.

Dziewczynka popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Uniosła główkę i małą rączką delikatnie dotknęła jego piersi. Wyglądała na oczarowaną ogromnym rycerzem. Gdybym sama tak dobrze nie znała kłamliwej męskiej natury, to być może i ja dałabym się oczarować, uznała Iana . Niestety, Henri był tylko mężczyzną, i to bardziej władczy niż inni. A to dawało do myślenia. Oczywiście nie miała powodu, żeby darzyć go niechęcią czy nawet nienawiścią. W gruncie rzeczy, nawet go polubiła. Okazał się dzielny, miał poczucie humoru, potrafił troszczyć się o innych, a nie tylko o siebie. Jednak gdyby była mądra, nie pozwoliłaby sobie tak łatwo odebrać przywództwa. Dobrze wiedziała, że jeśli sprawę pokpi, rycerz przestanie liczyć, się z jej zdaniem, mało tego, zostanie jego sługą, tak jak giermek.

Giermek? Przypomniała sobie, że usynowił chłopca. Na dobrą sprawę zrobił dla chłopaka więcej niż niejeden ojciec dla nieślubnych dzieci. Ale i tak czekał z tym zbyt długo. Niedługo Everand przeobrazi się w młodzieńca. Co prawda, Henri, zdaje się, wspominał, że chłopiec całkiem niedawno został sierotą. Może więc nie mógł go wcześniej adoptować?

Iana przyglądała się, jak Ev nadziewał kawałki ryby na patyk i rzędem kładł je na kamieniach otaczających ognisko.

Ile to czasu upłynęło od dnia, w którym ostatnio zasiadła do posiłku przygotowanego przez kogoś innego? Chyba już ponad miesiąc. Nie chciała przyznać się do tego, ale było jej bardzo ciężko. W jednej rzeczy Newell miał rację - bywała samolubna. Życie wygnańca zmusiło ją do samodzielności, lecz przychodziła jej ona z niemałym trudem. Kiedyś była obsługiwana, teraz wszystko robiła sama, chociaż nie znajdowała przyjemności w sprzątanii i gotowaniu. Wolalała jednak najgorsze męki, niż stać się niewolnicą w rękach męża, który miałby prawo rozporządzać nią wedle uznania. Duncan zapewnił jej schronienie i służących - miała wtedy miękkie i białe dłonie - ale dwukrotnie nastawał na jej życie.

- Je niczym mały ptaszek - roześmiał się Henri. - Aż się boję, że zaraz odfrunie.

Iana uśmiechnęła się do Thomasiny. Przypomniała sobie wczorajszy wieczór, kiedy mała z własnej i nieprzymuszonej woli zaczęła bawić się z rycerzem. Może z czasem stanie na własnych nóżkach? Choćby z pomocą. Wzięła dziecko do siebie i delikatnie postawiła na ziemi. Thomasina stała przez chwilę, dygocząc niczym osika, ale potem klapnęła na pupę. Iana przytuliła ją mocno do siebie.

- Co jej dolega? - cicho spytał Henri.
- Nie wiem - zupełnie szczerze odpowiedziała Iana .

Wcześniej myślała, że dziewczynka jest słaba na skutek

złego odżywiania. A może była stale noszona i nikt nie nauczył jej chodzić? Równie dobrze mogła cierpieć na jakąś chorobę albo po prostu bać się otoczenia z powodu wcześniejszych przeżyć.

- Wydaje mi się, że już z nią trochę lepiej - powiedziała z mimowolnym westchnieniem.

Henri zrobił zmartwioną minę, ale zaraz potem uśmiechnął się z nadzieją.

Iana nie mogła pojąć, z jakiego powodu dorosły mężczyzna miałby przejmować się losem Thomasiny. Co go właściwie obchodziło, czy będzie z nią lepiej, czy gorzej? Dotychczas znała tylko takich ojców, dla których córki w ogóle się nie liczyły. Rodzeni ojcowie postępowali tak, jakby nie istnieli. To synowie - następcy i wojownicy byli ważni. Przecież Henri nawet nie był ojcem chrzestnym Thomasiny. Znał dziewczynkę zaledwie od kilku dni. Serce Iany mocniej zabiło ze wzruszenia, kiedy patrzyła na rycerza, który w zupełnie bezinteresowny sposób okazywał aż tyle ciepła temu chłopskiemu dziecku.

Uśmiechnęła się i nagle spostrzegła, że wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienia.

- Ktoś idzie - szepnął. - Nie ruszaj się z tego miejsca, a ty, Ev, poczołgaj się w zarośla z prawej strony. Schowaj się tam i trzymaj broń gotową do walki, synu. Podejrzewam, że ci się przyda.

Zanim Iana zorientowała się, co się dzieje, rycerz zniknął w krzakach po jej lewej stronie. Koc, którym był owinięty, bezszelestnie opadł na ziemię. Iana siedziała nieruchomo. Naraz drgnęła z przestachem, słysząc trzask su-

chej gałązki, pękającej pod czyjąś stopą. Ktoś nadchodził. Narastający szelest zmusił ją do działania. Podniosła koc i rzuciła go na Thomasinę, zakrywając ją razem z główką. Sama stanęła obok z kamieniem w ręku i czekała na to, co miało nastąpić.

scan-dalouis

ROZDZIAŁ CZWARTY

Iana stała tyłem do strumienia na szeroko rozstawionych nogach. Osłaniała sobą dziecko.

Rozwałę łeb intruzowi, jeżeli mnie zaatakuje, postanowiła.

Wzięła głęboki oddech i mocniej ścisnęła kamień w dłoni.

- Ech, patrzcie, patrzcie! Myślałem, że schowała się w wodzie! - zahuczał czyjś głos pod drzewami.

Z lasu wychynął jakiś wieśniak o chciwym wyrazie twarzy. W złośliwym uśmiechu pokazywał bezzębne dziąsła. Był olbrzymi, brzuch zwisał mu nad parcianym paskiem, a grube nogi podobne były do drewnianych słupów.

Za nim szedł chudy chłopina podobny do upiora. Sama skóra i kości. Na łysej czaszce bieleło mu się kilka siwych włosów.

Gruby wziął się pod boki i groźnie zmarszczył brwi. Zapewne chciał przestraszyć samotną dziewczynę.

- Przyszliśmy po resztę srebra. Masz tu je gdzieś schowane?

Iana bez słowa zaprzeczyła krótkim ruchem głowy. Nie spuszczała z oka nieznamomych, wiedząc, że mają złe intencje.

- Ha, skoro tak twierdzisz. Zobaczymy, czy przypad-

kiem nie znajdują się gdzieś inne skarby. Choćby to, co ukrywasz pod spódnicą.

- Nic ode mnie nie dostaniecie - ostrzegła groźnym tonem.

Gdzie, do diabła, podziewał się rycerz? Przynajmniej mógłby zostawić nóż, skoro nie chciał jej bronić. Ostrzegawczo uniosła rękę, w której trzymała kamień.

Chudzielec, jakby nigdy nic pokuśtykał w jej stronę. Gruby też podszedł bliżej, z lekceważeniem patrząc na jej oręż. Cmoknął pogardliwie.

Nagle ożyły krzaki. Henri i Everand wyskoczyli na polanę. Ostrza noży zamigotały w słońcu. Ptaki zerwały się z drzew z łopotem skrzydeł, wystraszone głośnym bojowym okrzykiem.

Iana mimo woli dała krok do tyłu i o mało nie potknęła się o małą Tam. Szybko chwyciła dziecko na ręce i ukryła się za najbliższym drzewem, żeby zejść z drogi walczącym. Z otwartymi ustami patrzyła na to, co się rozgrywało na polanie.

Błyszczące ostrza z szybkością błyskawicy cięły sfatygowaną odzież napastników. Na ziemię opadały długie strzępy tkaniny. Po chwili było już po walce. Widok dwóch nagich jak ich Pan Bóg stworzył chłopów, którzy trzęsąc się ze strachu, zasłaniaли rękoma przyrodzenie, był tak komiczny, że Iana wybuchnęła śmiechem.

Henri, który miał na sobie tylko wąską przepaskę na biodrach, przystawił ostrze sztyletu do piersi zwalistego wieśniaka. Chłop był podobny do włochatej bestii, cały pokryty gęstym ciemnym włosiem, nawet na plecach. Wyglądał niemal jak zwierzę.

- Z twojej skóry można by zrobić ciepłą pelerynę - powiedział Henri, zdrapując mu stalowym ostrzem włosy na piersi, w okolicy serca. - Ale chyba z tego zrezygnuję, bo za bardzo by śmierdziała!

- Błagam, szlachetny panie, puść nas cało. Przysięgam, że nie chcieliśmy nikomu zrobić krzywdy! Puść nas, a klnę się na Boga i wszystkich świętych, że na pewno odejdziemy w spokoju.

Henri zwrócił się do Everanda:

- Co też mi radzisz, młody przyjacielu? Mamy ich zabić tu, na miejscu, czy może raczej urządzimy sobie małe polowanie?

Everand skinął głową bez słowa, z poważnym wyrazem twarzy, trzymając sztylet tak wysoko, jak tylko zdołał, przy piersi chudego wieśniaka.

- Dwadzieścia kroków forów! Jeśli polowanie się uda, to zabijemy was od razu, a jeśli nie, to obedrzymy was żywcem ze skóry. Umiesz liczyć? - zwrócił się Henri do grubasa.

- Tak - wychrypiał chłop.

Rozszerzonymi ze strachu oczami wpatrywał się w rycerza. Chudy tylko cicho zaskomlił.

- Zaczynasz biec, kiedy doliczę do trzech. Raz, dwa, trzy! - Henri wydał z siebie głośny szkocki okrzyk wojenny, a Everand ruszył przez krzaki za dwoma zbiegami, wyjąc jak celtycki duch. Ianą rozboleły żebra ze śmiechu. Thomasina przyłgnęła do niej jak przerażony kotek. Henri przykucnął przy nich z uśmiechem na twarzy.

- Z wami chyba wszystko w porządku? - zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Owszem, w porządku - odpowiedziała Iana, z trudem łapiąc oddech. - Na miłość boską, jak tego dokonałeś?

- To była zabawa - wyjaśnił z nutą nonszalancji w głosie. - Co prawda, w takich razach lepiej używać miecza, ale i tak nieźle nam poszło! - Milczał przez chwilę. - Chyba będą biec do samego domu - dodał i wyciągnął rękę, żeby pomóc Ianie podnieść się z trawy.

Zrobiło jej się gorąco od widoku męskiego ciała. Przez dłuższą chwilę nie była w stanie oderwać wzroku od umięśnionego torsu, potężnych barków i ramion, długich nóg. Henri roześmiał się po cichu na znak, że zauważył jej zainteresowanie. Natychmiast zamknęła oczy i zganiła się w duchu za niewczesne myśli. Kiedy po pewnym czasie nieśmiało uchyliła powieki, zobaczyła, że zszedł na brzeg i zanurzył się w wartko płynącym strumieniu. Nie potrafiła się opanować i zerknęła na jego nagie pośladki.

- Och, mój Boże. - Bezwiednie westchnęła z podziwem.

- *Oui?* - Henri spojrział przez lewe ramię i uniósł jedną brew. - *Qu'est-ce que c'est?* O co chodzi? - poprawił się zaraz.

O nic. Zaledwie o najzwyczajniejsze, oczywiste pożądanie, szyderczo odpowiedziała mu w duchu Iana. Powinna się wstydzić. W głowie kłębiło jej się od natłoku myśli. Była bliska paniki. Nawet za obietnicę rajy nie wolno mi pożądać żadnego mężczyzny, upomniała się, pomna na to, w jakie tarapaty poprzednio wpadła przez mężczyzn.

- O nic - odpowiedziała niemal bez tchu i zmusiła się do odwrócenia spojrzenia, które wlepiła w pień pobliskie-

go drzewa. - Najzwyczajniej w świecie miałam zamiar zmówić króciutką modlitwę, w podzięcie za ratunek.

- Zatem pomódl się także za mnie.

Kiedy Henri zniknął pod powierzchnią wody, była pewna, że usłyszała słowa: „Pomódl się lepiej o zimną wodę, abym mógł ochłodzić swoje grzeszne ciało”.

Przez następne dwa dni Henri bez najmniejszego słowa sprzeciwu stosował się do wszelkich wskazówek i zaleceń Iany. Był już pewien, że od tej podróży zależy jej życie. Wciąż się spieszyła, bez ustanku poganiała konie, czasami nawet zapominała o porach karmienia Thomasiny.

Do wsi, które mijali, zawsze chodziła sama, aby uprosić kawałek chleba, trochę sera i tych przeklętych płatków.

Zdarzało się, że nagle ściągała wodze, zatrzymywała się, zsiadała i szła gdzieś w głąb lasu. Henri początkowo myślał, że chodzi za potrzebą, ale zawsze wracała z nową porcją ziół, które chowała w swojej sakwie. Później, na postojach, musiał pić jej wywary lub patrzeć, jak pokruszonymi liśćmi posypywała jego ranę. Widać było, że naprawdę znała się na leczeniu. Henri z każdym dniem czuł się lepiej, nie gorączkował, a o bólu przypominał sobie tylko wtedy, kiedy niechcący wykonywał zbyt gwałtowne ruchy.

Za każdym razem, kiedy czuł na sobie dotyk albo spojrzenie Iany, nachodziły go grzeszne myśli. Im szybciej wracało mu zdrowie, tym bardziej pragnął jej towarzysztwa. Co się z nim działo? Zawdzięczał Ianie życie. Nie mógł zatem nastawać na jej cześć i honor. To prawda, była

wdową. Zapewniała jednak, że poza mężem nie знаła innych mężczyzn. Uwierzył jej, ale przecież była też Thomasina, co zadawało kłam jej słowom. Musiała zatem komuś ulec. Przynajmniej raz w życiu. Chociaż możliwe, że ktoś ją wziął siłą. Henri gwałtownie potrząsnął głową i odsunął tę myśl ze wstrętem.

Milsze mu było przypuszczenie, że oddała się z własnej woli, niż to, iż została do tego zmuszona.

Od dawna wiedział, że mu nie ufała, a jednak nadal jej pożądał - i to coraz bardziej. Wszystko dokoła go drażniło. Złościł się nawet na Everanda za jego niewinną rycerską butę i beztroskę. Dziwił się sobie, bowiem z usposobienia był pobłażliwy i tolerancyjny. Lubił ludzi, okazywał zrozumienie dla ich słabości, nie zwykł bez powodu karcić bliskich czy sługi. Nie zniżał się też do zazdrości nawet wobec niewiernej żony.

- Kiedy dojedziemy do Baincroft, panie? - zagadnął Ev, kiedy ruszyli dalej.

Henri zastanawiał się przez krótką chwilę, zanim odpowiedział.

- Wiem, jak długo trwa droga z Odun. Stamtąd bowiem, z zamku Craigmuir pochodzi żona mojego brata. Robert opowiedział mi, ile czasu zajęła im podróż przez Szkocję. Z jego słów i z mapy, którą oglądałem przed kilkoma laty, można wnosić, że jesteśmy teraz mniej więcej w połowie drogi. Wszystko zależy od tego, jak daleko jest stąd do przeprawy przez rzekę Clyde. Przejście przez góry też zajmie nam trochę czasu. Trzy, może nawet cztery dni.

- Na północ od Largsmuth jest przystań promowa. Po-

winniśmy tam dotrzeć dziś wieczorem - nieoczekiwanie odezwała się Iana .

- Znasz więc tę drogę, pani? - z ciekawością zapytał Henri.

- Owszem - przyznała. - Już raz ja przebyłam, ale, niestety, nie byłam dalej na wschód niż w Largsmudi.

Henri zastanawiał się, czy ma prawo pytać o dalsze szczegóły z jej życia. Wciąż nie wiedział, co sprowadziło Ianę do wioski, w której znalazł ją Everand. Do tej pory Iana unikała rozmów o przeszłości.

- W czasie małżeństwa musiałaś pewnie mieszkać w pobliżu Clyde? - rzucił niezobowiązującym tonem.

- Nie - odparła krótko.

- A gdzie przebywałaś przed ślubem? - próbował dalej.

Odpowiedziało mu milczenie.

Henri uznał, że jeszcze jeden fragment układanki znalazł się na swoim miejscu. Nie była Ianą z Ayr, jak opowiadała. Ayr to port leżący niedaleko miejsca, w którym zeszli na ziemię Szkocji. Dobrze pamiętał to z mapy. Dzieciństwo Iany upłynęło zatem gdzieś w okolicy Firth of Clyde, a jej dziadek miał na imię Ian. Sama mu o tym nie chcąc powiedziała, kiedy leżał trawiony chorobą. Gdy dotrzemy do Baincroft, dowiem się, czy w okolicy nie mieszkał szlachcic o imieniu Ian, zdecydował.

Nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego tak go ciekawiło, kim była i skąd pochodziła Iana . Na pewno nie lubił zagadek. Oszukiwałby sam siebie, gdyby uznał niechęć do tajemnic za jedyny powód. Chciał wiedzieć o Ianie jak najwięcej, ponieważ z każdym dnem coraz bardziej jej

pragnął. Było istotne, czy mógł wiązać z jej osobą nadzieje i plany.

- Ile kosztuje przeprawa w Largsmuth? - zapytał, obiecując sobie, że już więcej nie będzie otwarcie wypytywał jej o przeszłość.

- Wydaje mi się, że szylinga. Mój brat... - zająknęła się. - Nie pamiętam dokładnie, ile płaciliśmy - odpowiedziała ostro, próbując szorstkim tonem pokryć nagłe zmieszanie.

Henri uśmiechnął się pod wąsem. Brat. To właśnie chciała powiedzieć. Skoro jej brat był obecny podczas tamtej przeprawy, to znaczyło, że ją eskortował. Dokąd? Pewnie do człowieka, za którego miała wyjść za mąż. Niewiasty rzadko podróżują w jakichś innych celach. Mąż jej umarł. Tak przecież powiedziała Everandowi. Zatem dlaczego jej rodzina nie przyjechała po nią, kiedy owdowiała i została bez środków do życia? Wszyscy krewni pomarli?

Henri odniósł wrażenie, że pytania dotyczące przeszłości Iany mnożyły się, im więcej o niej wiedział.

Iana panicznie bała się podróży w tej części kraju. Nie pojechałaby tędy, gdyby była sama. Zapewne wsiadłaby na statek na zachodnim wybrzeżu i popłynęła w nieznane, w jakieś ciche i odległe miejsce. W pobliżu Largsmuth w każdej chwili ktoś mógł rozpoznać w niej młodszą siostrę Newella. W tych stronach brat miał licznych przyjaciół. Niektórzy z nich bywali u nich, kiedy była małą dziewczynką. Mimo wszystkich smutnych przeżyć i ciężkich doświadczeń nie zmieniła się aż tak bardzo, żeby w jej rysach nie można było dopatrzeć się podobieństwa do dawnej Iany.

Henri wysunął się na czoło ich małej kawalkady. Iana wstrzymała klacz, żeby poprawić nosidełko dziecka. Rycerz prowadził ich przez sam środek miasta. Iana zwiesiła głowę na piersi i ukradkiem strzelała oczami na prawo i lewo, w obawie, czy przypadkiem nie spotka znajomej twarzy.

Largsmuth było przedziwnym miastem, zbudowanym po części z nędznych lepianek, to znów z zupełnie przyzwoitych drewnianych domów. Niektóre z nich otoczone były niskimi murami, przy których przycupnęły stragany, zarzucone przeróżnym towarem.

Gwarny i barwny tłum przelewał się ulicami grodu. Najwięcej krzątający było w okolicach rynku, na którym liczni przekupnie rozłożyli swoje kramy, pełne najrozmaitszych rzeczy: od bochnów chleba, wędlin i wędzonego mięsa począwszy, a skończywszy na sukniach, opończach i belach różnobarwnego materiału. Nie brakło też pomniejszych stoisk, na których migotały feerią barw i odcieni różne błyskotki.

Tu najczęściej uwijało się niewiast, więc Iana poczuła się bezpieczniejsza. Rozgadane kobiety z wyraźnym zachwytem przypatrywały się bogatym naszyjnikom, broszom i pierścieniom. Niektóre zaś, z zapalem godnym lepszej sprawy, targowały się zawzięcie o jakiś drobiazg. Elegantki przymierzały chusty i szale. Tylko czasem, gdzieś z boku przycupnęła żebraczka, wyciągająca rękę do przechodniów.

Mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy się wyróżniali dostatecznym wyglądem, przyciągały raczej warsztaty płatnerzy, gdzie wprawdzie nie można było kupić ciężkich mieczy, gdyż te były zastrzeżone wyłącznie dla rycerzy,

ale znalazły się sztylety, noże i kolczugi dla lżej i dla cięższej zbrojnych. Dobra broń nieraz mogła oddać niemałą przysługę, zwłaszcza w takim, nie zawsze najbezpieczniejszym miejscu, dokąd ściągaly tłumy wędrowców i podróżników.

Byli wśród nich ludzie godni szacunku i zaufania, lecz także zwykli bandyci, czyhający tylko, żeby kogoś napaść i ograbić. Czasami korzystali też na tym miejscowi, którzy schodzili na złą drogę. Łatwiej im było znaleźć kryjówkę, bo lepiej znali miasto i okolicę. Przesiadawali na ogół w oberżach, wiedząc, że tam najczęściej zaglądały przyjezdni.

Iana spojrziała na kobiety zajęte zakupami i bezwiednie pomyślała o srebrze ukrytym w fałdach obszernej spódnicy. O tym, że można by kupić za to ze dwie całkiem przyzwoite suknie, buty nie oblepione błotem i mydło, którym mogłaby doprowadzić swoją skórę i włosy do normalnego stanu.

Westchnęła ciężko. Dobrze wiedziała, że byłoby głupotą marnowanie srebra na fatałaszkę, bez których w gruncie rzeczy mogła się doskonale obejść.

- Widzę zajazd przed nami. - Henri odwrócił się w jej stronę. - Zatrzymamy się tutaj na noc. - Dodał, jakby czytał w jej myślach: - Przy okazji kupimy też nowe ubrania. Nie możemy tak stanąć przed obliczem mojego brata. To nie wypada. Wyglądamy jak banda żebraków.

Everand odchrząknął głośno, popędził konia piętami i podjechał do rycerza.

- Przecież nie mamy pieniędzy, panie - powiedział tonem przypomnienia.

Henri ponownie odwrócił się do Iany i uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Lady Iana łaskawie pożycz mi trochę srebra z łańcuszka, który jej ofiarowałeś. Obiecuję, że zwrócę dług zawiązką, kiedy już bezpiecznie dotrzemy do Baintcroft.

- Nie - zdecydowanie potrząsnęła głową. - Nie będziemy tutaj nocować, panie, i nie będę marnować srebra na głupstwa.

Uśmiech niczym zdmuchnięty zniknął z jego twarzy.

- Odmawiasz, pani? Wybacz, proszę, nieco ostrzejsze słowa, ale aż tak źle cię nie oceniałem. Zatem nie wierzysz, że oddam wszystko, co pożyczę? To bądź łaskawa przypomnieć sobie, że z własnej woli, nie przymuszony, obroniłem cię i twoje dziecko przed napastnikami. Gdyby nie my - bo mówię też o Everandzie - dzisiaj nie miałabyś już ani odrobiny srebra, nie wspominając o honorze.

Mówił dwornie, lecz podchwyciła w jego głosie ledwie uchwytną nutkę złośliwości. Niestety, miał rację. Iana ukradkiem rozejrzała się dookoła, ukrywając twarz za chustą. Nikogo znajomego! Przecież nic nie zaszkodzi, jeśli tym razem mogłaby odpocząć na miękkim sienniku. Bardziej obawiała się spotkania z kimś, kto mógłby ją rozpoznać, niż pożyczania kilku miarek srebra. Ponadto nie musiała iść do miasta, żeby coś kupić. Na pewno Henri by się tym zajął.

Sama mogła bezpiecznie pozostać w ukryciu, w izbie zajazdu. Nikogo nie zdziwi obecność francuskiego rycerza, który zresztą na razie w ogóle nie prezentował się jak rycerz. W takim miejscu, zwłaszcza w pobliżu przeprawy, codziennie kręciło się wielu cudzoziemców.

- Dobrze - zgodziła się po dłuższym namyśle. - Chodźmy do zajazdu.

Henri przytaknął z zadowoleniem i skierował konia w stronę przysadzistego, piętrowego budynku, ozdobionego kolorowym szyldem, który wisiał nad szerokimi drzwiami.

- Poprowadź wierzchowce tym przejściem - powiedział do Everanda, wskazując ciasną alejkę pomiędzy gospodą a bogatym kramem z odzieżą. - Z tyłu zajazdu powinna być stajnia. Sam zajmij się końmi, bo nie wierzę, że ktoś tutaj zrobi to lepiej od ciebie.

Potem odwrócił się do Iany i popatrzył na nią wyciekającym wzrokiem. W pierwszym momencie nie bardzo wiedziała, o co chodzi. Po chwili jednak domyśliła się, że prosi ją o pożyczkę. Ciężko wzdychając, pogmerała w fałdach spódnicy i odwiązała od pasa sakiewkę z łańcuchem, po czym mu ją podała.

- *Merci* - uśmiechnął się uspokajająco. - Oddam dług na pewno!

Ostrzem sztyletu w sekundę odgiął kilka cennych ogniw. Serce zamarło w piersiach Iany, gdy zobaczyła, że resztę srebra schował do swojej kieszeni. Po „kupnie” koni i jechania w przydrożnych wioskach, przez które przejeżdżali, została już im mniej niż połowa łańcucha.

- Trzymaj się blisko mnie, pani. W takich miejscach jak tutejsza gospoda można spotkać różnych łotrów i odszczępieńców - rzucił Henri tonem ostrzeżenia.

Iana zrobiła tak, jak jej kazał. Nigdy dotąd nie zatrzymywała się na nocleg w gospodzie, nie wiedziała więc, czego się spodziewać. Kiedy podróżowała tędy poprze-

dnim razem, z Newellem, Dorotheą i dość liczną służbą, mieli własne namioty, meble i prowiant.

Zaraz po wejściu do zadymionego wnętrza, przekonała się, że Henri miał rację. Kilkunastu mężczyzn siedziało wokół stołu na szerokiej ławie. Kilku innych stało przy szynkwasiu. Wszyscy śmieli się na całe gardło i co chwila wznosili toasty. Wielu z nich było już mocno pijanych.

Sir Henri obojętnie skinął im głową i zwrócił się do właściciela:

- Chcielibyśmy pokoje na noc.
- Mam tylko jeden, ale duży, z dwoma łózkami, pomieści nawet czworo - odparł brodaty karczmarz.

Henri z namysłem popatrzył na Ianę i powiedział:

- Jeden wystarczy.

Iana już otwierała usta, żeby się sprzeciwić, ale coś w jego oczach sprawiło, że umilkła. W zasadzie nie miała nic przeciwko temu. Mniej zapłacimy za jedną izbę, pomyślała.

Skrzywiła się, kiedy Henri wręczył brodatemu szynkarzowi dwa kawałki srebra.

W zupełności mógł dać tylko jeden, uznała w duchu.

- Chcemy pokój na jedną noc, jedzenia na trzy dni podróży, mleka dla dziecka i miejsca w stajni dla naszych koni - rozkazującym tonem oznajmił Henri. - Przynieś nam także ze trzy wiadra wody, jak tylko będzie dostatecznie gorąca.

Ponownie wyciągnął rękę i dodał:

- A teraz daj mi trzy marki reszty.

Dwóch ludzi, siedzących przy ławie, odstawilo szkla-

nice z piwem. Z wyraźnym zainteresowaniem przysłuchiwali się tym targom.

Karczmarz roześmiał się niewesoło i powiedział:

- To chyba jakieś żarty?

- Nie. Ani mi to w głowie - spokojnie odparł Henri. W jego oczach zamigotały ostrzegawcze błyski, a uśmiech znikł z twarzy. - Trzy marki. Nie mniej, bo w przeciwnym razie gdzie indziej wynajmiemy izbę.

Karczmarz odwrócił się, odkaszlnął i splunął na podłogę. Ociężałym ruchem sięgnął do sakwy przy pasie i wyjął kilka monet. Podał je rycerzowi i poskarżył się:

- Ale ciężkie czasy nastały!

Henri odczekał chwilę, uniósł brwi, znacząco spojrzął na dwóch podsłuchujących i udał się za właścicielem na górę. Iana o mało nie urwała mu rękawa, bojąc się, że przypadkiem zostawi ją na dole.

To było straszne miejsce. Bywalcy wyglądali na okropnych brutali, mimo że chwilę przedtem śmiali się wesoło. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego Newell unikał gospód i wołał nocować we własnym namiocie.

Everand dołączył do nich, zanim zdążyli się rozpakować.

- Stajnia jest całkiem porządna. Paszy dla koni dość, a stajenny powiedział, że jego pan stłukłby go na kwaśne jabłko, gdyby nie zadbał o zwierzęta, więc pozwoliłem mu je oporządzić - wyrecytował jednym tchem.

- Przed snem pójdziesz tam jeszcze raz i sprawdzisz, czy wszystko w porządku - przykazał mu Henri. - Teraz zostaniesz tutaj z panią Ianą i Thomasiną, a ja wybiorę się do miasta, aby kupić najpotrzebniejsze rzeczy. Zawaruj

drzwi i nie otwieraj dopóty, dopóki nie usłyszysz mojego głosu. Wróć, zanim tu przyślą kogoś z jedzeniem i gorącą wodą.

- Jak sobie życzysz - powiedział Ev i dodał po chwili:
- ojczy.

Henri uśmiechnął się z niezwykłą czułością. Nic nie powiedział, tylko położył dłoń na ramieniu chłopca, poklepał go lekko po plecach i wyszedł.

Everand szybko założył mocną sztabę na drzwi, odwrócił się do Iany, skrzyżował ręce na piersiach, oparł się o framugę i rzekł:

- Niczego nie musisz się obawiać, pani. Będę cię bronił do ostatka. - Urwał i dodał: - Twego dziecka także.

Kilka dni temu zapewne by się roześmiała z jego chłopięcej zadziorności, ale widziała nad strumieniem, co naprawdę potrafił zrobić swoim ostrym nożem. Wcale nie było jej do śmiechu.

- Bardzo jestem rada z twojej opieki i dziękuję ci za nią - odpowiedziała dwornie.

Giermek odszedł od drzwi i usiadł na łóżku, przy śpiącej Tam. Jednym palcem odsunął pukiel czarnych włosów z buzi dziecka.

- Wcale nie jest podobna do ciebie, pani - zauważył.

- Nie, nie jest - przyznała Iana .

- Kiedyś miałem małą siostrzyczkę - powiedział Ev miękkim tonem, zupełnie niepodobnym do tego, którym mówił zazwyczaj. Po dłuższym namyśle, z oczami utkwionymi w dziecku, dodał: - Umarła razem z moją matką.

Ianą ogarnęło współczucie dla chłopca, któremu najwyraźniej bardzo brakowało matki.

- Bardzo mi przykro, Everandzie. A twój prawdziwy ojciec? Także nie żyje?

Kiwnął głową, nie patrząc na nią. Gdy odpowiadał, wiadać było, że jest bardzo przejęty.

- Chyba zamartwił się na śmierć. Przynajmniej tak myślę. Wszyscy widzieli, że chciał umrzeć. Najpierw zginęli moi bracia, potem matka i siostra. Tylko ja jeden mu zostałem. Pewnego dnia przyszedł do nas sir Henri. Chciał kupić nowe odzienie. Ojciec ubłagał go, żeby mnie przyjął na służbę. Wtedy właśnie zostałem giermkim

Oderwał wzrok od dziecka i ze smutnym wyrazem twarzy popatrzył na Ianą.

- Ojciec z przesadą opowiadał o moich zdolnościach. Chwalił mnie pod niebiosa. Plół, co mu ślina na język przyniosła. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak kłamał. Bardzo się bałem, że w końcu prawda wyjdzie na jaw, ale sir Henri bez oporów uwierzył we wszystko. Mimo to od razu do niego nie poszedłem. Zostałem z ojcem, póki nie wydał ostatniego tchnienia. Po pogrzebie mój nowy pan kazał mi spakować trochę manatków i od tamtej pory wędrujemy razem.

- A teraz stałeś się jego synem - dodała Iana .

Usiadła tuż koło niego i wzięła go za rękę.

- Idę o zakład, że na pewno obaj - twój stary ojciec i nowy - są bardzo dumni z ciebie, Everandzie. Jeden tam, w niebie, a drugi tutaj, na ziemi.

Chłopiec uśmiechnął się radośnie.

- Codziennie modłę się, żeby była to prawda. Chociaż czasami czarne myśli przychodzą mi do głowy. - Westchnął i spojrzał na Ianą. - Bo wiesz, pani. - Umilkł na

chwile, ale zaraz zdobył się na odwagę i dokończył: - Bo tak jak twoja Thomasina, też nie urosłem tyle, co powinienem.

Ianą ogarnęło wzruszenie. Objęła chłopca, przytuliła go i pocałowała w czoło.

- Bądź cierpliwy, Everandzie. Mój brat też był mały przez większość swoich chłopięcych lat, a później wyrósł tak, że teraz jest prawie tego samego wzrostu, co sir Henri.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Ev, potem jednak się cofnął i popatrzył na nią z nadzieją.

- Myślisz, że mi się uda? - szepnął.

- Poczekaj, a sam zobaczysz - poradziła mu wesołym tonem i uszczypteła go lekko w policzek. - A jeśli nawet nie urośniesz, to też bez znaczenia. O mężczyźnie świadczą wyłącznie jego czyny, Everandzie. Zawsze o tym pamiętaj. Twoje uczynki będą mówiły za ciebie. Nie twój wzrost, nie bogactwo ani piękne słowa. Powtarzam ci to z całym przekonaniem: najważniejsze w życiu jest to, jak zachowujesz się wobec swoich bliźnich.

- To samo mówił mi sir Henri - przytaknął chłopiec. -Ha! - wrócił do dawnego napaśzonego tonu - skoro i ty to potwierdzasz, pani, myślę, że powinienem wreszcie w to uwierzyć.

Usłyszeli skrobanie w drzwi i Ev skoczył na równe nogi z dłonią na rękojeści sztyletu.

Klamka poruszyła się, ale sztaba trzymała mocno.

- To na pewno nie karczmarz - wyszeptala Iana .

- Przyjdź później! - grubym głosem rozkazał chłopiec, a cicho szepnął do niej: - To musi być któryś z tych łotrów z dołu. Zapewne chce nas okraść.

Po chwili coś ciężkiego uderzyło w drzwi. Sztaba poruszyła się w uchwytach.

- Na litość boską, on chce się tu włamać! - zawołała z przerażeniem Iana .

- Kto tam? - zawołał Ev swoim najgroźniejszym tonem.

- Przyniosłem wam kolację! - powiedział głos zza drzwi.

- Weź nocnik i stań z boku, za futryną - zwrócił się Ev do Iany. - Gdy tu wpadnie, walnij go prosto w łeb, a ja resztę zrobię moim nożem!

Napastnik znów uderzył w drzwi. Iana chwyciła ciężkie gliniane naczynie i stanęła tam, gdzie jej kazał giermek.

Everand wydobył sztylet z pochwy i wyczekująco zastygł w pozycji do walki.

Po trzecim uderzeniu drzwi nie wytrzymały i wyrwane z zawiasów, wpadły do pokoju. Iana z całej siły grzmotnęła bandytę nocnikiem w głowę. Drab, jakby zdziwiony, zatrzymał się tuż za progiem, z obnażonym mieczem, gotowym do użycia.

W tym samym momencie Everand rzucił w niego nożem i pochwycił z podłogi ciężki drewniany stółek. Ostrze wbiło się w ciało napastnika z lewej strony klatki piersiowej. Wielka łapa złapała za nóż, lecz w tym momencie stółek roztrzaskał bandycie głowę. Z jękiem runął niczym podcięte drzewo na wyłamane drzwi.

Krótki miecz wysunął mu się z ręki i upadł z brzękiem na podłogę. Przez chwilę Iana i Everand stali nieruchomo, przestraszeni, ale i zdziwieni swoim sukcesem. Cień uśmiechu pojawił się na ustach chłopca.

- Obroniliśmy się - powiedział z lekką zadyszka.
- Jak myślisz, czy on jeszcze żyje? - zaniepokoiła się Iana

Ev podszedł do leżącego i trącił go nogą - nie poruszył się. Ukłękli i wspólnymi siłami przesunęli ciało z wyrwanych drzwi na podłogę. Everand wyszarpnął nóż z rany i wytarł zakrwawione ostrze o brudną koszulę trupa. Iana dotknęła tętnicy leżącego mężczyzny, ale nie wyczuła pulsu. Na jego koszuli widać było okrągłą plamę krwi.

- Jeśli się szybko nie pozbędziemy ciała, to uświni całą podłogę - zauważył przytomnie Everand.

Podszedł do otworu po drzwiach i uważnie rozejrzał się po mrocznym korytarzu. Na szczęście, odgłosy walki nie zainteresowały nikogo ze służby, gości ani domowników. Możliwe nawet, że takie zdarzenia były tu na porządku dziennym i nikt się nimi specjalnie nie przejmował. Chłopiec popatrzył na nieboszczyka i zapytał:

- Damy radę razem go podnieść i wyrzucić przez okno?

- Chyba tak - drżącym głosem odpowiedziała Iana . - Wprawdzie jest dosyć duży, ale we dwójkę na pewno go dźwigniemy.

- A potem szybko posprzątamy. Karczmarz nie byłby zachwycony takim bałaganem - rezolutnie oświadczył Ev.

Iana przytaknęła szybko. Nawet gdyby udało im się udowodnić, że zostali napadnięci, to zapewne i tak musieliby pozostać w mieście do czasu zakończenia śledztwa w tej sprawie. Nawet nie chciała myśleć, jak mogłoby się skończyć dla niej i Thomasiny.

Stanęła obok Everanda. Razem przenieśli ciężkie ciało

do okna, które wychodziło na tyły budynku. Z wielkim trudem udało im się przełożyć tułów trupa przez ramę. Po chwili wypchnęli go całego. Martwy rabuś spadł między zajazdem a stajnią.

- Na pewno nikt się nie domyśli, że wypchnęliśmy go przez okno? - wyszeptwała trwożliwie Iana. - A jeśli ktoś nas widział? Gdzie stajenny?

- Jest zajęty naszymi końmi - zapewnił ją Ev. - Nie ma nikogo, kto by zobaczył, cośmy przed chwilą zrobili. Jeśli ktokolwiek znajdzie ciało, pomyśli, że drab został zabity w zaułku, na dole.

Iana popatrzyła przez okno w dół, jakby się bała, że trup może ożyć. Ponieważ jednak tak się nie stało, chyłkiem odeszła w głąb pokoju. Everand próbował podnieść drzwi i osadzić je na dawnym miejscu. Iana pomogła mu postawić je w futrynie, nie było jednak jak wepchnąć ich na powrót w zawiasy. Najważniejsze, że odgradzały izbę od korytarza. To im na razie musiało wystarczyć.

- A co zrobimy z krwią na drzwiach? - spytała Iana. Z całej siły zaciskała drżące dłonie, aby nie pokazać, że wciąż się boi. Ev delikatnie pogłaskał ją po ramieniu.

- Nie obawiaj się, pani. Tu prawie nic nie widać. Zaczął krwawić na dobre, kiedy wyciągnąłem nóż z rany. Większe plamy są koło okna.

- Zajmę się tym - powiedziała.

Wzięła się w garść i otrząsnęła z chwilowej słabości. Skoro młody chłopiec daje sobie radę w tak niebezpiecznej sytuacji, to mnie też nie wolno wpadać w panikę, pomyślała. Rozpakowała resztę szmat i szarpi, których uży-

wała do przemywania rany sir Henriego i wytarta krew tak dokładnie, jak zdołała.

Drewniane deski były mocno zniszczone przez poprzednich lokatorów, więc nowe plamy stały się prawie niewidoczne. Najdziwniejsze, że mała Thomasina nie obudziła się podczas całego zajścia.

Mimo wszystko poszło im całkiem nieźle. Iana i Everand wiedzieli teraz, że w potrzebie mogą na siebie liczyć. Gdyby im się nie udało pokonać bandyty, to zapewne wszyscy leżeliby martwi.

- Pomyśl z nocnikiem był całkiem dobry - powiedziała Iana z uśmiechem, choć jeszcze trochę drżącym głosem.

- Od razu tak mi się zdawało - dumnie odparł Everand.

- No cóż, przyznaję, że z początku nie byłam tego całkiem pewna. Świetnie potrafisz władać nożem. Ta akcja wykonana była po mistrzowsku. Zadziwiasz mnie, Everandzie!

- Sir Henri czasem mówi o mnie, że jestem pomyślowy.

Wzruszył ramionami i schylił się, aby jej pomóc w zbieraniu kawałków glinianego naczynia. Składali je na małym pledzie, rozłożonym przez Ianę na podłodze.

- Właściwie, to zawsze tak mówi - dorzucił Everand.

Iana westchnęła.

- A słyszałeś, by kiedykolwiek wspomniał o skromności? - spytała znaczącym tonem.

Ev podniósł głowę, zmarszczył brwi i namyślał przez kilka długich sekund.

- Nie, nigdy - odpowiedział w końcu.

W to akurat mogła uwierzyć.

Dokończyli sprzątanie, podnieśli koc za brzegi i podeszli do parapetu. Wyrzucili śmieci za okno. Niemal w tej samej chwili znowu rozległo się stukanie.

Obluzowane drzwi wypadły z wielkim hukiem. Pochylna przy parapecie Iana zerwała się na równe nogi, a Ev wydał ostrzegawczy okrzyk.

W progu stał sir Henri z wysoko uniesioną ręką i szeroko rozwartymi ustami. Jak oniemiały patrzył na wyrwany z zawiasów gruby kawał deski, który był kiedyś solidnymi drzwiami.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Henri wszedł szybkim krokiem w głąb izby i rzucił zakupy na podłogę.

- Co się tu, do diabła, dzieje?! Co się stało z tymi drzwiami?

- Mieliśmy nieproszonego gościa, panie - zaczępnie oznajmił Everand - ale daliśmy sobie z nim radę bez twojej pomocy.

Wskazał głową w kierunku okna.

Henri przebiegł przez izbę i wyjrzał na zewnątrz. Jakiś człowiek leżał bez ruchu na ziemi, a ktoś inny się nad nim pochylał. Jak do tego doszło? Czy ranny bandzior wyskoczył lub wypadł przez okno?

- Uczynił wam coś złego? - rzucił przez ramię Henri, wciąż obserwując to, co się działo w dole.

- Nie. Nic a nic - odparła Iana i mimo woli parsknęła śmiechem. - Okazało się, że nocnik może mieć czasami różne zastosowanie.

- To znakomita broń - dodał Ev - a ta dama wprawnie nią włada.

Henri odwrócił się i popatrzył na nich z niedowierzaniem.

- Dostał w łeb i sam wypadł z okna?

Iana i Ev spojrzeli na siebie. Po chwili napiętej ciszy Iana zaczęła opowiadać, co się naprawdę wydarzyło.

- Gdy nie chcieliśmy wpuścić napastnika do środka, wyważył drzwi. Uderzyłam go w głowę nocnikiem, a Ev jeszcze poprawił stołkiem. Potem skoczył na niego z nożem i w mgnieniu oka śmiertelnie ranił. Nie chcieliśmy, żeby trup tu leżał, więc wyrzuciliśmy go przez okno.

Wzrok rycerza padł na krótki miecz, porzucony w kącie pomieszczenia. Przerazenie ścisnęło go za gardło.

- Mówicie, że... Przecież na dobrą sprawę... Mógł was naprawdę...

- Owszem - zgodziła się z nim Iana - ale już po wszystkim. Niebezpieczeństwo zażegnane. Sądzę, że powinniśmy jak najszybciej opuścić to miejsce.

- Zgadzam się całkowicie. To chyba najmądrzejsze wyjście z sytuacji - przyznał Henri, ciągle myśląc o napastniku i o tym, co mogło się zdarzyć pod jego nieobecność. Przysiągł sobie, że już nigdy więcej nie zostawi swoich podopiecznych samych.

Iana miała rację. Musieli opuścić zajazd i jak najszybciej wyjechać z miasta. On sam był jeszcze bardzo słaby, chociaż dzięki ziołom Iany rana dobrze się goiła. Jednak stracił dużo krwi i w razie napaści nie zdołałby stawić czoła bandytom. Postraszanie chciwych chłopów, w dodatku zaskoczonych, to była zabawa. Uzbrowieni i zaprawieni w walce bandyci to zupełnie inna sprawa.

- Niedobrze, bardzo niedobrze - rzeki do siebie Henri, niezadowolony, że sytuacja się skomplikowała i muszą zmienić plany.

Everand zrozumiał to opacznie i zaczął się tłumaczyć.

- Przecież użyłem noża tylko do obrony. Sam mnie tego uczyłeś, panie. Lady Iana trochę mi pomogła. Jak możesz nas za to ganić?

- Źle mnie zrozumiałeś. Nie mam o to do ciebie żalu, Ev - uspokoił chłopca Henri. Głęboko zaczerpnął tchu i przesunął ręką po twarzy, starając się zebrać myśli.

Czyn Everanda mógł mieć poważne konsekwencje. Zwłaszcza że chłopak użył noża.

- Nie żyje, prawda? - westchnął, ruchem głowy wskazując za okno.

- Tak - odrzekła Iana, którą na nowo ogarnął strach, kiedy uświadomiła sobie, co ich czeka. - Chyba już nie żył w chwili, kiedy wyrzucaliśmy go na podwórko.

Henri z namysłem podrapał się po brodzie.

- To był tutejszy. Widziałem, jak pił z innymi, kiedy weszliśmy do gospody. Czy karczmarz przyszedł albo przysłał kogoś, by się dowiedzieć, co to za hałasy?

- Nie. Nikt tu nie zaglądał - pospieszył z odpowiedzią Ev. - Myślisz, panie, że ten bandyta działał z nim w zмовie?

- Bardzo możliwe. Karczmarz wie o nas niewiele. W zasadzie tylko to, że przybyliśmy z Francji. Podejrzał zapewne, że nawet gdy znikniemy, to i tak nikt o nas nie będzie wypytywał. W tej sytuacji zrobimy dużo mądrzej, jeśli zawczasu sami stąd wyjedziemy.

- Jestem tego samego zdania - prędko przytaknęła mu Iana

Henri chwycił w rękę krótki miecz, upuszczony przez napastnika, zebrał zakupy i pakunki. Baczenie rozejrzał się po izbie.

- Pospiesz się, Ev. Weź resztę, a Iana zatroszczy się o dziecko. Zbierajmy się stąd, póki nikt jeszcze nie podniósł krzyku!

- Czy mnie powiesz, panie? - cicho zapytał Ev, pakując pozostałe rzeczy.

- Ten obwieś dobrze wiedział, na co się naraża! - odrzekł rycerz.

- Sir Henri ma rację, ale lepiej nie czekać, aż odkryją zwłoki i zacznie się dochodzenie - powiedziała Iana .

Ułożyła Tam w nosidlach. Obudziła się, ale jak zwykle nie wydała żadnego dźwięku. Henri mógłby przysiąc, że dostrzegł strach wzbierający w wielkich, ciemnych oczach dziewczynki.

Uśmiechnął się, chcąc dodać jej odwagi.

- Chodźmy już - powiedział miękko do Iany i Everanda, aby przypadkiem jeszcze bardziej nie przestraszyć dziecka.

Zeszli po schodach cicho i bez pośpiechu. Właściciela nie było na zwykłym miejscu za szynkwasem. Za to przy stole grała wyraźnie podchmielonych mężczyzn kłóciła się zawzięcie.

Henri z udawanym spokojem poprowadził Ianę i chłopca do stajni. Nie zastali w niej stajennego. Na szczęście, ich konie były na swoich miejscach.

Chwilę później odjechali, nie nagabywani przez nikogo. Zapadał zmrok i powoli zamierał ruch na placach i wąskich uliczkach. Henri miał nadzieję, że przez pewien czas nikt w gospodzie nie zauważy ich odjazdu. Chciał jak najszybciej znaleźć się daleko od miasta.

- Którędy do promu, pani? - spytał przez ramię.

Pokazała mu ledwie widoczną ścieżkę. Henri natychmiast skierował się w tę stronę, popędzając konia. Miał nadzieję, że przewoźnik da się namówić na jeszcze jeden kurs, mimo że zrobiło się już prawie ciemno. Nie chciał uciekać się do przemocy.

Wiedział, że to co się stało w gospodzie, równie dobrze mogło nie mieć żadnych dalszych następstw. Mieszczanie mogli pochować trupa i po godzinie o nim zapomnieć. Nie potrafił jednak zapomnieć, z jakim przejęciem nieznanomy mężczyzna pochylał się nad zwłokami. Biada im, jeżeli oberżysta wiedział, że któryś ze stałych bywalców karczmy po pijanemu poszedł na górę! Wybite drzwi, ślady walki, plamy krwi na podłodze. Sam diabeł by im nie pomógł.

Szkoci kochali zemstę. Poszczególne klany walczyły pomiędzy sobą nie tylko o ziemię i zamki. Rodowe waśnie ciągnęły się przez pokolenia. Nie wybaczyliby cudzoziemcom, gdyby wyszło na jaw, że zabili ich ziomka.

Iana obserwowała z bezpiecznej odległości, jak Henri targował się o przeprawę. Znowu garść srebra zmieniała właściciela. Znowu zapłacił za dużo! Zostanę bez środków do życia, zanim dojadę do miejsca przeznaczenia, pomyślała ze smutkiem.

Henri obiecał wprawdzie, że pomoże znaleźć przytulny kąt i dobrą pracę, ale ona zdawała sobie sprawę, co to może oznaczać i jakie niebezpieczeństwo może ze sobą nieść. Wcale nie była przekonana o tym, że zdoła zapanować nad siłą, która pchała ją w ramiona Henriego.

Sama się sobie dziwiła. Przecież jeszcze tak niedawno

odżegnywała się od kontaktów z mężczyznami, których miała serdecznie dość po tym, co ją spotkało. Tymczasem teraz coraz częściej myślała o Henriem, o tym, jak by to było, gdyby ją pocałował.

Zawstydzona, odwróciła głowę i starała się na niego nie patrzeć. Wcale jej się nie podobało, że z przyjemnością spoglądała na tego rosnącego rycerza.

Nawet nie musi brać mnie do łóżnicy, uświadomiła sobie z niechęcią. I tak stanę się w pełni od niego zależna, choćby w zamian za pomoc, której mi udzielił. Będę zdana na jego łaskę, zmuszona robić wszystko, czego ode mnie zażąda. A przecież nawet największa rozkosz nie jest warta takiej uległości. Żaden mężczyzna mnie do tego nie zmusi. Nawet tak grzeczny i przystojny, jak sir Henri. Na razie mam serdecznie dosyć życia pod dyktando mężczyzny.

Tylko konieczność wspólnej ucieczki spowodowała, że byli ze sobą na przyjaznej stopie, rozmyślała dalej Iana. Jedynie dlatego zgadzała się na jego propozycje. Po przyjeździe na miejsce zamierzała odzyskać swobodę decydowania o sobie. Najważniejsze, żeby znalazła pracę. To jej zagwarantuje środki do życia, a co za tym idzie niezależność.

Widząc, że Henri wreszcie dobił targu, podjechała bliżej i zsiadła z konia. Wprowadzili wierzchowce na pokład promu, kołyszącego się niebezpiecznie na wzburzonych falach. Iana zauważyła, że nurt rwie o wiele szybciej niż wtedy, kiedy była tu poprzednim razem. Brat mówił jej, że w tym miejscu koryto rzeki jest nieco węższe, a woda płytsza, dzięki czemu łatwiej przeprowić się na drugą stronę.

W lekko zamglonym złotym blasku zachodzącego słońca odległy brzeg wydawał się być całkiem blisko. Na dobrą sprawę można byłoby dostać się tam nawet wplaw, gdyby nurt nie był tak szybki a woda zimna.

Prom okazał się szaroburą krypą o płaskim dnie i burkami sięgającymi na wysokość ramienia, dostosowaną do transportu ludzi, zwierząt i towarów. Dwóch przewoźników stało przy grubych linach, a dwóch innych przy długich drewnianych żerdziach, które umożliwiały odpychanie się od dna. Trzy konie i siedmioro ludzi sprawiało, że na pokładzie było bardzo ciasno.

Iana zdrząła. Nie lubiła przebywać na wodzie. Poprzednim razem, kiedy tutaj była, omal się nie rozchorowała od kołysania.

Woda z pluskiem uderzała o burty promu. Liny nie były jeszcze dostatecznie naprężone, więc przewoźnicy, mocno pracując żerdziami, skierowali łódź na głęboką wodę.

Kiedy tylko odbili trochę dalej od brzegu, Tam zaczęła kręcić się niespokojnie w nosidlach. Iana uklękła, a Ev prędko wyjął małą.

- Dziękuję ci, Everandzie.

Wzięła dziecko na ręce i przytuliła. Nie mogła ustać na kołyszącym się pokładzie, więc jedną dłonią oparła się o burte.

- Możesz na chwilę potrzymać dziecko?-zwróciła się do Everanda. - Spróbuję znaleźć jakieś wygodniejsze miejsce.

Chłopiec nie protestował, wyciągnął ręce po dziecko. W tym samym momencie pękła jedna z lin holowniczych.

Prom zachybotał się gwałtownie i Everand wpadł na Ianaę, która ratując się przed upadkiem, puściła Thomasinę. Dziewczynka wypadła za burzę.

Iana krzyknęła rozdzierającym głosem. Henri, który widział to całe zdarzenie, bez namysłu skoczył do wody za dzieckiem. Przewoźnicy naporli na drągi i prom stanął, Iana z całej siły oburącz przytrzymywała chłopca, żeby nie poszedł w ślady rycerza.

- Panie! - krzyknął z rozpaczą Ev, szamocząc się jak oszalały. - On się utopi! Muszę mu pomóc!

Iana chwyciła go w pól.

- Uspokój się! Jak skoczysz za nim, to będzie musiał ratować was oboje! - zawołała.

Jeden z flisaków podszedł do burty w miejscu, w którym wyskoczył Henri. Wychylił się i wyciągnął tyczkę daleko przed siebie. Silniejsza fala znów zatrzęsła promem, Iana zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Ev płakał. Chwile dłużyły im się jak godziny.

- Hej, panie! - krzyknął przewoźnik. - Podpłyn kawałek, złap się za tyczkę i podaj mi rękę, to cię wyciągnę! Chwyć mocno!

Iana pozwoliła Everandowi przechylić się przez burzę i pomóc rycerzowi wydostać się z kipieli. Po chwili Henri stał już na pokładzie. Thomasina, mokra i przestraszona, znalazła się w ramionach przybranej matki. Henri zmęczonym ruchem osunął się na pokład przy burcie. Iana wytarła dziecko chustą. Thomasina dygotała z zimna. Henri podsunął się, nie wstając, dotknął jej mokrą ręką i zapytał:

- Zdążyłem? Żyje?

W tej samej chwili, jakby w odpowiedzi, Thomasina zakwiliła głośno i zakasłała.

- Dzięki Bogu - wyszeptał Henri, po czym zemdłał.
- Zobacz, co z nim, Everandzie - cicho poprosiła Iana łamiącym się głosem. - Zobacz, co z twoim ojcem.

Przewoźnicy, mrużąc coś pod nosem, wrócili na swoje miejsca. Everand i Iana zajęli się pakunkami. Ev znalazł sakwę z pledem Iany, którym natychmiast okrył swojego pana.

Thomasina wciąż marudziła i płakała, z uporem protestując przeciw kąpielom w zimnej wodzie. Iana zdjęła z niej mokre ubranko i zawinęła w ciepły wełniany pled. Wciąż przemawiała pieszczotliwie, żeby ją uspokoić. Już po chwili mała zaczęła głośno ssać swój palec.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Iana, nieświadomie powtarzając wcześniejsze słowa Henriego.

Rzeczywiście to był prawdziwy cud, że nikomu nic się nie stało. Zbyt dużo wrażeń jak na jeden dzień, pomyślała Iana.

- Jak on się czuje? - spytała Everanda.

- Żyję, żyję! - zamiast chłopca odpowiedział Henri. Usiadł i ciasno owinał się kocem. - Chociaż okropnie przemarzłem. A Thomasina?

Iana pocałowała mokre włosy dziecka i przytuliła do niej policzek.

- Coraz cieplejsza - szepnęła ze słabym uśmiechem.

- Słyszałeś, jak zapłakała?

Henri chrząknął głośno.

- Chyba słyszeli ją aż w Paryżu - zażartował.

Everand roześmiał się, lecz nagle znów zaczął gwał-

townie szlochać. Henri otoczył go ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Przytul się do mnie i użyj mi trochę swojego ciepła, synu. Coś mi się zdaje, że obaj powinniśmy trzymać się z dala od wody. Nie jest dla nas łaskawa, mamy przez nią same kłopoty.

Iana spojrzała nań ponad główką Thomasiny i łzy napłynęły jej do oczu ze wzruszenia. Słyszała miłość w głosie Henriego. Poruszyło to jakąś czułą strunę w jej sercu. Poczuła dziwną tęsknotę. Ciekawa była czy Henri skoczyłby za nią do wody, tak jak natychmiast rzucił się za Thomasiną.

Załadowali bagaże na końskie grzbiety. Henri wręczył przewoźnikom kolejny kawałek srebrnego łańcucha w podziękę za to, że go wyciągnęli z rzeki i pomógł Ianie wspiąć się na wierzchowca. Nosidło miała teraz przywiązane z przodu, na piersiach, żeby nie spuszczać oczu z Thomasiny. Małeństwo zasnęło, widać zmęczone nieprzyjemną przygodą. Henri pogłaskał je po główce i uśmiechnął się do Iany.

- Możliwe, że już nigdy nie będzie chciała się wykąpać.

- Mam nadzieję, że szybko zapomni o tym przykrym doświadczeniu - odpowiedziała Iana, odwzajemniając jego uśmiech.

- Wygląda na to, że strach rozwiązał jej język. Zawsze była taka cicha?

Henri spod oka spojrział uważnie na Ianę, która nagle spoważniała. Zamiast odpowiedzieć, popatrzyła w stronę Everanda.

- Twój giermek bardzo potrzebuje snu, a już za chwilę zrobi się ciemno. Jedźmy dalej i znajdziemy miejsce na obóz.

Henri kiwnął głową, odwrócił się i odszedł. Było mu przykro, że Iana nadał nie obdarza go zaufaniem i obawia się wyjawić mu swoje tajemnice. Większość młodych matek na ogół nie chciała mówić o niczym innym, jak tylko o dzieciach. Potrafiły rozprawiać o swoich pociechach godzinami. Tymczasem Iana jak ognia unikała rozmów o Thomasinie.

Może chodziło o to, że Tam jest dzieckiem z nieprawego łoża, zastanawiał się Henri. Iana zgrzeszyła cudzołóstwem i za karę została wypędzona przez rodzinę. Przecież to niemożliwe, żeby z własnej woli tułała się po świecie, zdana tylko na siebie.

W myśl prawa niewiasty mogły być bardzo surowo karane za niewierność. Rzadko to się zdarzało, bo żaden mąż nie chciał otwarcie przyznać, że jest rogaczem. W innym przypadku, gdy kobieta, podobnie jak Iana, nie chciała porzucić dziecka, traciła dom i mężowską opiekę i musiała sobie sama radzić. To samo dotyczyło niezamężnych dziewcząt ze szlacheckich rodów, które zaszły w niechcianą ciążę.

Henri był już pewien, że Iana jest damą i nie pochodzi z chłopskiej rodziny.

Wspomniała kiedyś, że miała męża, lecz z drugiej strony wyraźnie nie wiedziała, jak wiele przyjemności może dać w pełni udany związek mężczyzny i kobiety. Henri był ciekaw, czy współżyła z mężem. Bo jeśli tak, to dlaczego ktoś miałby kwestionować prawo Thomasiny do

legalnego pochodzenia? Za dużo zagadek. Był zbyt zmęczony wyczerpującą jazdą i przymusową kąpielą w zimnej rzece.

- Czy naprawdę czeka nas wędrówka przez góry? - zboliałym głosem spytał Everand, pokazując na pasmo Carrick.

- Skierujemy się bardziej na północ - uspokoił go Henri. - Zbocza tam nie są takie strome, chociaż droga wydaje się trochę dłuższa.

- Nie! - krzyknęła Iana. - Tylko nie to. Nie skęcimy na północ.

Robiła wrażenie mocno zdenerwowanej. Henri obejrzał się przez ramię.

- Dlaczego?

- To moja sprawa. Po prostu nie chcę.

Henri wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru przekonywać Iany do zmiany zdania, lecz nie zamierzał od razu ustępować.

- Rozbijemy obóz na leśnej polanie. Z samego rana będzie dużo czasu na ustalenie dalszej marszruty.

Ukradkiem popatrzył na Ianę. Prawdopodobnie najzwyczajniej w świecie bała się, że w tamtych stronach spotka kogoś ze swojej rodziny. Teraz był już zupełnie pewny, że urodziła się w tej okolicy.

Zatrzymał konia i zarządził postój. Zgodnie z jego radą rozbili obóz pod osłoną drzew. Iana była równie zmęczona jak Henri, a Everand ślaniał się na nogach.

- Rozpal ogień, Ev. Ja zajmę się końmi. Lady lano, jeśli ma pani jeszcze trochę siły, to proszę znaleźć mi odzienie w worku z zakupami, które zrobiłem w Largsmuth.

Jest tam także ubranko dla Thomasiny. Ty i Everand - jeżeli chcecie - możecie oszczędzać rzeczy na przyjazd do Baincroft.

- Kupiłeś dla nas odzież, panie? - zapytała z wyraźnym niezadowoleniem. - Nie przypominam sobie, żeby ktoś z nas cię o to prosił.

Widać ciągle nie może przeboleć tego srebra, ze smutkiem pomyślał Henri.

- Przypadkowo natknąłem się na żonę kupca, która chciała sprzedać zupełnie nową, szytą dla niej suknię. W innym kramie zauważyłem też dziecięce ubranko. Kupiłem to za niewygórowaną cenę. Opończe dla mnie i dla Everanda nie były nowe, więc kosztowały mało. Nadal mam jeszcze trochę srebra. Co wydałem, to oddam. Przecież ci obiecałem.

Wydawało mu się, że usłyszał jej niedowierzający pomruk, ale nie miał siły się na nią gniewać. Nic więcej nie powiedziała. Posadziła dziecko na trawie i zajęła się bagażami, żeby poszukać tego, o co prosił. Rzuciła mu pod nogi nową koszulę i nogawice, a potem wróciła do Thomasiny. Prędko zaczęła ją przebierać. Po chwili mała zwinęła się i wsadziła sobie palec do buzi. Zamknęła oczka.

Henri patrzył, jak Iana wyrwała pęk trawy i starannie wytarła boki swojej klaczy. Jej ruchy świadczyły o ogromnym zmęczeniu.

- No na co czekasz? Idź już! - rozkazała mu. - Zmień mokre ubranie. Ja przez ten czas skończę oporządzać konie.

- Jak sobie życzysz - odparł z przekąsem.

Nie zamierzał jej się sprzeciwić. Ciągłe nie wierzy, że z nawiązką oddam jej wszystkie długi, uznał ze złością. Schylił się po swoje rzeczy i odszedł na bok.

Między Bogiem a prawdą, miała prawo, żeby nie dawać wiary w jego słowa. Przecież jej nie powiedział, jak bardzo jest bogaty. Nie wspomniał, że ma dużo więcej niż jeden srebrny łańcuch. Gdyby jej wyznał, że włada kilkoma posiadłościami we Francji i że jest spadkobiercą innej wielkiej fortuny, to może wtedy by mu zaufała, nie obawiała się, że nie odda jej równowartości srebrnego łańcucha.

Zaufała? - pomyślał z przekąsem i smętnie pokręcił głową. Niby dlaczego? Który bogaty szlachcic wypływał na pełne morze, wiedziony inną potrzebą niż podróż w interesach? Do walki wynajmował okręty, dzielną załogę i dobrze wyćwiczone wojsko. Henri stanął na czele oddziału tylko z rozkazu króla. Choć prawdę mówiąc, nawet i wówczas wcale nie musiał tego robić. Nie umiał jednak spokojnie siedzieć w domu, podczas gdy jego ludzie ginęli na polu bitwy.

Cóż, Iana pozna prawdę dopiero wtedy, kiedy bezpiecznie dotrą do Baincroft. Ojciec i Rob pożyczą mu lub dadzą wszystko, czego zapagnie. Ta uparta kobieta wreszcie zrozumie, że nie miała powodów do najmniejszych obaw. Zajmę się nią, postanowił Henri, i zadbam o to, żeby już nigdy nie musiała martwić się o przeżycie.

Z łatwością wyobraził sobie, jak pociągająco Iana będzie wyglądać po kąpieli w pachnącej wodzie, wystrojona w modne suknie i biżuterię.

Ach, szkoda, że nie może być moją metresą, pomyślał.

Dobrze wiedział, że nigdy by się na to nie zgodziła. Nawet jej o to nie zapytam. Sprawilibym jej niewymowną przykrość, nie wspominając o słusznej obrazie. Najlepiej zrobi, jeśli zostawi Ianę w spokoju.

Zdjął mokre odzienie i włożył świeżą koszulę. Miał nadzieję, że zaoszczędzi ją na czas przyjazdu do Baincroft, zamiast spać w niej przez kilka kolejnych nocy. Niestety, wypadek podczas przeprawy przez rzekę zniweczył tę część jego planów.

Henri odgarnął włosy z czoła i przyglądał je lekko za uszami. Broda urosła mu tak gęsta, że budził strach swoim wyglądem.

Jutro rano naostrzę sztylet i spróbuję się trochę ogolić, pomyślał. Rob nigdy nie wpuściłby mnie do domu, gdybym wyglądał jak dzikie zwierzę.

Dom. Baincroft od zawsze było jego domem, mimo że w swoim kraju posiadał bogate włości. Odkąd jednak, jako czternastolatek, po raz pierwszy przybył do Szkocji, tu cieszył się rodzinną serdeczną atmosferą i kontaktem z bliskimi.

Krótkie wygnanie jego ojca dla obu okazało się szczęśliwe. Ojciec ożenił się z lady Anne, a ona zastąpiła Henriemu matkę, której we Francji nie miał. Jej syn, Rob, stał się ukochanym bratem. Beztróskie lata spędzone w Baincroft, w gronie prawdziwie kochających osób, były najszczęśliwszym okresem w jego życiu. Często powracał do nich myślami.

Bradzo źle zniósł rozstanie z najbliższymi, kiedy przed laty musiał samotnie udać się do Francji, by zająć się majątkiem ojca. Lennicy go potrzebowali. Teraz wracał

i wiedział, że niedługo znowu połączy się z rodziną. Nie mógł się tego doczekać.

Niespodziewanie ogarnęło go współczucie. Biedna Iana

. Jej rodzina zapewne mieszkała gdzieś w pobliżu, ale dziewczyna drżała na samą myśl nawet o przypadkowym spotkaniu. Będzie więc dalej żyła w obcym dla siebie miejscu, bez bliskich i przyjaciół.

Henri podszedł do ogniska. Już z daleka słyszał chrapanie śpiącego Everanda. Musiał być bardzo zmęczony drogą i niezwykłymi przeżyciami. Stał na wysokości zadania, obronił siebie i Ianę, potem bał się o zdrowie i życie swego pana i przybranego ojca w jednej osobie. To stanowczo za dużo jak na chłopca, nawet tak dzielnego jak Everand. Thomasina leżała w ciepłym nosidelku. Miała zamknięte oczka, a jej długie rzęsy kładły się cieniem na miękkich policzkach.

Iana spojrzała w jego stronę. Henri dostrzegł na jej twarzy znużenie.

- Jesteś głodny? - spytała.

- Jak wilk - przyznał bez żenady.

Usiadł przy niej i wziął to, co mu podsunęła.

- Ach! - ucieszył się. - Widzę, że zostało nam jeszcze trochę sera! Świetnie. Rano zastawimy sidła i być może schwytamy coś pożywnego do jedzenia. W gruncie rzeczy, możemy tu zatrzymać się na nieco dłużej.

- Nie - odparła Iana. - Chcę jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Uważam, że powinniśmy przejść przez góry, nie skręcając na północ.

Henri nie odpowiedział od razu. Skończył jeść i wypił kubek wody, którą przed chwilą przyniosła z potoku.

- No i co masz mi do powiedzenia? - zapytała ostro, nie patrząc na niego.

Westchnął i strzepnął okruszki.

- Droga przez wzgórze jest krótsza, ale stroma. Obawiam się, że musielibyśmy zsiąść z koni i iść piechotą. Choćbyśmy bardzo się wyteżali, nie zyskamy tym sposobem na czasie.

- Ale za to unikniemy pościgu. Nie boisz się ludzi z miasta?

Henri napotkał jej baczne spojrzenie.

- Nie spotkamy też nikogo z twoich, prawda? Mieszkają właśnie tutaj, na północy. Mam rację?

- Co cię to obchodzi?

- Naprawdę nie ma żadnej możliwości, byś mogła liczyć na ich wybaczenie? - zagadnął najdelikatniej, jak potrafił. - Wszak niejedna rodzina czasami się pokłóci, a potem wszyscy sobie wybaczą.

- Żadnej - krótko odparła Iana. Wstała i odeszła.

- Iano, poczekaj.

Henri poszedł za nią i położył jej rękę na ramieniu, żeby ją zatrzymać. Dał krok bliżej, pochylił się i musnął ustami jej policzek. Skóra dziewczyny była miękka i pachnąca.

- Wybacz mi - szepnął. - Nie zamierzałem cię urazić. Masz prawo do zachowania swoich sekretów dla siebie, nie musisz ze mną się nimi dzielić. Chociaż... może mógłbym ci pomóc.

- Naprawdę? Proszę, proszę. - Wyrwała mu się. Drżała z tłumionej złości, a jej oczy ciskały błyskawice. - Moje życie to moja własność! Powtarzam: moja i tylko moja.

Cieężko przyszło mi za to zapłacić. Jeśli naprawdę nie potrafisz przyjąć mnie takiej, jaka jestem, to lepiej tutaj się rozstańmy i... i niech cię diabli wezmą! Nigdy więcej żaden mężczyzna do niczego mnie nie zmusi ani nie będzie mną rządził!

- Hola, hola! - zawołał, szeroko rozkładając ręce. - Nie wojuj ze mną aż taką ciężką bronią. Czy kiedykolwiek wywierałem na ciebie presję? Przymuszałem cię do czegoś?

Pokręciła przecząco głową. Skrzyżowała ręce na piersiach i odruchowo potarła miejsce, tam gdzie jej dotknął.

- Dlaczego się mnie boisz, lano? - spytał o wiele łagodniejszym tonem. - Jak tu stoję, klękę się na wszystkie znane mi świętości, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

Znów przysunął się do niej i ujął jej twarz w dłonie. Odskoczyła jak oparzona, a jego ręce zawisły w powietrzu.

- Wcale się ciebie nie boję! - warknęła.

Wbrew wojowniczemu stwierdzeniu, w rzeczywistości była przestraszona. Mógł to rozpoznać zarówno po jej głosie, jak i po zachowaniu. Czy ktoś tak bardzo źle ją potraktował, że teraz bała się każdego mężczyzny? Henri zdawał sobie sprawę, że pewnych rzeczy nigdy się nie dowie. Dlaczego więc tak bardzo chciał poznać całą prawdę?

- Wiesz, że cię podziwiam - rzekł, zmieniając taktykę.

Postanowił zdobyć jej zaufanie, a więc coś, czego nie chciała nikomu okazać. Może dlatego wydawało mu się takie cenne?

- Niewiele kobiet przeżyłoby w tak ciężkich warunkach - powiedział z uznaniem. - Nie wiem, co ci się przydarzyło, pani, i jakie doświadczenia masz za sobą, ale jestem przekonany, że niewiele kobiet zniosłoby trudy naszej podróży.

Uśmiechnął się, pragnąc przywrócić przyjacielską atmosferę.

- Nie mam zwyczaju mdleć ani chorować ze zmęczenia - opryskliwie odpowiedziała Iana. Przcisnęła ręce do piersi, jakby w ten sposób chciała zapanować nad drżeniem ciała.

- I tak nie umiałbym cię ratować - zaśmiał się Henri, Iana po krótkiej chwili spojrzała na niego.

- Nie mam do ciebie pretensji - dodał. - To moja wina. Niepotrzebnie nagabywałem cię o twoje prywatne sprawy.

Zmusiła się do uśmiechu. Widać było, że jest zmęczona. Zrobiło mu się jej żal. Była dzielna, ale wyraźnie potrzebowała odpoczynku. To było ważniejsze niż odkrycie prawdy o jej życiu. Przyjdzie i na to czas.

- Musisz wypocząć. Prześpij się. Ja zrobię to samo. Musimy nabrać sił przed drogą. Przeprowa przez góry nie będzie łatwa.

- Przez góry - powtórzyła i popatrzyła na niego z wdzięcznością.

Zatem się zgodził, pomyślała z ulgą.

Henri nie spuszczał z niej wzroku. Wydawało mu się, że po jego ostatnich słowach nareszcie odzyskała dobry humor. Postanowił ją o coś poprosić. Kiedy szli w stronę śpiącego Everanda i Thomasiny, przytrzymał ją za łokieć i zapytał:

- Mała ma ciepłe okrycie, a Ev koc. Mógłbym położyć się koło ciebie, żeby nam było odrobinę cieplej?

Zesztywniała, jakby ją uderzył.

- Do końca życia nie zlegnę u boku żadnego mężczyzny! - odparła z furją. - Ciebie to też dotyczy.

scan-dalouis

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Iana spodziewała się, że po tym, co mu powiedziała, Henri wpadnie w furię lub, przeciwnie, dostanie napadu śmiechu. Mężczyźni byli zbyt próżni, by przyjąć do wiadomości, że kobieta może odmówić. Opór budził w nich niepohamowaną złość, mogli się posunąć nawet do użycia siły.

O dziwo, Henri ani jej nie wyśmiał, ani nie zrobił jej nic złego. Ze spokojem przyjął jej oświadczenie. Tylko popatrzył na nią, jakby z wyrazem smutku lub współczucia, Ianie nie bardzo się to spodobało, lecz lepsze było od wyrzutów czy uderzenia.

- Jak sobie życzysz - powiedział miękko i skłonił się.
- A raczej, jak sobie nie życzysz - dodał z ledwie uchwytną drwiną. - Chciałem jedynie, żeby nam było ciepłej. Ani przez chwilę nie zamierzałem nastawać na twoją godność.

Iana kiwnęła głową na znak, że przyjmuje jego przeprosiny, i skierowała się do miejsca, gdzie spała Thomasina.

Henri wciąż ją zadziwiał. Nigdy nie spotkała takiego człowieka. Przecież już nieraz widywała go w bardzo złym nastroju. Chociażby wtedy, gdy pociął ubranie na niedoszłych złodziejach, a potem pogonił ich w głąb lasu.

Nawet jednak gdy się złościł lub gniewał, wyczuwało się, że panuje nad sobą. Z kolei, ile razy pouczał ją lub Everanda czy ganił ich, oczywiste było, że robił to dla ich dobra.

Westchnęła. Nie powinna rozmyślać o Henrim, tym bardziej że dostrzegała w nim coraz więcej zalet. Przekonała się już, do czego może dojść, gdy kobieta poważnie potraktuje komplementy, obietnice i zapewnienia mężczyzny.

- Śpij dobrze, pani - szepnął Henri z miejsca, w którym się położył, w pobliżu swojego giernka.

- Ty także - odparła Iana i po chwili zastanowienia dodała: - Dziękuję.

Była pewna, że ją zrozumiał. Wszak nie dziękowała mu wyłącznie za to, że przed snem powiedział jej „dobranoc”. Dopiero teraz uwierzyła, że nie zechce jej pościć siłą. Lękała się tego, odkąd wyzdrowiał.

Ostatnio jednak o wiele bardziej zaczęła bać się samej siebie, a ściśle tego, czy zdoła nad sobą zapanować. Henri okazał się łagodny, mądry i zrównoważony. Widać było, że dba o ludzi pozostających pod jego opieką. Iana zdawała sobie sprawę, że właśnie przymioty charakteru pociągały ją wiele bardziej niż jego mocne ciało. Chociaż musiała przyznać, że posturę miał imponującą.

Przewróciła się na drugi bok, bo nagle odechciało się jej spać. Erotyczne doświadczenia, które zyskała jako żona, były bolesne i nieprzyjemne. Coś jej podpowiadało, że Henri potraktowałby ją zupełnie inaczej niż Duncan. Ale jak?

Był spokojny, ale czy żądza nie wyzwoliłaby w nim okru-

cieństwa i chęci użycia przemocy? A może właśnie wówczas wyszłyby na jaw wszystkie ciemne strony jego charakteru? Przecież tak było z Duncanem i nawet z Newellem. Wiedziała to od jego żony. Dorothea często zwierzała jej się ze swoich małżeńskich problemów. Czy Henri zraniłby mnie, czy dał rozkosz, o której tak kiedyś marzyłam?

Tam, gdzie mieszła do tej pory, każde jej poczynanie, wydatek, a nawet sposób ubrania, bywał jej z góry narzucony. W żadnej sprawie nie mogła mieć własnego zdania. Jako wdowa, choć w części odzyskała wolność i nie chciała znów jej utracić. Gdyby pozwoliła Henriemu zbliżyć się do siebie, a ich znajomość przerodziła się w intymny związek, z pewnością musiałyby mu się, choć w części podporządkować. Henri był zbyt odpowiedzialny, żeby pozostawić ją swemu losowi. Utraciłaby możliwość decydowania o sobie, jeżeli nie całkowicie, to po części. A to nie było jej w smak.

Wsparła głowę na rękę, przysunęła się do Thomasiny i za wszelką cenę starała się zapomnieć o dotkliwym chłódzie, którego przecież mogła nie odczuwać, gdyby przystała na propozycję Henriego. Kiedy po pewnym czasie wreszcie zmorzył ją sen, w marzeniach nie była już tak stanowcza. W jej śnie uzupełniali się i tworzyli całość. Nie było pana i poddanej, nie było walki, kto będzie górą. Tylko przyjemność brania i dawania. Iana wcale nie chciała się obudzić.

Henri szturchnął Everanda butem i szepnął:

- Wstawaj, śpiochu. Przynieś wodę i rozpal ogień. Zobacz, co znalazłem.

Ev niechętnie otworzył oczy. W jednej chwili był już na nogach.

- Jajka!

- Ciiiicho. Tak, dziś na śniadanie będziemy mieli prawdziwą ucztę. Jajecznica i pieczeń z kuropatwy. Chcę zrobić niespodziankę naszej damie. Na pewno zaraz się obudzi, kiedy poczuje ten wspaniały zapach.

Henri roześmiał się, widząc, jak chłopiec zręcznie uwi-
ja się przy ognisku. Everand oparł dębową gałąź na dwóch rozszczepionych patykach, umieszczonych po obu stro-
nach ognia, nadział oskubanego i wypatroszonego ptaka i zajął się dalszym kucharzeniem. Jak zwykle wszystko bez zarzutu, z dumą pomyślał Henri.

Przypomniały mu się dawne czasy w Baincroft, kiedy z Robertem znikali na całe dni, polowali i sami sobie szykowali pieczyste. Nauczyli się wówczas samodzielnie sobie radzić. Potrafili przyrządzić strawę, no może nie bar-
dzo wyszukaną, przeprać w strumieniu ubranie, przy-
gotować strzały czy zakładać sidła. Bawili się w krzyżow-
ców albo banitów czy rycerzy Okrągłego Stołu, poszuku-
jących Świętego Graala. To były wspaniałe czasy. Zobyte
wówczas umiejętności przydawały mu się potem wiele
razy.

Z przyjemnością popatrzył na śpiącą kobietę i dziecko. Cieszył się, że oboje zjedzą pożywny posiłek.

Przyszło mu do głowy, że podejrzliwa Iana pomyśli so-
bie, że chce ją przekupić obfitym śniadaniem. Może uzna,
że Henri zasługuje na całusa?

Zaczął obracać ptaka na rożnie. Wprawdzie Iana nie
pozwoliła mu zasnąć przy sobie, ale na pewno nie wie-

działa, że i tak leżał przy niej. Uśmiełaby się, słysząc, na jakie niewygody narażał się dzisiejszej nocy. Nie mógł jej o tym powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

Dmuchał w ogień i, podśpiewując pod nosem, pilnował piekącej się kuropatwy. W tym samym czasie Ev przyniósł wodę, aby ugotować jajka. Henri ponownie zerknął na śpiącą Ianaę. Patrzył na jej długie złote włosy, które tak rzadko miał okazję oglądać w pełnej krasie. W nocy ostrożnie rozplótł jej warkocz, żeby rano móc nacieszyć oczy cudnym widokiem, gdy będzie je spletała w blasku wschodzącego słońca.

Kolor jej włosów ciągle go zdumiewał. Na dobrą sprawę, mając ciemne brwi i oczy, Iana powinna być szatynką, a tymczasem jej długie loki miały bogatą barwę starego złota. Fascynujące, pomyślał i z uśmiechem pokręcił głową.

Iana była urodziwa. Nie chodziło tylko o kształtną sylwetkę, regularne rysy twarzy czy piękne włosy, które czyniły z niej obiekt pożądania. Promieniała wewnętrznym blaskiem. Była ciepła i serdeczna, choć starannie to ukrywała za udawaną szorstkością. Jej niezwykła dzielność i odwaga były godne podziwu. Wszystko to razem sprawiło, że wzbudziła w nim uczucia, jakimi do tej pory nie obdarzył żadnej kobiety.

Może zbyt łatwo mu się poddawały, nie stawiając większych wymagań? Tak czy owak, żadna z nich nie mogła się z nią równać. Jego fascynacja Ianaą rosła z godziny na godzinę.

Wciąż czuł jej delikatny zapach. Nie dawało mu spokoju wspomnienie dotyku jej ciepłych drobnych rąk na je-

go ciele, kiedy opatrywała mu ranę. Dawne przeżycia, o których nie chciała mówić, przydawały jej tajemniczości. A on przecież uwielbiał tajemnice.

Żałował tylko, że nigdy z nią się nie ożeni. Jeśli zdecyduje się na ponowne małżeństwo, jego wybranką zostanie jakaś francuska szlachcianka. Tego się po nim spodziewano.

Jeśli jednak Iana naprawdę go pokocha, to nic nie zniszczy ich duchowego związku. Zatrzymam ją na przekór wszystkim, postanowił w duchu. Nie pozwoli jej na egzystencję wśród rozmaitych ograniczeń, które są narzucane tutaj, w Szkocji, samotnym kobietom z dziećmi. Zabierze ją ze sobą do Francji i tam obsypie bogactwami. Zapewni jej dostatnie życie, o jakim nawet nie marzyła. I co ważniejsze - uzna Thomasinę za swoją córkę, tak jak już przedtem zdecydował się usynowić Everanda. Córka hrabiego, mimo że nieślubna, może być w przyszłości dobrą partią. Postanowił, że napomknie o tym Ianie przy okazji.

Przyszło mu do głowy, że ludzkie życie, nawet w tej dziczy, może być piękne i mieć swój nieodparty urok. A wkrótce będzie jeszcze lepiej, uznał. Odzyskam zaufanie Iany, sprawię, że nie będzie wstydziła się pożądać mężczyzny i do mnie przyjdzie. Na pewno jest warta czekania. A potem nigdy już nie wpadnie jej do głowy, żeby zamartwiać się o przyszłość zarówno swoją, jak i Thomasiny.

Iana śniła o wspaniałej uczcie, w której już od bardzo dawna nie uczestniczyła. Powietrze wokół wypełniały nie-

biańskie aromaty. Wyciągnęła ramiona, przeciągnęła się, głęboko zaczerpnęła tchu i... obudziła się.

- Dzień dobry, moja droga pani - uprzejmie powitał ją Henri.

Zdumiała się, widząc, co robi przy ognisku.

- Zdobyłeś prawdziwe jedzenie!

Jednym skokiem znalazła się przy nim, spragniona ciepła bijącego od ogniska i świeżo upieczonego mięsa.

- Spójrz tylko - powiedział, patrząc ponad jej ramieniem.

Iana odwróciła się i zobaczyła, że Tam na kolanach zdążyła w ich stronę. Chyba ją też przyciągnęły smakowite zapachy. Mała pisnęła z niezadowoleniem, gdy natrafiła na swej drodze na przeszkodę.

Iana z wyciągniętymi ramionami podbiegła do dziecka, śmiejąc się radośnie. Kiedy spojrzała na Henriego, zobaczyła w jego oczach dumę, jakby nowy wyczyn Thomasiny był jego zasługą. W pewnym sensie miał do tego prawo. Otaczał dziewczynkę ogromną serdecznością i bez słowa sprzeciwu znosił jej płacz i marudzenie.

- Założę się, że już niedługo zaczniesz chodzić - powiedział z powagą Henri.

- Na pewno! - wykrzyknęła Iana, całując dziewczynkę. - Jest taka dzielna! - dodała ze wzruszeniem. - Moja malutka.

- Zasłużyła na nagrodę - oznajmił i wręczył Ianie drewnianą miseczkę z trzema jajami kuropatwy. - W zupełności na nią zasłużyła.

Kiwnęła głową przyzwalająco.

- Spotkałem jakąś rodzinę przy strumieniu - mówił

dalej Henri. - Coś tam mówili po swojemu, lecz ani w ząb ich nie zrozumiałem.

Iana spojrzała uważnie na Henriego.

- A nie wspomnieli, że wybierają się do Largsmuth? Nie usłyszałeś takiego słowa? Jeśli tak, to na pewno opowiedzą, że nas spotkali.

Posadziła dziecko na trawie i pospiesznie zaczęła zbierać rozrzucone rzeczy.

- Musimy szybko stąd odjechać, zanim ktoś nas znajdzie.

Henri nawet nie ruszył się z miejsca.

- Zgadzam się co do tego, że trzeba odjechać, ale bez pośpiechu. Ci ludzie najpierw muszą dojść do rzeki, przepłynąć się na drugą stronę i dotrzeć do miasta. Na pewno zajmie im to sporo czasu. Zanim trafią na kogoś, kto nas szuka, będziemy daleko stąd, w górach. Nie bój się, pani. Usiądź, zdążymy się posilić.

Dla Iany czas włókł się niemiłosiernie. Odetchnęła z ulgą dopiero wówczas, kiedy oddalili się od brzegów Clyde na znaczną odległość. Obawiała się zarówno tego, że ktoś ją znajdzie i odwiezie do Largsmuth, jak i tego, że stanie przed sądem za zabójstwo. Jej brat był jednym z rajców miejskich i bała się, że ta sprawa może mu podlegać.

Jechali cały dzień, zatrzymując się jedynie po to, żeby dać krótki odpoczynek koniom. Iana doszła do wniosku, że Henri chce jak najszybciej dotrzeć do domu brata. Nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego tym, że ktoś ich może ścigać.

- Ostrzegalem cię, że to będzie wyjątkowo trudny odcinek drogi - powiedział Henri w odpowiedzi na utyskiwania Iany.

Wreszcie stwierdzili, że muszą zejść z koni i iść dalej piechotą. Wierzchowiec Everanda poślizgnął się kilka razy i zaczął zostawać w tyle.

Tuż po zmroku zatrzymali się na nocleg. I znów we śnie Ianie było ciepło i rozkosznie.

Rankiem obudziła się zdenerwowana. Czuła wewnętrzny niepokój, ale powodu nie umiała nazwać.

Podczas dalszej podróży Thomasina marudziła, płakała i rzucała się w nosidełku jak ryba wyjęta z wody. Możliwe, że powoli wracała do życia. Jadła w miarę dobrze i miała dużo lepszą opiekę. Iana była szczęśliwa, że dziecko odzyskuje zdrowie, chociaż utrzymanie dziewczynki w nosidełku było coraz trudniejsze.

Henri zaferował jej już kilka razy swoją pomoc w opiece nad dzieckiem. Iana w końcu się zgodziła. Zawsze niby niechący dotykał jej dłoni, gdy podawała mu Thomasinę. W pewnym momencie nawet ośmielił się położyć jej ręce na ramionach i rozmasować obolałe mięśnie, Ianie sprawiło to dziwną przyjemność i w duchu błagała go, żeby nie przestawał.

Henri uśmiechał się z tajemniczą miną, jakby znał jej najskrytsze myśli. Przypominało to igraszki z ogniem. Gdy się zbliżała do ognia, iskry parzyły. Małeńka iskra mogła wzniecić pożar.

W połowie drugiego dnia Henri wstrzymał swojego wierzchowca i podjechał do Iany.

- No - westchnął z nieukrywaną ulgą - najgorsze za nami.

Iana zauważyła, że strome góry zmieniły się w łagodne pagórki.

- Gdzie jesteśmy? Poznajesz to miejsce? - spytała.

Henri kiwnął głową i popędził konia. Przesunął bacz-
nym spojrzeniem po horyzoncie.

- Jestem prawie zupełnie pewny, że Kelso musi być kilka mil stąd na południe. Baincroft leży na północy. To jakieś dobre pół dnia jazdy.

- Nie lepiej skrócić do bitego traktu i w najbliższej wiosce dowiedzieć się, gdzie jesteśmy? - Iana trąciła pię-
tami boki klaczy.

- Gdy wyjedziemy na równinę, rozpoznam okolicę -
zapewnił ją Henri.

Iana pokręciła głową.

- Nieprawda. Zabłądziliśmy.

- Nigdy nie błędzę - oznajmił z przesadną dumą.

Iana zachichotała, chociaż w gruncie rzeczy wcale nie było jej do śmiechu

- Tak? Nawet wtedy, kiedy wylądowałeś po złej stronie Szkocji? Teraz nie musiałbyś przemierzać całego kraju.

- Był ku temu poważny powód.

- Popatrz tam, panie - przerwał im Everand, wyciąga-
jąc rękę przed siebie. - Widzę dym. Trochę zbyt duży jak na obozowe ognisko. Skręcimy w tamtym kierunku? To niedaleko.

Przed nimi, w pewnej odległości, wiło się na tle nieba kilka pasemek siwego dymu.

- Oczywiście - bez wahania powiedział Henri. - Koń-
czą się nam zapasy. Przede wszystkim musimy zdobyć mleko dla małej.

Skreśli na południowy zachód. Thomasina, bezpieczna w nosidełkach na plecach Iany, wydawała monotonne buczenie, zafascynowana, jak zmieniał się jej głos pod wpływem ruchu konia. Te dźwięki śmieszyły Everanda. Ianie też wrócił dobry humor.

Wieś tętniła życiem. Wyglądała na dużo bogatszą od tych, przez które do tej pory przejeżdżali. Kobiety plotkowały przy studni, a z dala słyhać było donośne głosy dzieci zajętych zabawą. Nikt tu nie chodził w łachmanach i nie wyglądał na zagłodzonego. Obejścia były bardzo czyste i nieźle utrzymane, a trzoda tłusta i dorodna.

Henri podjechał do siwego starca, który siedział przed nowo wybudowaną chałupą, wycinając coś z drewna.

- Jak nazywa się to sioło? - zapytał.

- Tharlstane - odpowiedział starzec, przyglądając im się spod oka.

Henri zsiadł z konia.

- Chcieliśmy kupić trochę jedzenia. Znajdzie się u was coś na zbyciu? Mamy czym płacić.

Stary odłożył na bok kozik i drewno, wytarł ręce o wełnianą koszulę i wstał.

- Marta! - zawołał w stronę otwartych drzwi. Pызata młoda kobieta wystawiła głowę.

- O co chodzi, tato?

- Mamy gości, którzy chcą płacić. Przynieś trochę koziego mleka - zarządził.

Wyciągnął zakrzywiony palec w ich stronę i powiedział:

- Pomóż kobiecie zsiąść, przywiążcie konie i wejdźcie do środka.

Iana i Everand zsiadli z koni i chłopiec zaprowadził je za dom, na podwórko, żeby nie pozostawiać bagaży na widoku.

- Jestem Abel Sanquhar - przedstawił się gospodarz. Najwyraźniej rozpoznał rycerza, bo dodał: - A ty jesteś panem z Trouville, prawda?

- Dopiero będę. Znasz mojego ojca?

Henri schylił głowę, żeby nie zawadzić czołem o futrynę, kiedy mijał niskie drzwi domu.

- A jakże, hrabia jest dobrze znany w tutejszej okolicy. Parę lat temu pomagałem mu z kilkoma naszymi stawiać zabudowania gospodarcze na zamku. Zrobiłem także parę rzeźb do kaplicy. Usiądź, pani - zwrócił się do Iany i podszedł do półki, na której stały drewniane talerze i leżały drewniane łyżki.

Na stole Spoczął jeszcze nie wystygły bochen świeżo upieczonego chleba. Od zapachu mięsa duszonego na ogniu Ianie ślinka napłynęła do ust. Stary Abel położył koło chleba pół gomółki sera.

- Jak daleko stąd do Baincroft? - spytał Henri i wziął Tam od Iany.

Zajął miejsce na ławie i posadził sobie dziecko na kolanach. Thomasina oparła małe rączki o stół i spojrzała na gospodarza pytająco, jakby sama oczekiwała odpowiedzi. Wyglądali teraz jak ojciec z córką.

- Dosyć daleko, pół dnia drogi - odpowiedział stary. - A co? Macie jakąś sprawę do pana MacBaina?

- To mój brat - oznajmił z uśmiechem Henri, szczerze zadowolony, że ich długa podróż wreszcie dobiega szczęśliwego końca.

- Naprawdę? Znałem także i jego ojca - powiedział stary, skrzywił się i dodał z gniewem: - Kawał szubrawca. Swoimi wyczynami sprawił, że syn ogłuchł.

- Lord Robert wcale nie jest głuchy - sprostował Henri. - To najzdrowszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem. Nie słyszy dobrze z powodu choroby, którą przeszedł w dzieciństwie, ale prócz tego nic mu nie dolega. Mogę cię o tym zapewnić.

- Czyli jest głuchy - z uporem rzekł Abel. Nałożył strawę na trzy talerze stojące przed gośćmi.

Iana zastanawiała się, jak będzie wyglądała jej praca u sir Roberta. Skoro nie słyszał, to jak miała się z nim porozumieć? Nie знаła nikogo głuchego. Przecież Henri powiedział, że to tylko częściowa głuchota. Muszę zatem mówić odpowiednio głośno, postanowiła w duchu. Widok kawałka mięsa, obficie przyprawianego ziołami sprawił, że resztę rozważań odłożyła na później.

Do izby weszła dziewczyna ze skopkiem pełnym koziego mleka.

- To moja jedyna wnuczka, Marta - wyjaśnił Abel. - Nosi imię po matce, panie świeć nad jej duszą.

Marta postawiła mleko i uśmiechnęła się nieśmiało. Henri na powitanie lekko uniósł się z ławy. Trzymając Thomasinę, ruchem głowy wskazał na swoją towarzyszkę.

- Lady Iana z Ayr.

- Twoja żona? - domyślnie spytał Abel, unosząc brwi.

- Nie - odparł Henri i dodał szybko, żeby odwrócić uwagę od tematu: - A to mój syn i giermek, Everand.

- A więc to twoja narzeczona? - Abel nie dawał za wygraną.

- Nie - odpowiedział Henri ze zniecierpliwieniem.

Stary utkwiał wzrok w małej.

- Czyje to dziecko?

- Lady Iana jest wdową. To jej córka.

Ianie wystarczył jeden rzut oka na gospodarza, żeby zorientować się, o czym myśli. Najwyraźniej Abel doszedł do wniosku, że to siedzący przed nim rycerz jest ojcem dziewczynki. Sir Henri zajmował się Thomasiną z takim oddaniem, jak prawdziwy rodzic. Dał jej drewnianą łyżkę do zabawy i wciąż trzymał ją na kolanach.

Stary obdarzył Ianę niechętnym spojrzeniem. Z uwagą spojrzął na jej dłonie i skrzywił się, gdy na palcu nie spostrzegł obrączki. Prawdziwa dama, bez względu na to, czy była mężatką, czy wdową, powinna nosić przynajmniej pierścień, mówiący o jej statusie.

- Zabierajcie się stąd zaraz po jedzeniu! - zakomenderował sucho.

Everand wyczuł rosnące napięcie i zajął się zawartością talerza. Marta połamała chleb na części i wzięła się do krojenia sera.

- Jeśli nasza obecność cię obraża, to chętnie pójdziemy gdzie indziej, Sanquhar - rzucił Henri tonem ostrzeżenia, z twarzą pociemniałą ze złości.

Abel z otwartą dezaprobatą popatrzył na Ianę.

- Gdzie indziej potraktują was tak samo jak tutaj - odpowiedział, wzruszył ramionami i wyszedł na zewnątrz.

Henri z przepaszającą miną odwrócił się do Iany.

- Chcesz, żebyśmy stąd natychmiast odjechali? - spytał o wiele ciszej. .

Zmusiła się do uśmiechu, aby pokryć zakłopotanie.

- Myślę, że lepiej będzie, jeżeli posłuchamy rady staro-
wego Abła - westchnęła. - Zjemy i odjedziemy.

- Nie musisz tym się zbytnio przejmować - powiedział Henri. - Kiedy znajdziemy się w Baincroft, nikt nie będzie traktował nas tak niegrzecznie.

- Nas? - powtórzyła z naciskiem. - Przecież tu chodzi wyłącznie o mnie. Abel sądzi, że Thomasina jest bękar-
tem, a ja zwykłą latawicą. Zresztą ty też tak myślisz - do-
rzuciła oskarżycielskim tonem.

Henri dokładnie przeżuł kawałek sera, zanim odpowiedział.

- Sama mi powiedziałaś, że Thomasina nie jest dzie-
kiem twojego zmarłego męża. Nie pokusiłaś się o wyjaś-
nienia. Każdy na moim miejscu pomyślałby, że dopuściłaś
się małżeńskiej zdrady.

Iana z trudem opanowała złość. Niestety, miał rację.
Było jej przykro, ale faktycznie nie wyjaśniła mu, dlacze-
go wędruje z dzieckiem i się nim opiekuje.

- Wierz sobie, w co chcesz, mój panie. Prawda jest ta-
ka, że znalazłam Thomasinę w lesie. Nie kłamię.

- Ależ oczywiście - powiedział grzecznie, ale trochę
zbyt szybko.

Nie pytał, gdzie to się stało, w jakim lesie, jak dawno,
i w jakich okolicznościach. Iana doskonale zdawała sobie
sprawę, że jej nie uwierzył.

- Czy to przypadkiem nie przeszkodzi w znalezieniu
mi odpowiedniej pracy, kiedy dotrzemy już do celu? -
spytała sztywno.

Henri westchnął. Za długo zastanawiał się nad odpo-
wiedzią.

- Nie będzie z tym problemu.

Skąd ta pewność? Iana uważała, że równie dobrze może być zupełnie inaczej.

Scan-dalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Henri dał Ablowi jedną z monet, którą otrzymał w Largsmuth od karczmarza jako resztę, gdy płacił mu srebrem. Było to i tak za dużo, nie miał jednak drobniejszych pieniędzy. Mówiąc szczerze, wolałby zrugać starego za nieprzyjemne uwagi pod adresem Iany, niż mu płacić, ale nie chciał wchodzić w niepotrzebne konflikty.

Załadowali rzeczy na wierzchowce i odjechali, odprowadzani kosymi spojrzzeniami mijanych po drodze wieśniaków. Henri był zadowolony, że opuszczali wioskę. Nie lubił być obiektem niezdrowego zainteresowania. Poza tym miał świadomość, że Iana czuje się skrepowana.

Czy rzeczywiście powinien się przejmować tym, że podejrzewano Ianę o to, że zdradziła męża? Nawet gdyby tak było, to na dobrą sprawę niewiele by się różniła od Justine, jego żony, która nie dochowała mu wierności. Swego czasu jawnie potępił jej postępek.

Francuzi byli bardziej tolerancyjni w takich przypadkach, natomiast Szkoci mieli o wiele surowsze zasady i z reguły nie wybacжали zdrady.

Henri był gotów zabrać Ianę do Francji, gdzie nie byłaby narażona na nieprzyjemności z powodu nieślubnego dziecka. Nikt nie wytykał palcem Justine, kiedy się dopuściła cudzołóstwa. Gdyby dziecko nie zmarło zaraz po po-

rodzie, Henri prawdopodobnie uznałby je za swoje, a i żony by nie wyrzucił z domu. Niestety, nie przetrzymała skomplikowanego porodu.

Już dawno obiecał sobie, że nie będzie rozpamiętywał tamtych wydarzeń. Wspomnienia wróciły z powodu Iany, chociaż trudno mu było uwierzyć w to, że oszukała męża. O wiele bardziej skłaniał się do przypuszczenia, że raczej go nie miała. Gdyby rzeczywiście była wdową, nadal nosiłaby obrączkę, choćby po to, aby uniknąć plotek i posądzeń. Poza tym Iana nie zachowywała się jak kobieta doświadczona, lecz jak nieśmiała panna, nienawykła do towarzystwa mężczyzn. Może zatem została oszukana i uwiedziona przez niegodziwca, który obiecał, że się z nią ożeni? To mogłoby tłumaczyć jej gorycz i niechęć do mężczyzn, z którą się nie kryła.

Henri domyślił się, że nie jest Ianie obojętny. Poznał zbyt wiele kobiet, żeby tego nie dostrzec.

- Czy jeśli przybędziemy późno w nocy, nie zakłócimy spokoju domu twojego brata? - spytała Iana .

Drgnął, nagle wyrwany z zamyślenia.

- Jesteśmy już blisko, ale rzeczywiście będzie lepiej, jeśli jeszcze jedną noc spędzimy w obozowisku - odpowiedział, bezwiednie pocierając miejsce, gdzie został ranny.

- Boli cię jeszcze? - zapytała szybko.

- Minimalnie. Sądzę, że za dzień lub dwa będzie zupełnie dobrze. Jeszcze raz ci dziękuję, pani, za opiekę podczas choroby.

- Pamiętaj o tym, kiedy będziesz komuś mnie polecał.

- Na pewno nie zapomnę - odparł z przekonaniem.

Miał pewne wątpliwości, czy umiejętność leczenia ziołami wystarczy do znalezienia odpowiedniego zajęcia dla Iany.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Za dwie godziny zapadnie mrok. Po ciemku droga do Baincroft trwałaby ze dwa razy dłużej. Henri nie chciał pojawić się wtedy, gdy domownicy będą udawali się na spoczynek. W zamku nikt się ich nie spodziewał, w związku z tym, jak słusznie spostrzegła Iana, sprawiliby swoim przybyciem niepotrzebny kłopot. .

Teren, przez który teraz podróżowali, był prawie płaski i jazda stała się dużo łatwiejsza. Ta część Szkocji była o wiele bardziej cywilizowana i przyjazna. Henri zawsze lubił otwarte przestrzenie, połacie pokryte wrzosem, łąki kolorowe od polnych kwiatów, okazałe dęby i strzeliste sosny.

- Czy mam jutro z samego rana pierwszy pojechać do zamku i zapowiedzieć twoje przybycie, panie? - spytał Everand. - Czy ktokolwiek mnie zrozumie?

- Rządca Thomas de Brus mówi po francusku, w odróżnieniu od sir Roberta i jego pięknej małżonki - roześmiał się Henri. - Myślę, że będzie lepiej, jeżeli pojedziemy razem - dodał i wysforował się naprzód.

Chciał mieć choć trochę czasu, by zastanowić się, co przy pierwszym spotkaniu powinien odpowiedzieć na pytania brata i jego żony Mairi, kim jest Iana i dlaczego przywiózł ją ze sobą. A na pewno one padną. Mógłby im pokrótce, nie wdając się w szczegóły, wyjaśnić, że Iana jest wdową, która po śmierci męża musi chować dziecko. Na pewno jednak będą chcieli wiedzieć, dlaczego pozostała sama, bez niczyjej opieki.

Do diabła, sam chciałbym to wiedzieć, pomyślał Henri. Po śmierci męża powinna przejąć to, co on posiadał. Każdy przyzwoity mąż zostawiłby testament, w którym uczyniłby żonę swoją spadkobierczynią. A jeśli tego nie mógł zrobić, powinna zaopiekować się nią najbliższa rodzina. Taki był zwyczaj. Możliwe więc, że Iana nie była zameżna albo że rodzina się jej wyrzekła. Tak, uznał Henri. To jedyne sensowne wytłumaczenie.

Miał nadzieję, że późniejsze uczynki Iany zmażą jej poprzednią winę w oczach rodziny. Jeśli jednak byli to rodowici Szkoci, a tak zapewne było, mogli się zachować tak jak stary Abel Sanquhen. W takim przypadku Iana będzie zmuszona prosić mnie o opiekę. Co innego mogłaby zrobić?

Everand ściągnął wodze, zwolnił i podjechał bliżej do Iany. Wyglądał na przestraszonego perspektywą spotkania obcych ludzi.

- Ciekaw jestem, co też brat mojego pana o mnie pomyśli? - powiedział cicho, tak żeby Henri tego nie usłyszał. Spojrzał na Ianę i dodał: - Ty też się niepokoisz, pani.

- Tak, to prawda - przyznała Iana. - Nawet bardzo, Iana zamyśliła się na dłuższą chwilę, po czym wyznała:

- Jestem wręcz pewna, że lord i lady MacBain nie przywitają mnie z otwartymi ramionami. Poza tym, boję się o Thomasinę. Nie zdawałam sobie sprawy, w jakiej sytuacji się postawiłam, biorąc pod opiekę cudze dziecko, póki ten stary mężczyzna we wsi nie okazał mi niechęci.

- Rzeczywiście znalazłaś dziecko w lesie? - otwarcie spytał Everand.

Iana uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Tak. Matka była umierająca, a małej też niewiele brakowało do śmierci. Obiecałam, że się nią zaopiekuję i tak też uczyniłam. Teraz jest moją córką, tak jak ty synem sir Henriego.

- Musisz natychmiast opowiedzieć mojemu panu tę historię! - z przejęciem zawołał Everand. - Na pewno ci uwierzy. Należy ci się najwyższy podziw za to, co robisz dla maleństwa! - dorzucił ciszej.

- Nie - odpowiedziała Iana. - Obawiam się, że nie masz racji. On mi tak łatwo nie da wiary. Uzna, że zmyśliłam tę historyjkę, by zatuszować własne błędy czy grzechy. Nie przejmuj się tym, chłopcze. Ufam, że Bóg nie pozwoli, żebyśmy z Thomasiną nie miały co do ust włożyć.

- A niech to! Lepiej będzie, jak się z tobą ożenię i zostanę ojcem dla Tam - zadeklarował. - Kiedy tylko trochę urosnę i zmeźnieję, nie będę wyglądał na młodszego. Przy mnie nikt cię nie skrzywdzi. Uwolnisz się od podejrzeń.

Iana odchrząknęła, aby ukryć rozbawienie. Przecież nie mogła skwitować śmiechem poważnej propozycji płynącej ze szczerego serca. Wzruszyło ją zachowanie giermka.

- Bardzo dziękuję ci, Everandzie, ale na pewno masz w swoim życiu jeszcze niemało do zrobienia. Chyba nie powinienesz tak wcześnie obarczać się rodziną. Stanęłaby ci na przeszkodzie. Zrobimy inaczej. - Zastanawiała się przez chwilę. - Jeśli masz ochotę, zostaniesz honorowym wujem małej Thomasiny. Nigdy nie będzie miała lepszego opiekuna.

Chłopak popatrzył na nią wzrokiem nie pozostawiającym wątpliwości co do tego, że zna prawdziwy powód jej odmowy.

- Na pewno będę ci pomagał zaopiekować się nią w Baincroft - odparł. - Pamiętaj jednak: jeśli życie zacznie się z tobą źle obchodzić, to moja propozycja jest nadal aktualna.

Iana kiwnęła głową i uśmiechnęła się w odpowiedzi. Chciałaby mieć takiego syna. To szlachetny i przyzwoity chłopak.

Jak powinnam postąpić? - zadawała sobie w duchu pytanie. Wprawdzie zostanie mi trochę srebra, lecz nawet nie znam wydatków koniecznych, by związać koniec z końcem.

Do niedawna była zupełnie niesamodzielną. To nie ona podejmowała decyzje dotyczące jej życia. Orientowała się jednak na tyle, by wiedzieć, że gdyby sir Henri zwrócił jej cały łańcuch, z nawiązką i w pieniądzu, na długo by to nie wystarczyło. Potrzebowała pracy.

Wkrótce po zapadnięciu zmroku Henri zatrzymał konia.

- To dobre miejsce na popas i nocleg. W pobliżu płynie wartki strumień. Napoimy konie i wykapiemy się przed złożeniem wizyty na zamku.

Iana zaczęła, aż wyciągnął ręce i pomógł jej zsiąść z konia. Plecy potwornie ją bolały od ciężaru dziecka, Z wdzięcznością pozwoliła zdjąć się z grzbietu kłaczki. Henri delikatnie przytrzymał ją w talii, a Ev wyluskał z nosidelka Thomasinę. Z dzieckiem na ręku zebrał wodę i poprowadził konie do wody.

Henri przytrzymał ją, gdy chciała się od niego odsunąć, i spojrzał jej prosto w oczy.

- Muszę uczciwie z tobą porozmawiać o tym, co nas czeka - zaczął. - Pewne myśli nie dają mi spokoju, odkąd opuściliśmy wioskę.

Iana chciała nieco zyskać na czasie.

- Pozwól, że najpierw zajmę się Tam.

Henri nie zamierzał ustąpić.

- Ev się nią zajmie - powiedział. - Chodź ze mną. Pod tym dębem jest wygodne miejsce, gdzie można usiąść i spokojnie porozmawiać.

Henri przysunął się do Iany, po czym wziął ją za rękę.

Iana wolałaby, żeby tego nie robił. Nie potrafiła zebrać myśli, gdy znajdował się tak blisko.

- Nie widzę innej możliwości - zaczął i urwał. Po chwili podjął: - Muszę powiedzieć to otwarcie. Chcę ofiarować ci moją pomoc i opiekę - zadeklarował.

- Proszę, proszę - odpowiedziała z łagodną kpina. - Twój giermek, panie, był bardziej łaskawy. Zaoferował mi małżeństwo. Czy wy, Francuzi, składacie takie propozycje każdej kobiecie, którą spotkacie?

Nie odwzajemnił jej uśmiechu.

- Nie mogę z tobą się ożenić, Iano.

- Ależ wiem! To nie jest dla mnie żadna niespodzianka. Zresztą, i tak bym za ciebie nie wyszła, choćbyś mnie o to błagał na kolanach.

Usiłowała wyrwać rękę z jego dłoni, ale jej na to nie pozwolił.

- Nie będę także twoją nałożnicą - dodała. - A teraz pozwól mi odejść.

Puścił jej dłoń i odgarnął ciemne włosy z twarzy. Obie dłonie przycisnął do czoła i szepnął:

- Przekleci Szkoci. Czy u was wszystko musi być albo czarne, albo białe?

Iana roześmiała się niewesoło.

- Wszystko jest dobre lub złe. Trzeciej możliwości nie ma. W tym przypadku zło ma przewagę. Już ci mówiłam, że nigdy nie stanę się własnością żadnego mężczyzny. Możesz być tego pewny. - Widząc jego szczerzy smutek, dodała łagodniejszym tonem: - Nie mogę przyjąć twojej propozycji, ale myślę, że winna ci jestem podziękowanie za to, że pomyślałeś o tym, by mi pomóc.

- To za mało.

- Przeciwnie, bardzo dużo. Jeśli twój brat nie zechce, bym w jego włościach zajęła się leczeniem ziołami, to znajdę sobie inne miejsce. Oddasz mi dług i zapomnisz o mnie. Nie ma powodu, byś czuł się za mnie odpowiedzialny.

Potrząsnął głową.

- Jak to nie? - zawołał urażony. - Przecież zawdzięczam ci życie! To nie byle co, moja pani. Opiekowałem się twoim dzieckiem. Jak możesz myśleć, że ot, tak, wyrzucę cię z pamięci? - strzelił palcami. - Poza tym, wyraźnie dałem ci do zrozumienia, że uważam cię za godną podziwu i pożądania kobietę. Nie potrafiłbym o tobie zapomnieć.

- Owszem, potrafiłbyś - odparła cicho, chociaż to, co usłyszała, było miłe jej sercu. Przecież ona też marzyła o tym, by znaleźć się w jego ramionach, chociaż wiedziała, że te marzenia nigdy nie powinny stać się rzeczywistością.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Pragniesz mnie? - z niedowierzaniem wyszeptala Iana . - Bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety na świecie?

- Ślepa jesteś? Nie widzisz, co ze mną zrobiłaś? - spytał ze wzrokiem wbitym w ziemię. - Nigdy nie czułaś mojego pożądania, kiedy leżałem przy tobie każdej nocy?

- Gdy... co... robiłaś? - wyjąkała Iana .

- Tak, tak. Obejmowałem cię i przytulałem. W ogóle nie protestowałaś. Co noc słyszałem twoje słodkie westchnienia rozkoszy. O czym śniłaś? Możesz być pewna, że nie uczyniłem ci nic złego. Wystarczyło mi, że jesteśmy razem.

Nagle odwrócił się tyłem, jakby zawstydzony swoim wyznaniem.

- Traktowałem cię z całym szacunkiem, nie bacząc na to, co ci się przytrafiło przedtem - dodał ciszej.

- Przedtem? - spytała Iana przez zaciśnięte zęby - Nie robiłam w życiu niczego, czego musiałabym się wstydząć.

- Podejrzewam, że znajdziesz usprawiedliwienie na każdą okazję, kiedy kładłaś się z jakimś mężczyzną. Niekoniecznie z mężem. Nazywałaś to miłością, prawda? - Zerwał się i obrzucił Ianę rozpalonym spojrzeniem. - Ze mną nie zlegniesz i nie będziesz prawić mi słodkich słówek. Broń mnie Boże, przed taką miłością! Mam jej dosyć do końca życia!

Iana , zaskoczona nagłą zmianą w zachowaniu Henriego, urażona jego bezpodstawnymi zarzutami, podniosła się z ziemi i oparła ręce na biodrach.

- Nigdy! Słyszysz?! Nigdy w życiu nie spałam z mężczyzną, który nie był moim prawowitym mężem. Jak śmiesz mnie o to posądzać!

Henri stanął tuż przed nią.

- Śmiem, bo wiem dobrze, że mąż bez powodu nie zostawiłby cię bez środków do życia. Żadna rodzina nie odrzuciłaby córki, chyba że była po temu przyczyna. Nie zrobiłem tego nawet mojej żonie, kiedy...

- Mój Boże, to ty masz żonę? - wyjąkała ze zgrozą.
- prosisz mnie?

- ...żebyś została moją kochanką. Moja żona już dawno nie żyje! - krzyknął.

- Zabiłeś ją?-zapytała Iana .

- Oczywiście, że jej nie zabiłem! Co ty w ogóle sobie o mnie myślisz?

- Myślę, że masz serce z kamienia!

- I ciało także, dzięki twoim sztuczkom! - wykrzyknął.

- Mój panie! Sir! Ojciec? - z rozpaczą nawoływał, Everand, podchodząc do nich.

- Stało się coś ważnego, że ośmielasz się mi przerywać? - ofuknął go Henri.

Everand, z oczami szeroko otwartymi ze strachu, podał dziewczynkę Ianie i wyszeptał:

- Nie powinieneś krzyczeć na lady Ianę, panie. Nie zrobiła nic złego.

Henri odetchnął kilka razy, zamknął oczy i starał się zapanować nad wściekłością. Kiedy w końcu przemówił, jego głos brzmiał już zupełnie normalnie.

- Oczywiście. Masz rację - westchnął. Wziął następny

głęboki oddech i powiedział: - Przyjmij moje przeprosiny, lady Iano.

Mimo że położył zbyt duży nacisk na słowo „lady”, Iana odparła: „Przyjmuję” i posadziła sobie Tam na biodrze.

- Rozpal ogień, Ev - zarządził Henri. - Tylko daleko od wody, bo nie chcę, żeby nas zbudziło jakieś zwierzę idące do wodopoju.

Gdy Everahd odszedł przygotować ognisko, Iana powiedziała cicho, ale stanowczo:

- Dziś w nocy trzymaj się ode mnie z dala.

Henri westchnął i rzekł:

- Posłuchaj, Iano. Przepraszam cię raz jeszcze. Straciłem nad sobą panowanie, co, jak zdążyłaś się przekonać, rzadko mi się zdarza. Nie myślałem tego, co powiedziałem w gniewie.

- Ale ja tak.

Wzruszył ramionami. Miała szczerą ochotę poczęstować go kopniakiem.

Henri dostosował się życzenia Iany i spał tej nocy osobno. Żałował ostrych słów i wiedział, że mu nie pomogą w dalszych staraniach o jej względy. Jedyną nadzieją w tym, że w niedługim czasie będzie musiała zwrócić się do niego o pomoc, pocieszył się. Nie chciał zmuszać jej do niczego, ale nie mógł pozwolić, by w obcym, nieznanym miejscu była skazana wyłącznie na siebie. Nie pozwalała na to zwykła przyzwoitość.

Była też Thomasina, niczemu nie winna mała dziewczynka, której po tym, co przeszła, powinno się zapewnić odpowiednie warunki. Rob na pewno niczego nie poskapi.

Był uczciwym, sumiennym człowiekiem, dbał o swoich ludzi, zarówno sługi, zbrojnych, jak i chłopów. Nie mówiąc już o rodzinie, dzieciach i ukochanej Mairi, którą przywiózł w rodzinne strony z daleka. Rzecz w tym, że dumna, a nawet przewrażliwiona na punkcie godności Iana nie przyjmie jałmużny od nikogo. Rob i Mairi chętnie zgodziliby się na jej pobyt w zamku, lecz co z innymi? Rezydenci, służba, przypuszczając, że jej dziecko pochodzi z nieprawego łoża, robiliby jej ciągle wstręty. Tak już to było na tym świecie.

Wstali z samego rana, umyli się, przebrali i ruszyli w drogę. Henri starał się nie dostrzegać, że suknia, którą kupił w Largsmuth, znakomicie podkreśla kolor złotych włosów i kremową cerę Iany.

Nie powiedział też tego głośno. Bał się, że w odpowiedzi usłyszy, że i tak wydał na stroje za dużo jej srebra.

Ev nie miał takich skrupułów i z zachwytem stwierdził, że nigdy w życiu nie widział piękniejszej od niej damy. W odpowiedzi Iana obdarzyła chłopca wdzięcznym uśmiechem. Henri udał, że nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, ale wszystko sobie zakonotował. Mijałby się z prawdą, gdyby powiedział, że nie jest zły.

Po pewnym czasie ujrzeli wieże Baincroft. Ten widok niezmiennie wywoływał ogromną radość Henriego, a także za każdym razem go wzruszał. Z rozbawieniem przypominał sobie rozczarowanie, które go ogarnęło, gdy przybył tu po raz pierwszy i porównywał zamek do pałacu, który ojciec posiadał we Francji, a także do królewskiego dworu, na którym mieszkał przez pewien czas jako syn królewskiego doradcy. Szybko odkrył, że serdecz-

ność, przychylność i akceptacja, z jakimi spotkał się w Baincroft, dużo więcej znaczyły niż największe bogactwo.

Zamek MacBaina był niewielką twierdzą, zbudowaną z kamienia, na typowo szkocką modłę. Składał się z czworokątnej głównej wieży, dominującej nad całym otoczeniem, w której mieściły się komnaty sir Roberta i jego małżonki, wielka sala, pokój słoneczny i komnaty gościnne.

Niższe budynki gospodarcze i szopy, o których wspominał stary Abel, otaczały wewnętrzny dziedziniec. Dookoła zewnętrznego muru ciągnęła się płytka fosa, zasilana wodą z pobliskiego strumienia.

O sile, pozycji i bogactwie mieszkańców zamku świadczyły też dwie wysokie baszty na rogach muru okalającego wewnętrzne budynki. Wejście prowadziło przez barbakan, dodatkowo broniony przez zgrabne wieżyczki. Na zębatych blankach z daleka widać było przechadzających się wartowników.

- Bramy otwarte są na oścież - zauważył Ev. - Czy to coś znaczy?

Henri uśmiechnął się.

- Nie, nic w tym niezwykłego. To spokojna okolica, a nad bezpieczeństwem mieszkańców czuwają strażę na murach.

- Szkoda, że nie mamy naszego proporca - zmartwił się chłopiec. - Poznaliby nas z daleka.

- Nie bój się, rozpoznają mnie wystarczająco szybko - uspokoił go sir Henri. - Sztandar mojego brata powiewa na zamkowej wieży, a to oznacza, że sir Robert jest w domu.

Iana nie odzywała się, przerażona tym, co ją tu mogło spotkać.

Henri szepnął łagodnie:

- Nie bój się, pani, przywitają cię z honorami.

Miał przy tym świadomość, że stanie się tak - co do tego nie miał wątpliwości - tylko dlatego, że Iana przybywała w jego towarzystwie.

Przez dłuższą chwilę pokonywali drogę w milczeniu, aż zobaczyli wielkiego rycerza na koniu, który minął bramę i wyjechał im na spotkanie. Rob! Henri roześmiał się głośno. Podniósł ręce, jakby się poddawał, i szybko zeskończył z konia.

To samo zrobił sir Robert.

- Harry! - krzyknął z twarzą rozjaśnioną radością.

Henri uściskał go z całej siły i serdecznie poklepał po ramieniu. Kiedy nacieszyli się sobą, Rob cofnął się i spojrział pytająco w kierunku, skąd przybyli.

Niezmiernie rzadko używali słów do „rozmów” między sobą, co było o tyle zrozumiałe, że Robert bardzo słabo słyszał, a i mówił też niezbyt chętnie.

„Byłem na wojnie z Anglikami i okręt zatonął, dostałem ranny. Mój giermek i ta dama ocalili mi życie. Przyjechaliśmy tu ze wschodu przez góry” - pokazał bratu szybkimi ruchami palców.

- Ranny? - spytał głośno Rob, z mocno zatroskaną twarzą.

Henri pokazał na swój bok i kiwnął głową, w ten sposób dając mu do zrozumienia, że to nic poważnego. Wyciągnął rękę w stronę Iany, która wciąż dosiadała konia.

- To jest lady Iana z Ayr, a to jej córeczka, Thomasina.

Następnie wskazał na brata.

- Pani Iano, to jest mój brat, lord Robert.

Rob podszedł do niej i uklonił się.

- Witaj, moja pani - rzekł wolno.

Mrugnął i uśmiechnął się do Thomasiny, która wyglądała zza pleców Iany.

- Mój panie - głośno powiedziała Iana .

Henri zaśmiał się. Większość ludzi myślała, że Rob ich usłyszy, jeżeli będą mówić głośno i wyraźnie. Odnosiło to jednak odwrotny skutek. Kiedy Iana nie powiedziała już nic więcej, Rob odwrócił się do Everanda i zapytał:

- Giermek?

Czekał na potwierdzenie.

- A także mój syn, Everand - oznajmił Henri.

Ponieważ Rob nie bardzo go zrozumiał, Henri pokazał na palcach: „Ev, mój syn”.

Przenikliwe szare oczy spoczęły na chłopcu, na jego bladej twarzy i mizernej figurze. Po chwili Rob popatrzył na brata.

- On jest mój - powiedział Henri.

Tym razem Robert odwrócił się i podał Everandowi rękę, dając na migi znak: „Bratanku”.

Henri szybko przetłumaczył to słowo i Ev uśmiechnął się z ulgą.

- Lepiej się odżywiaj - poradził mu Rob, wsiadając na konia i prowadząc ich do zamku:

Dopiero teraz Henri zdał sobie sprawę z tego, że nigdy im nic nie mówił na temat swojego brata. A przecież Robert wyraźnie różnił się od innych ludzi. Wiedzieli o nim tylko tyle, co usłyszeli podczas spotkania ze starym

Ablem w wiosce. Odwrócił się więc teraz do nich, mówiąc:

- Mój brat wprawdzie was nie słyszy, lecz z ruchu ust umie odczytywać słowa. Ciebie, Iano, zrozumie lepiej od nas, bo my mówimy po francusku. Przemawiajcie do niego, kiedy na was patrzy, i mówcie normalnym głosem. Nigdy nie krzyczcie. Pamiętajcie także, że widzi więcej niż inni. Jeśli nie będziecie uważać, odczyta także wasze myśli.

- Naprawdę? To okropne - zauważyła Iana .

- Żebyś wiedziała, pani. Kiedyś myślałem, że jest czarownikiem.

Iana zrobiła wielkie oczy, więc Henri pospieszył w wyjaśnieniu.

- To był żart. Rob jest człowiekiem, ale posiada wiele niezwykłych talentów. Jednym z nich jest odczytywanie prawdy. Widzi ją w ludzkich sercach. Jeżeli kogoś pokocha, to można mu powierzyć życie.

Iana więcej się nie odezwała. Henri podejrzewał, iż złąkla się, że nie uda się jej w dalszym ciągu zachować dla siebie sekretów. On sam teraz jednak wolał odsunąć od siebie wszelkie ponure myśli i bez przeszkód cieszyć się obecnością brata i jego najbliższych. Obiecał sobie, że nazajutrz z samego rana pojedzie na północ, do majątku ojca, by odwiedzić rodziców i siostrę.

Czy powinien wziąć ze sobą Ianę? Raczej nie. Ojciec, z charakterystyczną dla siebie dociekliwością, zasypałby ją pytaniami, ciekaw, dlaczego jego syn opiekuje się samotną kobietą z dzieckiem. Może więc będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeżeli oboje z Ianą zatrzy-

mają się w Baincroft na kilka najbliższych dni. On, Henri, będzie miał okazję przekonać się, jak Iana sobie radzi i jak ją traktują. Ciekawe, czy zaakceptuje opiekę Roberta i Mairi?

Nie. Henri pokręcił głową. Iana potrzebowała pracy, a on przecież solennie obiecał jej w znalezieniu stosownego zajęcia. Porozmawiam z Robertem, postanowił, choć miał wątpliwości, czy to najlepsze posunięcie. O zdrowie służby i mieszkańców dbała pani tego zamku. Zatrudnianie kogoś obcego nie leżało w tutejszych zwyczajach.

W dodatku Rob nie zgodziłby się na zatrudnienie Iany ze względu na jej pochodzenie. Uważałby za afront proponowanie pracy kobiecie z jej sfery. Nie rozumiałby, że właśnie tak wyobrażała sobie dalsze życie. Jako rycerz miał obowiązek opiekować się damami i chętnie służyłby Ianie wszelką pomoc. Gdyby skłamała i podała się za kobietę z ludu, Rob i tak by jej nie uwierzył.

Henri poczuwał się do winy, ponieważ zapewniając Iane, że znajdzie jej pracę, wzbudził w niej, być może, płonne nadzieje. Musiał samokrytycznie przyznać, że kierował się nie tylko jej dobrem; działał także z pobudek egoistycznych. Pragnął zdobyć względy Iany, a uznał, że ma na to szansę tylko wtedy, gdy ją od siebie uzależni choćby tym, że będzie mu wdzięczna.

Mogła skorzystać z gościnności Roberta i Mairi. Pytanie tylko, czy zechce i na jak długo. Mogła też zostać jego utrzymanką. Trzeciego rozwiązania - że ruszy swoją drogą - w ogóle nie brał pod uwagę.

Co powinienem uczynić, żeby do siebie ją przekonać?

- zastanawiał się Henri. Był przekonany, że mogliby cieszyć się szczęściem. Wiedział, że nie jest Ianie obojętny i miał przeczucie, że są dla siebie stworzeni. Jednak ani Rob, ani ojciec nie zgodziliby się, żeby pod ich dachem żyła para kochanków.

Henri miał już serdecznie dosyć tych rozmyślań. Nie potrafił znaleźć zadowalającego wyjścia z tej sytuacji. Pragnął Iany jak żadnej innej, ale nie mógł się z nią ożenić. Nie miała posagu ani - w przeciwieństwie do niego - koneksji na królewskim dworze. Nie była nawet Francuzką! Do tego obnosiła się z nieślubnym dzieckiem, a własny klan ją wygnał.

Henri spojrział na Ianę i zrobiło mu się smutno. Uświadomił sobie, jak bardzo jest samolubny.

- Będę po twojej stronie, Iano. Uwierz mi - powiedział z przekonaniem.

Zmierzyła go badawczym spojrzeniem i oznajmiła:

- Dzień, w którym zaufam jakiemuś mężczyźnie, będzie ostatnim dniem mojego życia i będę chyba, musiała uwierzyć, że po mojej śmierci położą mnie do grobu jak należy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Henri wyciągnął ręce do Iany, by pomóc jej zsiąść z konia. Nie zaprotestowała. Trochę dłużej niż zazwyczaj obejmował jej wąską talię. Czowała przez suknię ciepło jego dłoni. Wiedziała, że chciał ją pocieszyć i dodać jej otuchy. Dostrzegła to w jego oczach.

Była kompletnie zagubiona, wśród nieznanych twarzy, w zupełnie obcym jej świecie. Przez chwilę miała nawet ochotę pochwycić go za rękę, ale powstrzymała się, uświadamiając sobie, że to nie wypada.

Nad zamek napłynęły ciężkie chmury i pierwsze krople deszczu spadły na ziemię. Gdzieś w dali zahuczało odległe echo grzmotu. Iana uniosła głowę i z niepokojem popatrzyła w niebo. Burza? Czy miała to być przepowiednia tego, co ją tutaj czeka?

Jeszcze raz ukradkiem zerknęła w stronę sir Gilleta, ale ten właśnie patrzył na nadchodzącą panią zamku. Niewiasta zbliżyła się do nich, ale przystanąła w pewnej odległości i czekała cierpliwie. Za rękę trzymała dwóch chłopców podobnych do siebie jak dwie krople wody. Iana jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak uroczych dzieci. Henri podprowadził ją do damy i dokonał stosownej prezentacji.

- Lady Mairi z Baincroft, a to lady Iana z... Ayr.

Ton jego głosu zdradzał wyraźnie, że rycerz nie wie-

rzył, iż Iana naprawdę jest tą osobą, za którą się podawała. Wiedziała o tym. Była jednak przekonana, że gdyby bez oporów wyznała mu całą prawdę, natychmiast odesłałby ją z powrotem do Newella. Wtedy nie miałyby wyboru. Co najgorsze, musiałyby wbrew sobie wypełnić wolę brata. Przekleństwo na nich wszystkich. Na cały ród męski.

- Witaj, Iano - powiedziała lady Mairi.

Rzuciła na nią ciekawe spojrzenie i stanęła tuż przy jej ramieniu. Thomasina szybko schowała się głębiej w nosidełko. Iana czuła maleńki nosek, opierający się o jej plecy.

Henri podszedł bliżej i powitał damę. Pocałował ją w policzek i rzekł:

- Dzień dobry, Mairi. Wprost nie masz pojęcia, jak miło cię znów widzieć.

Ukląkł szybko i wyciągnął ręce do dzieci. Roześmiał się, gdy chłopcy zaczęli się poszturchiwać i przepychać jeden przez drugiego. Zarówno jeden, jak i drugi chciał pierwszy rzucić mu się w objęcia.

- Harry i Ned! Chodźcie tu, moje urwisy!

Najpierw jednego chwycił pod pachy, uniósł na wysokość ramion i zakręcił się z nim w kółko. Potem to samo zrobił z drugim. Chłopcy piszczeły z radości i prosili go, żeby nie przestawał, ale sir Robert wyraźnie dał im do zrozumienia, że nadeszła najwyższa pora, aby wrócili do swojego pokoju.

Henri nie przestawał śmiać się na widok ich podskoków i kuksańców. Widać było, że bardzo kocha obu swoich bratanków.

Lady Mairi obserwowała go spod oka. Najwyraźniej

oczekiwała stosownych wyjaśnień co do powodów jego wizyty w zamku, a także obecności Iany, Thomasiny i Everanda, Henri zrobił to dość pobieżnie.

- Poznaj mojego syna, Everanda - powiedział do niej na początek.

Cicho wzdychając i rzucając spojrzenie w stronę męża, lady Mairi wzięła chłopca za rękę i powitała go uśmiechem.

- Jaki to ładny chłopak, Henri - rzekła pozornie beztroskim tonem, w którym jednak dało się wyczuć z trudem skrywaną ostrożność. - Everandzie, jesteśmy naprawdę szczęśliwi, że dołączyłeś do naszej rodziny.

Po tych słowach natychmiast odwróciła się znów do sir Gilleta z pytającym wyrazem twarzy.

- Byłem ranny podczas morskiej bitwy u wybrzeży Anglii - wyjaśnił rycerz. - Okręt zatonął, a my niemal cudem dotarliśmy do jakiejś łodzi i dopłynęliśmy do zachodniego brzegu. Lady Iana ocaliła mi życie, kiedy umierałem z gorączki i upływu krwi.

Mairi szybko spojrzała na Henriego, wyraźnie niespokojna o stan jego zdrowia.

- Teraz już jestem zdrow jak ryba - pospiesznie uspokoił ją Henri. - Chociaż to prawdziwe szczęście, że obecna tutaj lady Iana zgodziła się nam towarzyszyć w dalszej wędrówce przez Szkocję. Doprawdy była naszą dzielną przewodniczką. Zaoszczędziła nieco srebra i chce gdzieś tu w okolicy rozpocząć całkiem nowe życie.

- Winniśmy ci wielką wdzięczność za uratowanie życia naszego drogiego brata - lady Mairi zwróciła się do Iany. - Jesteś znachorką? - spytała.

- Znam się trochę na ziołach i na medycynie, pani -

odpowiedziała nieco speszona Iana . - Pomagałam przy narodzinach dwojga dzieci i... umiem zszywać rany. Muszę jednak dodać, że nie praktykowałam u żadnej czarownicy. W dzieciństwie studiowałam nauki medyczne i... i nie stosuję żadnych podejrzanych sposobów leczenia. Nie patroszę zwierząt i nie uciekam się do czarów.

Lady Mairi wybuchnęła śmiechem.

- Prawdopodobna aż do przesady! Och, Boże. To bardzo dobrze, ale w naszym zamku mamy już znachorkę, której mój mąż zapewne nie chciałby się pozbyć za żadne skarby świata. To ja nią jestem. Stara zielarka, która tu dawniej służyła, przekazała mi całą swoją wiedzę.

Iana poczuła, że serce zamiera jej w piersiach. Lady Mairi spojrzała na nią z niekłamana sympatią i dodała uspokajającym tonem:

- Znajdziemy jednak jakąś pracę dla ciebie. Na razie możesz mi pomagać przy niektórych chorych. Chodź ze mną, pokażę ci twoją komnatę. Na pewno musisz być bardzo zmęczona i niepokoisz się o dziecko, które masz na plecach. Możesz nam o nim coś więcej powiedzieć?

Iana spojrzała na rycerza. Sir Henri tylko uniół brwi i bez słowa czekał na jej odpowiedź. Popatrzyła więc prosto w oczy lady Mairi i oznajmiła głucho:

- Dwa miesiące temu znalazłam tę dziewczynkę w lesie, leżącą u boku konającej matki. Przysięgam, że się nią zaopiekuję. Na imię jej Thomasina, ale czasami wołam na nią po prostu Tam. Wszystkim powiadam, że jest moja, bo... bo poza mną nie ma nikogo innego na świecie.

Lady Mairi przyjrzała jej się ze współczuciem. Iana miała cichą nadzieję, że pani na tutejszym zamku pędze

uwierzy w jej opowieść niż Henri, który wciąż stał z boku i przypatrywał im się beznamytnie. W jego spojrzeniu nie było ani odrobiny ciepła.

- Chodźmy do środka - powiedziała lady i wyciągnęła rękę do Iany. - Deszcz zaczyna padać. Rob? - zwróciła się do męża, wolno i powoli wypowiadając poszczególne słowa. - Zabierz sir Gilleta do swojej komnaty. Na pewno chcecie chwilę porozmawiać na osobności, bez towarzysztwa niewiast.

Niespodziewany okrzyk zwrócił ich uwagę. Wszyscy spojrzeli w stronę wejścia. Iana z otwartymi ze zdumienia ustami popatrzyła na drobną ciemnowłosą postać, która zbiegła ze schodów i rzuciła się w ramiona rycerza. Henri roześmiał się wesoło i ku wściekłości Iany, z radością objął śniadą i ładną dziewczynę. Iana w duchu błagała niebo, żeby to była tylko jego siostra.

- Henri! - zawołało dziewczę. - Jestem tak szczęśliwa, że wreszcie przyjechałeś! Dostałeś wszystkie moje listy? Chcesz mnie stąd w końcu zabrać?

- Listy? - zapytał ze zdziwieniem.

Dziewczyna uniosła głowę i popatrzyła nań roziskrzonym wzrokiem.

- Napisałam do ciebie aż dwa razy! Strasznie mi przykro, że się nie spotkaliśmy, gdy byłeś tu poprzednio. Ten wstrętny Rob wcale mi nie powiedział, że przyjedziesz, a ja w tym czasie byłam u dziadka. Tęskniłeś za mną?

Henri niepewnie kiwnął głową, spojrzął na brata i zwrócił zdziwione spojrzenie na dziewczynę.

- Oczywiście, Jehannie - bąknął lekko skonfundowany. - Hm... Miło cię znów widzieć.

Lady Mairi zmarszczyła brwi, a lord Robert przygryzał wargi, żeby się głośno nie roześmiać. Szczerze zakłopotany Henri bardzo śmiesznie wyglądał w objęciach tulącej się do niego dziewczyny, która złożyła głowę na jego szerokiej piersi.

Lady Mairi powiedziała tonem wyjaśnienia:

- Lady Iano, to jest lady Jehan de Brus, siostra naszego rządcy, sir Thomasa de Brus.

Dziewczyna wprawdzie słodko uśmiechnęła się na powitanie, ale nie puściła swojego wybranka. Wręcz przeciwnie, objęła go nawet mocniej, jakby brała go w posiadanie.

- Witaj w Baincroft - rzekła do Iany i znów przytuliła się do rycerza.

- Zostawmy ich - wyrozumiale szepnęła lady Mairi.

- Niech sobie tu mokną, a my wejdźmy do środka.

Deszcz padał coraz mocniej. Iana obrzuciła ostatnim spojrzeniem przytuloną parę i z ociąganiem podążyła za gospodynią do zamku. Mimo niezręcznej sytuacji Henri zdawał się nią nie przejmować. Iana też odsunęła na bok swoje troski i baczniej niż do tej pory przyjrzała się kobiecie, która w przyszłości zapewne miała zostać jej chlebobodawczynią.

- W twoim głosie słychać góralski akcent, pani - zauważyła cicho, kiedy we dwie weszły do wielkiej sali.

- Tak, wiem o tym. Niezwykle trudno tego się oduczyć, po pewnym więc czasie dałam sobie spokój - odpowiedziała Mairi. - Przy pierwszym spotkaniu mój przyszły mąż ni w ząb nie rozumiał tego, co doń mówiłam;; Szybko przeszliśmy nad tym do porządku dziennego - do dała ze śmiechem.

- Bez wątpienia - bąknęła Iana .

Powstrzymała się od dalszych uwag, przekonana, że to niegrzecznie zbyt otwarcie wspominać o nieszczęsnej przyпадłości sir Roberta.

Zatrzymały się na chwilę w wielkiej sali. Mairi kazała pokojówce zagrzać wodę i zanieść dzban na górę.

Przestronne wnętrze było niezwykle okazałe, z bielonymi ścianami, na których wisiały suto zdobione kobierce i grube gobeliny. Stały tu także piękne dębowe meble - stare, lecz starannie wypolerowane woskiem. W powietrzu unosił się miły aromat wawrzynu. Światło, padające z wąskich i wysokich okien, wzmocnione było blaskiem wonnych świec, oświetlających każdy mroczny zakamarek.

Lord MacBain musi być naprawdę bogatym człowiekiem, pomyślała Iana . Nawet nie chciała tego porównywać do smutnej egzystencji, którą wiodła w domostwie Duncana. Domu z niemal surowych, grubo ciosanych głązów, z wdzierającym się wszędzie odorem spalonego tłuszczu i innych wstrętnych zapachów, od których ciągle bolała ją głowa.

Ta posiadłość o wiele bardziej przypominała jej rodzinny zamek Ochney, w którym mieszkała od dzieciństwa.

Nie przyznała się do tego na głos, lecz wołałaby teraz zostać sama. Dobrze zdawała sobie sprawę, że być może długo tu nie zabawi, ale marzyła choćby o kilku dniach odpoczynku i wytchnienia po ciężkiej podróży.

Potrzebowała swobodniejszej chwili, by zastanowić się, co dalej. Jedno wiedziała bez wątpienia. Wołałaby już więcej nie widzieć tej dziewczyny, która na dole wdzięczyła się do sir Gilleta. Chociaż była ciekawa, co ich mog-

ło łączyć. Nie zamierzała jednak o to pytać. To byłoby nie-
stosowne. W gruncie rzeczy, nie rościła sobie żadnych
praw do rycerza, ale widok tych dwojga po prostu nie da-
wał jej spokoju.

Lady Mairi poprowadziła ją schodami do małej przy-
tulnej komnaty na pierwszym piętrze. Iana usiadła na sze-
rokim łożu, przykrytym grubą warstwą futer. Nad nią
wznosił się baldachim z adamaszku. Pobieźnie powiodła
wzrokiem po pokoju i zdjęła z pleców nosidło.

- Spójrz tylko na nią! - zawołała lady Mairi i wzięła
Thomasinę na rękę. - Biedne maleństwo! Taka chudziut-
ka! Skóra i kości. Gdzie tam! Kosteczki. Nic się już nie
martw, moje słoneczko - zaczęła przemawiać do dziecka.
- Dzisiaj czeka na ciebie pełna miska papu.

Usiadła koło Iany i przytuliła małą. Dziewczyzna zoba-
czyła łzy w jej oczach.

- Też taka była, kiedy ją znalazłaś? - spytała Mairi.
- Nic z nią nie lepiej?

- Raczej na odwrót - z odcieniem dumy odpowiedzia-
ła Iana i poklepała Thomasinę po plecach. - Nie odzy-
wała się i nie raczkowała. Ale od kilku dni wydaje mi się
o wiele bardziej ożywiona. Na pewno bardzo szybko od-
robi zaległości - dodała, z dumą patrząc na dziewczynkę.

- Jak udaje ci się żyć tak samotnie? - zainteresowała
się nagle Mairi. - Dlaczego do tej pory nie poszłaś po po-
moc do swojej własnej rodziny? Naprawdę nie chcą ci
przebaczyć? Nie rozumieją, że złożyłaś przysięgę kobiecie
leżącej na łożu śmierci?

Iana westchnęła cicho. Najwyraźniej lady Mairi lubiła
wiedzieć, co się wokół działo. Oczekiwała szczerych, pro-

stych i jasnych odpowiedzi. Umiała też współczuć. Może zrozumie skomplikowaną sytuację, w jakiej znalazła się Iana ?

- Pani, co myślisz o tym, gdy niewiasta przymuszana jest do zamążpójścia? I to dwukrotnie?

Kasztelanka wyraźnie zeszywniała.

- Obrzydliwa praktyka. Nielegalna, ale niestety wciąż jeszcze żywa w niektórych rejonach Szkocji.

- Moja rodzina nie wie nic o Thomasinie - wyznała

Iana . - Opuściłam ich na długo przedtem, zanim ją znalazłam.

- A mogę spytać cię dlaczego? Czyżby to miało jakiś związek z twoim zmarłym mężem?

Iana zdecydowała się powiedzieć lady Mairi całą prawdę. W gruncie rzeczy, nie miała nic do stracenia. Jedyne imię brata zachowam w tajemnicy, pomyślała. Bała się, że odeślą ją z powrotem do Newella.

- Raz wyszłam za mąż, posłuszna rozkazowi ojca - zaczęła cicho. - Gdy owdowiałam, mój ojciec też już nie żył. Brat chciał mnie wydać za kogoś innego, równie starego, podłego i chciwego jak mój pierwszy małżonek. Na szczęście, w porę ostrzegła mnie szwagierka. Kiedy brat wspomniał o ślubie, stanowczo odmówiłam. Nie chciałam o niczym słyszeć.

- I wyrzucił cię z domu? - Lady Mairi była naprawdę przerażona.

- Na pewien czas skazał mnie na wygnanie. To miała być swoista lekcja pokory. Zamieszkałam w zapadłej wiosce, w której odnalazł mnie Everand. Natychmiast skorzystałam z szansy, żeby stamtąd wyjechać. Sir Henri przy-

rzekł mi, że poprosi swego przyrodniego brata, a twojego męża, sir Roberta, aby dał mi tu uczciwą pracę i ciepły kąć gdzieś w okolicy. Podejrzewam, że nic nie wiedział o twych zdolnościach, pani. A teraz boję się, że umiem o wiele mniej od ciebie... - dokończyła już niemal szeptem.

Mairi zastanawiała się przez chwilę. Delikatnie położyła Thomasinę na łóżku i połaskotała ją pod brodą.

- Możesz tu zostać - powiedziała do Iany. - Gdyby nie ty, Henri na pewno zszedłby z tego świata, a to pograżyłoby w czarnej rozpacz jego najbliższą rodzinę, krewnych i przyjaciół. Nigdy ci tego nie zapomnimy. Do końca życia możesz liczyć na naszą trwałą wdzięczność.

- Nie przyjmę jałmużny - szybko zastrzegła się Iana .

- Wiem. Domyśliłam się tego. W takim razie pobyt tutaj potraktuj jak wizytę u przyjaciół, a potem pomyślimy, w jaki sposób mogłabyś uczciwie zarabiać na życie. Zgoda?

- Zgoda - z wdzięcznością odpowiedziała Iana , uszczęśliwiona, że lady Mairi tak dobrze ją zrozumiała.

- Czy mogę spytać, skąd pochodzisz i jak brzmi imię człowieka, który postąpił z tobą tak podle, chociaż mieni się twoim bratem? - zagadnęła Mairi.

Iana uciekła wzrokiem w bok.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli ci tego teraz nie powiem, pani.

- Henri wie o wszystkim?

- Nie. Prawdę mówiąc, nie ufam mężczyznom. Nawet sir Gilletowi. Boję się, że wystąpiłby w roli rozjemcy, a to tylko spowodowałoby skutek odwrotny od zamierzonego.

- Rozumiem - z namysłem odparła Mairi.

Wstała i podała dziewczynkę Ianie.

- Zostawiam cię, żebyś odpoczęła i zajęła się dzieckiem. Później zejdź na dół, do wielkiej sali. Porozmawiamy o tym wszystkim i spytamy mężczyzn o ich zdanie. Na pewno nam coś doradzą.

Iana zaczęła protestować. Ze łzami w oczach poprosiła kasztelanę o dochowanie tajemnicy. Mairi uśmiechnęła się do niej krzepiąco, ale zaznaczyła, że sprawy stanowczo zaszły zbyt daleko, aby sama mogła sobie dać z nimi radę.

- Zejdę niedługo - z ociąganiem obiecała Iana, niezadowolona z takiego obrotu rzeczy.

Bała się, że publiczna rozmowa na ten temat zaprowadzi ją prosto do Newella. Nie chciała także, aby o jej kłopotach wiedziała dziewczyna, która zaanektowała dla siebie Henriego.

Mairi mrugnęła do niej.

- Henri będzie bardzo kontent, jeśli do nas dołączysz. Daję słowo, nigdy nie widziałam, żeby był tak spokojny.

- Parsknęła śmiechem. - Zwykle zachowuje się o wiele gorzej od mojego męża i synów. W głowie mu tylko sztuczki, żarty i chłopiące figle.

- Sir Henri? - Iana popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Tak, sir Henri - z naciskiem potwierdziła Mairi. - Od razu widać, że coś do ciebie czuje.

- Nieprawda! - z werwą zaprzeczyła Iana, czerwieniąc się aż po korzonki włosów. - Tu na pewno nie chodzi o mnie!

Lady Mairi zrobiła łobuzerską minę i bez słowa wyszła

z komnaty. Zamknęła za sobą drzwi, ale z korytarza sły-
chać było jej śmiech.

- Żarty jej się trzymają - rzekła nadąsana Iana do Tho-
masiny, która cichutko, z uśmiechniętą buzią, leżała na
czystej pościeli.

Iana wykąpała dziewczynkę, a po pewnym czasie sama
weszła do gorącej balii, aby zmyć z siebie brud podróży.
Z rozkoszą zanurzyła ciało w pachnącej wodzie. Powoli
zamknęła powieki i poczuła, że całe ciało się odpręża. Od
dawna nie było jej tak dobrze.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się
nagle ktoś cichym głosem.

Iana drgnęła tak gwałtownie, że woda przelała się przez
brzeg balii.

- Lady Jehan? - zapytała ze zdumieniem. - A co ty tu-
taj robisz, pani?

Ciemnowłosa dziewczyna szerzej otworzyła drzwi,
weszła do komnaty, usiadła na łóżku i popatrzyła na śpią-
cą Thomasinę.

- Przyszłam cię poznać nieco bliżej - odparła - i prze-
prosić za moje niegrzeczne zachowanie tam, na dziedziń-
cu, tuż po twoim przyjeździe, pani. - Odgarnęła ciemny
lok z policzka. - Byłam taka szczęśliwa, że Henri się od-
nalazł, że zupełnie straciłam głowę. Nie potrafiłam myśleć
o niczym innym.

- Zauważyłam - chłodno odpowiedziała Iana i zajęła
się kąpielą, aby choć trochę ukryć niechęć do dziewczyny.

- Dobrze się znacie? - spytała Jehan. - Ach, pamię-
tam. To przecież ty ocalałaś mu życie. Bardzo dziękuję.
Z całego serca. A tak poza tym?

- A tak poza tym, to nic o nim nie wiem - kwaśnym tonem odpowiedziała Iana . - Podróżowałam razem z nim i z jego młodocianym giemkiem. Obiecał mi znaleźć pracę. To chyba wszystko.

Jehan zerwała się z łóżka i niespokojnie podeszła do okna.

- Hm - mruknęła. - Byliśmy zawsze razem od wczesnego dzieciństwa. Słyszałaś o tym? Henri wciąż potrzebuje kobiecej opieki. I to właśnie ja mam zamiar otoczyć go opieką.

- Jako jego żona? - domyślnie spytała Iana .

- Waśnie. Co prawda, mówił, że nigdy więcej już się nie ożeni, ale ja w to nie wierzę. Jeśli przekonam go, że wcale nie muszę mieć dzieci, to pewnie w końcu się zgodzi.

- Chcesz być bezdzietna? - ze zdumieniem zapytała Iana

Wprawdzie nie zamierzała słuchać jej dalszych zwierzeń, ale wbrew sobie nie umiała powstrzymać ciekawości. Henri nie wydawał się zachwycony czułymi pieszczotami Jehan, lecz też jej nie odrzucił. A może nie chciał robić jej przykrości?

- Muszę - ze smutkiem powiedziała Jehan - bo on nie może mieć następcy.

Umilkła na krótką chwilę.

- Wiesz - zaczęła znowu - Henri był żonaty z francuską szlachcianką. Przez sześć lat nie zachodziła w ciążę, oboje więc doszli do przekonania, że po prostu nie mogą mieć dzieci. Aż tu nagle brzuch urósł jej jak bania i Henri odkrył, że miała kochanka.

- Och, nie! - wykrzyknęła Iana .

Wyobrazila sobie, co się wówczas stało. Dumny rycerz na pewno poczuł się ogromnie dotknięty zdradą żony i ze wstrętem myślał o bękarcie.

- Och, tak! Henri to bardzo dobry człowiek. Można powiedzieć, że do przesady. Nawet wtedy nie wygnał żony i cierpliwie czekał na dziecko, by uznać je za swoje własne. Ale niestety, podczas porodu matka i córka zmarły.

- Prawdziwa tragedia! - Iana ze szczerym smutkiem westchnęła.

Jehan gwałtownie odwróciła się od okna i wsparła ręce na biodrach.

- Wniosek stąd, że Henri nie może mieć dzieci. Tylko dlatego nie chce powtórnie się ożenić. Stwierdził, że raz wystarczy:

- Ty masz jednak ciągle nadzieję, że jeszcze kiedyś zmieni zdanie - powiedziała Iana . - Kochasz go?

Jehan spojrzała na nią.

- To chyba jasne, że go kocham! - zawołała z zapałem. - Od lat jesteśmy przyjaciółmi i dobrze wiem, że mnie potrzebuje.

Stała naprzeciwko Iany, zmrużyła oczy i spytała:

- Jak się układa między wami? Nie myśl sobie, że nie widziałam, jak spoglądał na nas na dziedzińcu. Ciekawa jestem, czy coś was łączy?

Iana stanowczo potrząsnęła głową.

- Jestem dla niego zupełnie nikim - powiedziała. - I on mnie też nie obchodzi.

Ani słowem nie napomknęła o tym, że niedawno Henri

złożył jej propozycję, aby została jego kochanką. Przyszła żona nie powinna wiedzieć o takich sprawach, pomyślała.

- Życzę ci wiele szczęścia w twoich zamierzeniach - rzekła.

- Bardzo dziękuję - sucho odpowiedziała Jehan. - Mam nadzieję, że sama także znajdziesz to, czego szukasz - dodała przyjaźniejszym tonem.

Zaraz po wyjściu lady Jehan Iana głęboko zaczerpnęła tchu i cała, z głową, schowała się pod wodę. Najchętniej na zawsze pozostałaby w ukryciu. Wcale nie chciała wciąż się borykać ze złośliwymi wyrokami losu. Szczególnie teraz, gdy sir Henri Gillet miał zniknąć z jej życia.

Lecz przecież o tym dowiedziała się już bardzo dawno, jeszcze przed rozmową z Jehan.

Henri już od miesiąca nie czuł się tak dobrze. Wykąpany do czysta, pachnący, ogolony, uczesany siedział wygodnie rozparty w fotelu przed kominkiem, słuchając deszczu bijącego w dach i okna.

Wielka sala była urządzona gustownie, z umiarkowanym przepychem. Mieszały się tu wpływy francuskie - obecne tutaj ze względu na osobę hrabiego Trouville'a - i rdzennie szkockie.

Na kamiennej posadzce zabrakło wykwintnych dywanów, lecz ciężkie gobeliny wisiały na ścianach, przydając ciepła surowym kamiennym muirom. Liczne pochodnie, umieszczone w wąskich wykuszach, dawały migotliwe światło. Dzięki woskowym świecom, stojącym w wysokich lichtarzach, nawet w najczarniejsze noce było tu dość jasno.

Zdobione meble świadczyły o zamożności właściciela. Także i tutaj, jak w całym zamku, znać było wyraźny ślad kobiecej ręki. Lady Mairi była dobrą gospodynią i potrafiła zadbać o swoją posiadłość.

Wielka sala służyła także jako miejsce zabaw dla bliźniaków. Tu mogli bezpiecznie wyhasać się do woli, pod czujną opieką niańki i pokojówek. Dziecięca wyobraźnia przekształcała ogromną komnatę raz w pole bitwy, raz w morze, pełne szumiących fal lub rozhukanych i groźnych bałwanów, a innym razem w gęstą, nieprzebytą puszcę, zamieszkaną przez dzikiego zwierza i skrzydlate smoki, z którymi toczyli boje dzielni rycerze, przywołani z zamierzchłych podań i legend.

Bywały jednak i takie chwile, choćby jak dzisiaj, że panowała tu głucha cisza. W tych momentach nastrój komnaty sprzyjał refleksji i rozmyślaniom. Henri mógł zatem bez większych przeszkód oddawać się wspomnieniom. Przypomniawszy sobie wszystkie wydarzenia ostatnich dni. Rzecz jasna, myśli jego najczęściej krążyły wokół pięknej Iany.

Rycerz wbił wzrok w ogień i siedział nieruchomo, zatoniony w milczącej zadumie.

Na szczęście nie było tu Jehan. Ta dopiero by mnie zadreślała! - pomyślał z komiczną rozpaczą. Musiała być czymś zajęta. Miał nadzieję, że potrwa to jak najdłużej.

Mała Jehan... Ciekawe, że mnie upatrzyła sobie dopiero teraz, kiedy Rob był już żonaty.

Rozmawiali o tym przed chwilą, zanim dosiadła się do nich Mairi.

Jehan od dzieciństwa chciała poślubić Roberta. Była

z nim nawet zaręczona. Wychowywali się we czworo: Rob, Henri, Jehan i Thomas de Brus. Jakiś czas później dziadek Jehan zerwał zaręczyny, podając za przyczynę głuchotę oblubieńca. Zanim dziewczyna dowiedziała się, że jej ślubny kontrakt został anulowany, Rob zdążył się już ożenić z pewną panną z Highlands. Zakochał się w niej bez pamięci.

Teraz pewnie wyobraziła sobie, że to mnie złapie na męża, pomyślał Henri. Jehan na pewno jest piękna, ale też dzika i nieobliczalna. Z niechęcią wrzucił ramionami. Już wyobrażał sobie, jaki chaos wniosłaby do jego uporządkowanego życia.

Jehan de Brus, choć sama nie była Francuzką, wywodziła się z bardzo znanego rodu, spokrewnionego z Robertem Bruce'em, a więc także z rodziną królewską. Ale i tak o ślubie nie mogło być mowy. Henri po prostu nie chciał się żenić. Postanowił, że zaraz jej to powie, aby zawczasu i na zawsze ukrećić łeb całej sprawie.

W komnacie panowało przyjemne ciepło. Na rozkaz pana służba zadbała o to, by wszystkie pomieszczenia były dobrze ogrzane. Henri z wolna przysypiał na swoim fotelu i spod półprzymkniętych powiek patrzył na migową „rozmowę” pomiędzy Mairi i Robertem. Pełne gracji ruchy palców damy były tak szybkie, że z trudem rozumiał to, o czym mówiła. Rob odpowiadał krótko i rzeczowo.

Ciągle to samo, westchnął cicho Henri. Kobiety zawsze miały za dużo do powiedzenia i zajmowało im to zbyt wiele czasu. Kochał Mairi jak rodzoną siostrę, choćby dlatego, że przez samą swoją obecność uczyniła Roberta tak

bardzo szczęśliwym. Była wesółą, szczerą i na pozór zupełnie nieświadomą swoich wrodzonych walorów.

Pod tym względem przypominała Ianą, która także zdawała się zupełnie nie wiedzieć, że Bóg nie poskąpił jej czaru, gracji i urody. Henri uwielbiał to u niewiast - być może po części dlatego, że na królewskim dworze zwykle miał do czynienia z wieloma powabnymi młódkami, aż nadto świadomymi swoich kobiecych zalet. Nie trzeba chyba tutaj dodawać, że na ogół bezwstydnie to wykorzystywały.

Jehan też należała do tej grupy. Coś wreszcie trzeba by z nią zrobić, pomyślał Henri. W pewnej chwili, spoglądając na rękę Mairi, zauważył znajome słowo: „znachor”. To pobudziło jego ciekawość. Zaczaj uważniej się przyglądać, o czym rozmawiali.

„Wyślesz kogoś, aby dowiedział się, kim ona jest i to prędko” - kategorycznie oświadczyła Mairi.

Rob ze spokojem odrzucił jej żądanie.

„To przecież nie nasza sprawa. Wszystko mi jedno, skąd pochodzi. Ocaliła życie mojemu bratu, więc najwyczajniej w świecie daj jej coś do roboty i wypłać, sowitą pensję”.

Mairi potrząsnęła głową.

„To się nie uda. Ona nie jest do wynajęcia. To prawdziwa dama”.

Henri podniósł rękę, żeby im przerwać. Spojrzeli na niego oboje.

- Wyślij Thomasa, jeśli możesz - doradził głośno. - Dom Iany, jak przypuszczam, znajduje się gdzieś na północ od Largsmuth. Możliwe też, że wyszła za mąż za ko-

gość z okolic Ayr. Jeśli w ogóle była mężatką. Chciałbym wiedzieć, czy powiedziała prawdę.

Robert lekko zacisnął usta i wykonał kilka znaków.

„Patrzyłem na was tam, na dole. Na dziedzińcu. Wciąż nie wierzysz, że to nie jej dziecko”.

Henri wzruszył ramionami. Nie było sensu kłamać przed Robertem. Zaczął też mówić na migi, aby brat dokładnie zrozumiał każde słowo.

„Powiedziała najpierw, że to dziecko jej męża, a potem, że znalazła je w lesie. Jest szlachcianką, ale mieszkała w nędznej lepiance, z niemowlęciem. Co byś sobie pomyślał na moim miejscu?”

Rob zastanawiał się przez chwilę.

- Thomas na pewno to wyjaśni - powiedział głośno.
- Całkiem możliwe, że jej opowieść jest w pełni prawdziwa - wtrąciła Mairi, krzyżując ręce na piersiach. - Wspomniała mi też, że brat chciał ją przymusić do małżeństwa. Kiedy stanowczo się sprzeciwiła, za karę wygnął ją z domu do nędznej wioski.

Henri z namysłem potrzęsął głową.

- Młoda dziewczyna jest cennym skarbem dla każdego szlacheckiego rodu - zauważył. - Takiego skarbu się nie wyrzuca. Jeśli nie chciała jednego oblubieńca, to brat na pewno przedstawiłby jej innego. Nie postąpiłby z nią w taki sposób. To najzwyczajniej nie ma sensu.

- Może to wariat? - drwiąco zapytała Mairi.

Szczerze mówiąc, Henri sam nad tym się zastanawiał. Za wszelką cenę chciał się dowiedzieć prawdy.

„Powiedz mi, Rob. Czy, twoim zdaniem, Iana uciekła się do kłamstwa?” - spytał na migi.

Sir Robert dobrze umiał czytać w ludzkich sercach. Zastanawiał się przez krótką chwilę.

„Kłamie? Nie wiem. Wydaje mi się, że coś jeszcze przed nami ukrywa. Nie mogę dać ci lepszej odpowiedzi”.

- Czyli wracamy do punktu wyjścia - smutno skonstataował Henri.

„To nie to samo”.

Rob podszedł do brata i serdecznie klepnął go po plecach.

- Nic nie chce mówić! - wybuchnął Henri. - Nawet nie chce zdradzić imienia własnego brata. Jestem pewny, że wcale nie pochodzi z Ayr.

Robert uśmiechnął się.

„Może ma jakiś ważki powód, by występować incognito?” - odrzekł z humorem. „Wiesz co, braciszku? Powiedz mi lepiej, co cię naprawdę w niej tak pociąga? A może chcesz się z nią ożenić?”

- Ożenić?! Skądże! - z nagłym przestraszeniem wykrzyknął Henri i odruchowo zrobił znak krzyża.,

Robert obrzucił go przeciągłym spojrzeniem. Widać było, że wcale mu nie wierzy.

- Wiesz dobrze, że to niemożliwe - dodał Henri tonem usprawiedliwienia.

Rob podniósł rękę, jakby chciał zaprzeczyć.

- Czy nie przeszkadzam? - zapytała Iana, cicho wchodząc do wielkiej sali.

Miała na sobie tą samą suknię, którą Henri kupił jej w Largsmuth. Jej złote włosy, teraz wilgotne, ciasno splecione i owinięte wokół zgrabnej głowy, tworzyły coś na kształt korony. Nawet służące w domu Gilletów bywały

lepiej od niej ubrane, lecz żadna z nich nie miała takich iście królewskich ruchów i postawy. Jak piękna jest w swojej prostocie, pomyślał Henri i uśmiechnął się do Iany.

- Ależ wejdź, chodź tu do nas. - Mairi uprzejmym gestem zaprosiła ją do środka. - Jeśli się zgodzisz, to poproszę Jonnet, żeby popilnowała małej Thomasiny. Zjemy wieczkę. O przyszłości porozmawiamy nieco później.

Iana zerknęła na Henriego i szybko odwróciła wzrok.

- To bardzo miło z twojej strony, milady - odpowiedziała niemal oficjalnym tonem.

Henri zauważył, że szczerą sympatią do Iany, którą jeszcze niedawno dostrzegał u Mairi, teraz zmieniła się w podejrzliwość. Bardzo zmartwiło go to odkrycie.

Pewnie to skutek słów Roberta, że Iana ciągle nie chce nam powiedzieć o sobie całej prawdy, uznał z żalem. Najlepiej będzie, jak ją stąd zabiorę. Poczekam tylko na powrót Thomasa. Ciekawe, czego się o niej dowie? Potem uczynię ją moją kochanką. Tak, tak, rozmyślał, będzie moim największym skarbem. To chyba dobre rozwiązanie. Może najlepsze? Dla mnie i dla niej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Iana z niemałym trudem wytrzymała do końca wieczery. Co prawda, Thomasina była pod dobrą opieką miłej pokojówki o imieniu Jonnet, ale Iana - nie bacząc na to, że plecy wciąż ją bolały od długotrwałego dźwigania nosidelka - ciężko znosiła tę rozłąkę nawet na tak krótki okres. Tęskniła za dziewczynką. To uczucie zdominowało wszystkie inne.

Denerwował ją gwar przy stole i tłum biesiadników, choć wśród uczujących nie było lady Jehan. Iana jej nie polubiła. Wścibstwo dziewczyny, jej zachowanie wobec Henriego, nieukrywana chęć wyjścia za niego za mąż, wydawały jej się niestosowne.

Lord Robert grzecznie uśmiechał się do Iany i patrzył na nią z wielką ciekawością, lecz prawie nic nie mówił. Miał bystre szare oczy i był roslym przystojnym mężczyzną. Chociaż odzywał się nader rzadko, to zniewalał ją swoją szczerością.

Henri siedział w pobliżu. Miał przygnębioną minę, jakby czymś się poważnie martwił. Lady Mairi usiłowała podtrzymać rozmowę, ale co chwila zapadała napięta cisza.

Iana zerknęła na Everanda. Giermek także mówił bardzo mało, ponieważ nikt na zamku nie znał francuskiego.

Wielce bolała nad tym, że jej młody i dzielny przyjaciel wyraźnie źle się czuje w takim towarzystwie. Co gorsza, posadzono go przy stole wraz z innymi giermkami i służbą. Był za daleko, żeby mogła zamienić z nim choćby słówko.

- Gdzie jest ów rządcą, o którym wspominałaś, panie?
- cicho zwróciła się do sir Gilleta.

Henri odstawił kielich z winem i nie patrząc jej w oczy, spytał:

- Dlaczego tak cię to ciekawi, pani?
- Choćby dlatego, że mógłby wciągnąć Everanda w jakąś rozmowę. Chłopak wygląda na całkiem zagubionego - odparła.

- Nic mu nie będzie - sucho stwierdził rycerz. - Prawdę mówiąc, wolałbym go tu zostawić dostatecznie długo, aby nauczył się języka.

- Co to znaczy? Chcesz wyjechać? - dopytywała się z rosnącym napięciem.

- Owszem, i to już niedługo. Muszę tylko pokłonić się rodzicom i ujrzeć moją siostrę. Potem wracam do Francji najszybciej jak to możliwe.

Iana wstrzymała oddech. Serce zamarło jej w piersiach. Mimo że polubiła lady Mairi i sir Roberta, to przecież wcale ich nie znała. Założyła, że Henri i Everand zostaną i pomogą jej się zadomowić.

Chyba że srogi los gotuje mi dalsze niespodzianki, pomyślała ze zgrozą. Co będzie, gdy MacBainowie nie znajdą mi zajęcia i nie zechcą trzymać na zamku obcego dar-mozjada?

Lekko drżącym głosem znów zwróciła się do Henriego:

- A może twoi rodzice potrzebują zielarki?
- Nie - odpowiedział krótko.

Nie musiała pytać go już o nic więcej. Od razu się domyśliła, że nie byłaby mimo wszystko mile widziana na zamku Trouville'ow.

Wysiedziała do końca wieczery, a potem, przeprosiwszy wszystkich, powróciła do swojej komnaty, do dziecka i ponurych przeczuc. Co się ze mną stanie, gdy Henri wyjedzie? Może mnie wyrzucą? Nie miała dokąd wracać. Z przerażeniem myślała, że może nędznie skończy jako zwykła żebraczka prosząca o jałmużnę, zgarbiona i przedwczesnie postarzała. A co się stanie z Thomasiną? Boże, broń nas od takiej hańby! - z rozpaczą błagała w duchu. Zdawała sobie jednak sprawę, że własny upór wpędził ją w ten ślepy zaułek. Widać, sama musi się z niego wydostać. Nie może liczyć na niczyją pomoc

Minęło kilka spokojnych dni. Henri nie widział ani razu, żeby ktoś źle potraktował Ianę. Domyślił się, że Mairi wydała stosowne polecenie służbie i domownikom.

Obie damy spędzały razem bardzo dużo czasu. Na zmianę opiekowały się małą Thomasiną. Karmiły ją różnymi smakołykami i wszystko wskazywało na to, że z każdym dniem dziewczynka się rozwija.

Henri miał ogromną ochotę przyłączyć się do tych zabaw. Często widział, że mała spogląda na niego z drugiego końca komnaty. Pragnął wtedy wziąć ją na ręce i przytulić do piersi. W ten sam, nie, w nieco w inny sposób zamierzał postąpić z Ianą. Trzymał się jednak z dala od Thomasiny, bo nie chciał, żeby dziecko za bardzo się doń przy-

więzało. Wiedział, że Iana czuje, się dobrze w Baincroft i że nikt nie zamierza wypędzać jej z zamku. Martwił się tylko swoim wyjazdem do Francji. Niestety, tam czekało go mnóstwo spraw do załatwienia.

Mairi ofiarowała Ianie piękną suknię, o wiele lepiej pasującą do jej szlacheckiego pochodzenia. Suknia była ciemnoniebieska, obramowana wąskim szlaczkiem ze wzorem w polne kwiaty. Miękka wełna kusząco oblekała zgrabne ciało Iany, uwypuklając jej wspaniałe kształty. Henri nie potrafił oderwać wzroku od dziewczyny. Nie nosiła biżuterii, lecz w gruncie rzeczy nie potrzebowała błyskotek i świecidełek. Sama była niczym cenny klejnot. Najpiękniejszym, jaki widziałem w życiu, pomyślał z uśmiechem.

Włosy koloru złocistego miodu tworzyły bogatą ramę dla jej lekko opalanej twarzy. To właśnie wygląd Iany sprawił, że sir Henri nagle zdał sobie sprawę z niewłaściwości swego zachowania. Chyba obraził ją swoją propozycją.

Powinienem ją za to przeprosić, uznał. Jeśli nawet w przeszłości wzięła sobie kochanka, to przecież nie musi stale wieść grzesznego życia i być czyjąś metresą.

Z jednej strony cieszyło go, że znalazła miejsce u Roberta, lecz z drugiej bardzo bolał nad tym, że wkrótce ją straci.

„Idź, porozmawiaj z nią” - dał mu sygnał Rob i znaczącym ruchem skinął głową w kierunku niewiast bawiących się z dziećmi po drugiej stronie komnaty. „Wiem, że wprost palisz się do tego”.

Henri udawał, że tego nie widzi.

- Beznadziejny Harry - rzekł pod nosem sir Robert.
- Być może rzeczywiście jestem beznadziejny - powiedział Henri i podniósł ręce, jakby się poddawał. - Spać mi się chce. Pójdę na górę, do swojej komnaty.

Rob roześmiał się tylko i wygodniej rozparł się w swoim fotelu.

Nagle do sali wbiegł jeden z młodszych giermków i oznajmił bez tchu:

- Lordzie Robercie! Ojciec wasz tu jedzie! Minał już bramę i wygląda na to, że jest czymś zmartwiony!

Rob i Henri zerwali się z foteli i pospiesznie ruszyli do wyjścia.

Za oknami, na dworze, było całkiem ciemno. Skąd ta nagła wizyta? Zamek Trouville'ów był oddalony o dobre kilka mil i taka podróż - zwłaszcza późną nocą - nie należała do najbezpieczniejszych. Ktoś zachorował? Matka lub siostra? Chyba nie. W takim przypadku hrabia najwyuczajniej w świecie pchnąłby posłańca z wiadomością. Dlaczego przyjechał sam?

Zanim dobiegli do połowy sali, drzwi otworzyły się gwałtownie i lord Trouville, ze łzami w oczach i grymasem rozpaczony na twarzy, wpadł do środka.

- Ojczy! - krzyknął Henri.

Stary hrabia zatrzymał się jak wryty i chwycił się ręką za serce. Obaj bracia skoczyli doń z pomocą. Po dłuższej chwili usłyszeli krótki, pojedynczy szloch. Trouville szeroko rozpostarł ramiona, objął swojego rodzzonego syna i mocno do siebie przycisnął.

- Co się stało? Ktoś zachorował? - niespokojnie dopytywał się Henri.

- *Incroyable* - z niedowierzaniem szepnął jego ojciec i pogłaskał go po policzku.

Henri nigdy nie widział ojca w takim stanie.

- Coś złego z mamą?! Z Alys? - niemal krzyknął, próbując opanować narastającą panikę.

- Raczej z tobą, jak słyszeliśmy. - Lord Trouville wziął głęboki oddech. - Przybył posłaniec króla, Duquesne. Przyniósł wiadomość, że twój statek zatonął wraz z kapitanem i całą załogą.

Dwie grube łzy potoczyły mu się po policzkach

- Ale ty żyjesz... - wyszeptał cicho.

Potem znowu odetchnął głębiej i odsunął syna na długość ramienia, jakby chciał sprawdzić, czy naprawdę nie mu się nie stało.

- Byłeś ranny, mój synu? - spytał.

- Tak, ojczu, ale już wyzdrowiałem. Chodź tu, do stołu, i usiądź z nami. Musisz się trochę uspokoić.

Henri spod oka spojrzął na Roberta. W oczach brata znać było jeszcze ślady strachu. Obaj się złękli, że ojciec dostanie zawału. Jeszcze przed chwilą był błądzący jak ściana. Dziwne. Zawsze był dla nich uosobieniem siły i wieczności. Teraz okazał się człowiekiem niewolnym od ludzkich słabości.

Posadzili ojca przy ogniu. Mairi przerwała zabawę z dziećmi i też zaczęła krzątać się wokół gościa.

Iana została trochę dalej, z Thomasiną na rękach. Kątem oka patrzyła na to, co porabiają bliźniacy. Chłopcy wyraźnie przestraszyli się widokiem dziadka w takim stanie. Rob wręczył ojcu szklanicę z piwem i kazał mu natychmiast wypić. Hrabia pomału dochodził do siebie. Skiął dłonią, by Henri się do niego zbliżył. Lord Trouville

ujął go za ramię, jakby zamierzał się upewnić, czy nie ma przed sobą ducha. Potem zawołał Mairi. Poprosił, by wysłała Thomasa do zamku Trouville z wiadomością, że sir Gillet jest cały i zdrowy.

Henri ukląkł przed ojcem.

- Wybacz mi - powiedział. - Zamierzałem pojechać do was jutro rano. Skąd mogłem wiedzieć, że tak szybko dotrze do ciebie wieść o zatonięciu statku? Gdybym potrafił to przewidzieć, od razu bym do was pojechał. Bardzo mi przykro, że naraziłem cię na tyle zmartwień - dodał ze łzami w oczach.

- Gdy otrzymałem tę wiadomość, nie mogłem usiedzieć na miejscu, coś mnie gnało, żeby tu przyjechać - wyznał lord Trouville. - Chciałem zobaczyć Roberta i Mairi. Tak, tak. Po prostu musiałem zobaczyć Roberta.

Chwycił za ręce obu braci, szepnął „moi synowie” i nisko pochylił głowę.

Henri zawsze wiedział, że ojciec go kocha, lecz teraz poczuł się wstrząśnięty tak wyraźnym dowodem rodzicielskiej miłości. Załzawionymi oczami, niepewnie popatrzył na Ianę, jakby w obawie, że w jej wzroku ujrzy pogardę dla słabości. Ze zdumieniem stwierdził, że jej śniade policzki były mokre od łez. Bliźniacy wyrwali się spod jej opieki i przybiegli do dziadka.

Lord Trouville puścił dłonie synów i objął serdecznie wnuki.

- Już wszystko w porządku, chłopcy - powiedział. - Nie musicie się niczym martwić.

Żelazny hrabia znowu był sobą: dzielnym rycerzem, wspaniałym ojcem, głową rodziny.

Mairi wróciła z wiadomością, że ktoś ze służby pojechał już do zamku Trouville, z wiadomością dla żony i córki hrabiego.

- Musisz u nas zostać na noc, ojciec - oznajmiła kategorycznym tonem. - Nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów.

Lord Trouville skinął głową na zgodę.

- Przynieś mi wina, Mairi, i coś do zjedzenia - prosił.

Wybiegła spełnić jego prośbę, a Trouville uważnie rozejrzał się po komnacie i wzrok jego padł na Ianę. Wyciekając patrzył na nią przez chwilę, jakby spodziewał się, że zostanie jej przedstawiony.

- Mój ojciec, hrabia Trouville - powiedział Henri, ruchem dłoni prosząc dziewczynę, żeby podeszła nieco bliżej. - A to lady Iana. Opatrzyła mi ranę i długimi dniami pilnie mnie doglądała, gdy leżałem złożony gorączką, ojciec. Gdyby nie ona, pewnie nie byłoby mnie na tym świecie.

Stary hrabia wypuścił wnuki z objęć i wstał z fotela. Pochylił głowę w niskim ukłonie.

- Żądaj, czego zechcesz, pani. Wszystko będzie twoje - rzekł lekko zdławionym głosem, z wyraźnym wzruszeniem. - Skąd pochodzisz?

Henri spodziewał się tego pytania. Spod oka spoglądał na Ianę. Ciekawe, pomyślał. Czyżby naprawdę wydawało jej się, że będzie w nieskończoność kłamać!

- Jestem z zachodniej części kraju, milordzie - odpowiedziała grzecznie, lecz wymijająco. - Przybyłam z wioski na wybrzeżu. Zostałam... wynajęta przez giermka

twojego syna. Zapłacił mi srebrem za to, bym wyleczyła jego pana.

Henri przeniósł wzrok na ojca. Widać było, że odpowiedź Iany wzbudziła jego ciekawość.

- A zatem jakim to sposobem znalazłaś się aż tutaj? - zagadnął, niby pogodnym, a jednak domagającym się odpowiedzi tonem.

Iana zaczerwieniła się. Szybko spojrzała na Henriego, a potem wbiła wzrok w podłogę.

- Twój syn... nie czuł się najlepiej, panie. Wciąż gorączkował, kiedy opuszczaliśmy kraj nadmorski. Poza tym, przyjechałam tutaj szukać pracy. To była część naszej umowy.

- Pracy?! - zdumiał się hrabia. - Pochodzisz z tak biednego rodu? Dziecko ty moje, przecież za to co dla nas uczyniłaś, ofiaruję wam całą fortunę! To dla mnie sprawa honorowa. Sam udam się do twoich krewnych, podziękować im za okazaną pomoc. Jeśli zaś zapłata, którą otrzymałaś wcześniej od mojego syna, nie wystarczy na dostatni żywot, będę ci płacił dożywotnią pensję i nie pozwolę, abyś pracowała.

- Lecz to właśnie pracy teraz najbardziej mi potrzeba! - zawołała Iana, dygocząc jak osika. - Wierzcie, panie, że niczego poza tym nie pragnę.

- Ja zaś żądam, żebyś wzięła stosowną nagrodę. Musisz ją przyjąć.

Henri nie mógł dłużej znieść męczarni Iany.

- Ojczy, skończmy teraz rozmowę na ten temat. Godzina późna, a mamy jeszcze wiele innych spraw do omówienia.

Stary lord spojrział na syna groźnym wzrokiem. Henri dobrze pamiętał z dzieciństwa, że w takich razach nie powinien ojcu się sprzeciwiać. Spuścił więc głowę i w pokorze czekał, co będzie dalej.

- Uważasz, że to mało ważne? Przecież ta niewiasta ocaliła ci życie! - rzucił gniewnie Trouville. - Bez skrupułów wyrwałeś ją z rąk rodziny i przywiozłeś na drugi koniec kraju! I to z dzieckiem!

Znowu odwrócił się do Iany.

- To twoje dziecko? - spytał surowo.

- Owszem, należy do mnie, panie.

- Znak to, że jak najszybciej musimy połączyć tę damę z jej prawowitą rodziną - oznajmił Trouville, zwracając się do wszystkich. - Otrzyma odpowiednią nagrodę za swoje trudy i długą nieobecność. Jak brzmi nazwisko twojego męża? - zapytał Ianą.

Przez długi czas panowała cisza. Henri nie umiał na to odpowiedzieć, a Iana po prostu nie chciała.

- Moi rodzice nie żyją - bąknęła w końcu. - Tak jak i mój małżonek.

- To któż za ciebie jest odpowiedzialny? Kto się, u licha, tobą opiekuje?

- Nie ma nikogo takiego - odparła cicho.

Thomasina wyraźnie wyczuła jej niepokój, bo zaczęła się nagle wiercić.

- Przebóg! - krzyknął hrabia. - W takim razie król musi zająć się tą sprawą - zawyrokował.

- Ojczy, prosiłem. Zostawmy to do rana. Czyżbyś nie widział, jak niemiłe są dla niej te pytania? Wszyscy jesteśmy przemęczeni - włączył się Henri. - Jutro, wyspani,

ze świeżą głową, zastanowimy się, jak spłacić dług wdzięczności.

Trouville przeciągle popatrzył na syna, a potem spojrział na Ianaę.

- A zatem dobrze. Do jutra - zgodził się wreszcie,

Iana skłoniła się i opuściła komnatę tak szybko, że nikt nie zdążył życzyć jej dobrej nocy.

Hrabia Trouville usiadł przy stole i spojrział na strawę przygotowaną mu przez Mairi. Henri domyślał się jednak, że nie widział tego, co znajdowało się na misach i talerzach. Zapewne zastanawiał się, dlaczego Iana nie chciała podać nazwiska swej rodziny.

Tak jak nas wszystkich, trawi go ciekawość, pokiwał głową Henri.

- Ona ci nic nie powie, ojciec - rzekł przyciszonym głosem. - Thomas pojechał w jej ojczyste strony, żeby zasięgnąć języka.

Starał się jak najwięcej wytłumaczyć ojcu, lecz był przekonany, znając ojca, że stary hrabia nie podda się tak łatwo i wciąż będzie zadawał pytania.

- Jest wdową - myślał głośno lord Trouville - ale ma rodzinę. Poznałem to po jej oczach. Z jakiegoś nieznanego nam bliżej powodu obawia się, byśmy przypadkiem nie odkryli prawdy.

- Onegdaj powiedziała Mairi, że brat chciał ją wydać za mąż. Wybrał jej kogoś, kogo nie cierpiała. Odmówiła i dlatego za karę została wygnana z domu - wyjaśnił Henri. - Nie podała nam żadnych imion, nazwisk ani nazw miejscowości, lecz to nie szkodzi. Już postanowione, że Thomas dowie się wszystkiego.

Znów poczuł na sobie karcący wzrok ojca.

- Dlaczego tak bardzo chcesz zgłębić jej tajemnicę? - spytał Trouville. - Coś mi się zdaje, że nie tylko zwykła ciekawość tobą powoduje.

- Muszę wiedzieć, co się z nią działo wcześniej - odparł Henri. - Skoro ma tutaj zostać, to powinna być całkiem bezpieczna.

Stary lord zniżył głos i spytał:

- Pragniesz tej młódki?

- Tak, ojczu. Pragnę z całego serca.

- Tego się właśnie obawiałem - westchnął ponuro Trouville.

Henri popatrzył na schody, na których zniknęła Iana .

Zdawał sobie sprawę, że tak jak jego ojciec musi pozostawić po sobie potomka. Legalnego potomka, poczętego z kobietą dobrze urodzoną, pochodzącą z tej samej sfery. Małżeństwo z Ianą nie wchodziło w rachubę.

- Nie bój się, ojczu. Dobrze wiem, co jest moim obowiązkiem jako twojego sukcesora - powiedział, nie patrząc na ojca. Obawiał się, że na jego twarzy dostrzeże wyraz, aprobaty dla swoich słów. - Mógłbym wprowadzić postąpić inaczej, wbrew twoim oczekiwaniom - dodał napiętym głosem - ale wiesz, że na pewno tego nie uczynię. Moją kolejną żoną będzie Francuzka. Jeżeli jakimś cudem urodzi mi syna, stanie się on następnym w kolejce do schedy.

Odpowiedziała mu jedynie cisza. Henri odwrócił głowę i spod oka zerknął na ojca. Uśmiech na poranej głębokimi bruzdami twarzy mógł jedynie oznaczać ogromną du-

mę z syna, który tak dzielnie i bez sprzeciwu spełniał nałożone nań obowiązki względem rodu.

Iana brzydziła się tchórzostwem, ale następnego ranka poczuła się jak tchórz. Wstała, ubrała się i usiadła na brzegu ogromnego łoża. A może nie zaszkodzi odrobina kłamstwa? - zadała sobie w duchu pytanie. Powiem, na przykład, że źle się czuję, i przez resztę dnia zostanę tutaj, w pokoju.

Chciała uniknąć kolejnego spotkania ze starym lordem Trouville'em. Bała się, że w końcu przyciśnie ją do muru i zmusi do powiedzenia prawdy. Wyobrażała sobie zdumioną minę Newella, gdyby pewnego dnia zobaczył w swoim zamku francuskiego hrabiego, wiozącego mu bogate dary z wdzięczności za ocalenie syna. Na pewno ten chciwiec zgarnąłby wszystko bez mrugnięcia okiem, a potem ta przyjechał, licząc na dalsze korzyści.

Na koniec wzięłby sowity okup od oblubieńca, któremu przyrzekł mnie za żonę, rozmyślała Iana. Dobrze wiedziała od Dorothei, ile zamierzał zgarnąć od starego Sturrocka, za którego chciał Ianę wydać za mąż. Postanowiła, że już nigdy więcej nie da się sprzedać.

Śniadanie zjadła u siebie, w komnacie, i nakarmiła małą Thomasinę. Gdy pokojówka sprzątnęła naczynia, z powrotem zajęła się dzieckiem. Mała Tam z wyraźną ciekawością rozglądała się po otoczeniu.

Iana odruchowo przemawiała do niej, dzieląc się swymi strapieniami. To zapewniała ją o miłości, to znów utyskiwała na swój los i niepewną przyszłość.

- W każdym razie, lord Trouville nie może mi nic nakazać! - zakończyła z patosem.

- Azać-azać - zaszczebiotała Thomasina.

Iana zamarła. Z wolna odwróciła się w stronę łóżka, na którym leżało dziecko.

- Tam! Ty mówisz?!

Thomasina uśmiechnęła się, a Iana zaśmiała się głośno, serdecznie, chwyciła małą na ręce i zawołała:

- Poczekaj, aż powiemy o tym Henriemu! Zobaczysz, jak będzie...

- Jaki? - rozległ się męski głos od progu.

Uszczęśliwiona Iana podbiegła do rycerza.

- Ona mówi - rzuciła jednym tchem. - Powiedziała pierwsze dwa słowa!

- Owa - usłyszeli naśladujący głosik.

Henri odebrał dziewczynkę z rąk Iany. Na jego twarzy malowała się ogromna radość.

- Powiesz coś do mnie, *ma petite*? No, nie wstydź się. Zagadasz do wujaszka?

- Aszka - powtórzyła Tam.

- To nie w porządku! - zawołała Iana. - Najpierw zwróciła się do ciebie, chociaż to ja jestem jej mamą!

- Mama - usłyszeli.

- Co za cudowny dzień! Nasza Tam zaczęła mówić!

- ucieszył się Henri.

Nasza Tam? - w duchu powtórzyła Iana. Przecież ona należy wyłącznie do mnie! Chociaż... to Henri sprawił, że wreszcie zaczęła raczkować. Miał pełne prawo radować się razem z nimi.

- Doprawdy jesteś wspaniałą matką - pochwalił Henri. - Thomasina pewnie jeszcze nawet nie wie, jak jej się poszczęściło w życiu!

- Dziękuję - nieco sztywno odparła Iana .

Po chwili spytał ją, czy już jadła i czy przypadkiem nie zechciałaby zejść na dół.

- Muszę koniecznie jeszcze przed obiadem porozmawiać z tobą w cztery oczy - dodał.

- Lepiej nic nie mów - powiedziała Iana i bezwiednie załamała ręce. - Znajdź mi zajęcie gdzie indziej.

Henri mocniej przytulił do siebie Thomasinę.

- Myślałem o tym przez całą noc i nad ranem doszedłem do wniosku, że powinnaś pojechać ze mną do Francji - oznajmił. - Tam znajdziesz stałe zatrudnienie.

Iana zaśmiała się drwiąco.

- Wyobrażam sobie, co to będzie, panie - rzekła z przekąsem.

- Nie, nie! Źle mnie zrozumiałaś. Gdybym mógł, to natychmiast wziąłbym cię za żonę, lecz jestem spadkobiercą dynastii Trouville'ów, razem ze związanymi z tym obowiązkami. Jesteśmy spokrewnieni z francuską rodziną królewską i naprawdę muszę...

- Nie, to raczej ty nic nie rozumiesz! - gorączkowo przerwała mu Iana . - Czy nie interesuje cię, co o tym myślę? Nawet gdybyś mógł się ze mną ożenić, to bym się nie zgodziła! Nigdy więcej żaden mężczyzna nie będzie mną pomiatał! Nikt mi nie będzie mówił, co mi wolno, a czego nie. Od ciebie oczekuję tylko, żebyś wypełnił swoje przyrzeczenie i znalazł mi odpowiednią pracę. Czy to tak dużo, panie?

Henri wzruszył ramionami.

- Na pewno więcej, niż możesz sobie wyobrazić - odparł sucho. - Każda kobieta, od księżniczki po zwykłą słu-

żąca, musi się kogoś słuchać. Tylko królowa - jeżeli nie ma króla - może zachować pozorną wolność, jakiej byś sobie życzyła.

- Nie poddam się niczyjej woli.

- Ten, któremu kiedyś ulegniesz, już na pewno gdzieś się urodził - orzekł Henri.

- Ty nim nie jesteś - odcięła się szybko. - Czy to dla ciebie nie do przyjęcia, że niewiasta chce sama decydować o sobie i o swoim losie? A może uraziłam twoją męską dumę? Jeśli nie dotrzymasz obietnicy, to wyniosę się z tego zamku i pójdę dalej swoją drogą!

- Jeszcze zobaczymy.

Henri oddał jej dziecko i położył jej dłonie na ramionach.

- Posłuchaj, Iana - zaczął ugodowym tonem - możesz być pewna, że nie będę cię do niczego zmuszał. Masz na to moje słowo.

- Chyba że dla mojego dobra - odrzekła ironicznie. - W takim przypadku mężczyzna jest zdolny do wszystkiego.

Długo patrzył jej w oczy. Wreszcie westchnął, obrócił się na pięcie i wyszedł z komnaty.

Iana przez chwilę stała nieruchomo. W gruncie rzeczy nie miała nic przeciwko temu, żeby Henri o nią zadbał. Nie mógłby jednak za nią decydować. Nie chciała, aby jego słowo stało się dla niej prawem; żeby przejął kontrolę nad jej życiem. Jako kochanka, byłaby w dużo gorszym położeniu niż żona. Z czasem stałoby się to dla niej nie do zniesienia.

Policzki piekły ją żywym ogniem. Sęk w tym, że Henri nie był jej obojętny. Cicha gra namiętności stawiała ją

w jeszcze trudniejszym położeniu. Przecież w pewnej chwili rycerz mógłby posłużyć się tym jak groźną bronią. Wówczas byłaby na zawsze stracona.

- To okropne - powiedziała na głos.
- Opne - ochocho zgodziła się z nią Thomasina.

Scan-dalouis

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zamek w Baincroft zawsze był pełen ludzi. Henri zaś potrzebował teraz choć kilku minut samotności, żeby przemyśleć swoje problemy przed spotkaniem z Robertem i ojcem. Usiadł zatem w alkwie, w mrocznym korytarzu, w której zazwyczaj nocowali nieco mniej ważni goście. Alkowa nie miała drzwi, lecz każdy, kto w niej przebywał, był całkowicie niewidoczny dla przechodzących korytarzem.

Henri nie miał nic przeciwko podsłuchiwaniam. Czułość i ostrożność nieraz uratowała mu życie, zwłaszcza wtedy, gdy mieszkał na francuskim dworze. Intrygi były tam na porządku dziennym. Czasem zazdrościł Robertowi tego, że ów potrafił czytać słowa wyłącznie z ruchu warg i to z niemałej odległości.

Teraz jednak bez przeszkód mógł swobodnie podsłuchać rozmowę dwóch służących, zmieniających świece w zamkowych lichtarzach.

- Ona mi wcale nie wygląda na porządną matkę - powiedziała Glenys pod adresem Iany. - Dziecko jest chude jak szczapa. Na pewno chciała je zagłodzić, żeby umarło.

Henri miał ochotę wyskoczyć z ukrycia i porachować kości niemądrej dziewczynie, ale się wstrzymał, ciekaw, co też jej odpowie na to druga pokojówka.

- Lepiej się pilnuj i nie paplaj, co ci ślina na język przyniesie! Chyba że chcesz pasać gęsi - pouczyła Aiden.

- Nie twoja sprawa, co porabiają lepsi od ciebie.

- A gdzież tam ona lepsza ode mnie?! - zaperzyła się Glenys. - Nosi zgrzebną sukienkę zupełnie jak chłopka albo dodziera stroje po naszej dobrej pani. Nie ma kolczyków ani biżuterii. Nawet obrączki na serdecznym palcu.

- Może skradziono jej to wszystko? Powtarzam, to nie nasz interes. Co cię obchodzi, czy miała męża? - odpowiedziała Aiden.

- Chce być znachorką? Ma mnie leczyć? Och, ja się na to na pewno nie zgodzę. Taka nie będzie truła mnie ziołami.

- Mnie też nie - zgodziła się Aiden. - Co racja, to racja. Nie powiem na nią nic złego, żeby się tylko pani Mairi nie złościła, a też nie dam się leczyć dziewce sir Gilleta. Pamiętaj, kiedyś wspomnisz moje słowa, Glenys. Ona na pewno go zaczarowała.

- Tak uważasz?

- Myślę, że używa do tego jakiejś mikstury lub wywaru. Sama powiedziała przecież lady Mairi, że zna się na ziołach. Pan Henri to teraz zupełnie inny człowiek. Nie ten, co dawniej. Przed laty uganiał się za każdą spódniczką.

- Mną to się nigdy nie zainteresował - ze szczerym smutkiem powiedziała Glenys.

Henri z trudem wytrzymał w kryjówce. Miał wielką ochotę wyskoczyć z alkowy, chwycić plotkarki za włosy i stuknąć jedną głową o dragą. Teraz już wiedział, jakie nastroje panują na tutejszym zamku. Co z tego, że Rob

i Mairi wydali rozkazy służbie! Przecież i tak nie wiedzą, co czeladź myśli i o czym rozprawia.

Najgorsze, pomyślał Henri, że po moim wyjeździe sami mogą uwierzyć w plotki. Z przerażeniem przypomniał sobie młode lata, kiedy to obecna żona jego ojca została oskarżona o próbę otrucia męża. Cudem uniknęła tortur i potwornej śmierci. Gdyby tak Iana, na przykład, pomagając Mairi w leczeniu, przypadkowo popełniła błąd i użyła jakiegoś niewłaściwego zioła, mogłaby być łatwo pomówiona o czary i zamiar otrucia chorego.

Za wszelką cenę muszę ją przekonać, żeby wyjechała ze mną, postanowił.

Z tą myślą opuścił alkowę. Nie musiał długo szukać Iany. Stała przy schodach. Rękami zakrywała twarz i łzy spływały jej po policzkach.

- Zatem słyszałaś - powiedział cicho.
- Tak - potwierdziła z głębokim westchnieniem.
- Gdzie Thomasina? - zapytał, przyzwyczajony do tego, że Iana właściwie nie rozstawała się ze swoją podopieczną.
- Jest z lady Mairi, w wielkiej sali. Zamierzałam trochę rozejrzeć się po zamku.

Popatrzył na nią z poważną, zatroskaną miną.

- I przy okazji usłyszałaś więcej, niż chciałaś - powiedział.

Iana wyprostowała się, przywołując na pomoc całą swoją dumę.

- Przynajmniej dowiedziałam się, co o mnie naprawdę tutaj myślą.

- Pojedziesz ze mną - oznajmił Henri stanowczym tonem.

Wyciągnął rękę, żeby ująć jej dłoń. Iana szybko się odsunęła.

- Nie, nie pojadę - odparła hardo.

- Przecież nie możesz tu zostać, Iano. To naprawdę niebezpieczne.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Udam się gdzie indziej.

- A możesz mi powiedzieć gdzie? Do klasztoru? Bez stosownego polecenia nawet tam nie będziesz zbyt mile widziana. A może włożysz na palec obrączkę ze słomy i będziesz udawać zwykłą chłopską wdowę?

- Przestań! Zostaw mnie w spokoju! - zawołała z płaczem.

Wbiegła na schody. Henri ruszył za nią, złapał od tyłu i przytrzymał.

- Iano, Iano - szepnął żarliwie - pozwól, żebym o ciebie zadbał.

- Co ty właściwie sobie myślisz, Henri? - zaszłochała. - Jestem dla ciebie tylko zwykłą dziewczką! A może chcesz, żeby mnie uważano za latawicę? Nigdy nie byłam i nie będę twoją kochanką.

- Wiem o tym - westchnął. - Jednak nie możesz tu zostać. Znajdę ci jakieś odpowiednie miejsce, kupię obrączkę i przekonam wszystkich, że jesteś wdową po moim przyjacielu - oświadczył z nagłą desperacją.

Iana nic na to nie powiedziała.

- Chodź, opowiemy o wszystkim ojcu. Czeka na mnie w komnacie Roberta.

Popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Wyglądała na przerażoną. Hrabia Trouville znowu zasypie ją

licznymi pytaniami. Posłusznie jednak wyciągnęła rękę do Henriego, który uściśnął ją i siłą powstrzymał się, żeby nie pochwycić Iany w ramiona.

Och, gdybyż tylko pozwoliła na to, żebym otoczył ją opieką! Nikt nigdy już by jej nie skrzywdził.

W jednym miała rację, pomyślał Henri. Jeśli się z nią nie ożenie, to zawsze będzie tylko moją kochanką. A nie mogę uczynić jej prawowitą małżonką.

Zdawał sobie sprawę, że Iana go pragnie. Domyślał się tego po jej drżących ustach, rozdygotanych dłoniach, po płytkim oddechu. Teraz też lekko rozchyliła wargi, jakby chciała mu coś powiedzieć.

Henri pochylił się, chcąc pocałunkiem rozpędzić jej obawy.

- A, tu jesteście, moi drodzy - znienacka rozległ się gruby głos.

Lord Trouville znużył się czekaniem i postanowił sam ich znaleźć. Znacząco spojrział na ich splecione ręce. Henri poczerwieniał, a Iana odsunęła się szybko i tak mocno zacisnęła pięści, że aż jej zbieleły kostki.

- Moje dziecko - zwrócił się do niej hrabia - wysłałem do domu parobka z poleceniem, aby przysłali wóz pełen darów dla twojej rodziny i niańkę dla dziecka. Będzie się nim zajmować w drodze.

Iana złożyła głęboki ukłon i bez słowa uciekła po schodach na górę.

Trouville zmarszczył brwi.

- Jak się domyślam, to w dalszym ciągu nic nie wiadomo o jej pochodzeniu.

- Ojczy, czy możesz wreszcie zostawić ją w spokoju?

- spytał Henri. - Jest tak przejęta tym, co się wokół dzieje, że nie potrafi rozsądnie myśleć. Pójdę do niej.

Ruszył w stronę schodów, lecz ojciec schwycił go za rękę.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- Będzie płakać. Muszę ją pocieszyć!.

- Nie - zgromił go. - Wierz mi, synu, że nic jej się nie stanie. Podejrzewam raczej, że zamierza uciec.

- Chcesz, żeby tak się stało, ojczcze?! - zawołał Henri.

- Nie pozwolę na to. Nie mogę.

Trouville wzruszył ramionami.

- Henri - westchnął - przecież musi być jakiś powód, dla którego ta twoja Iana nie chce nam zdradzić swojego nazwiska. Chcesz jej pomóc? To postaraj się razem ze mną rozwikłać tę zagadkę. Jeśli dziewczyna wyjedzie z' tobą do Francji albo ukryje się gdzieś tutaj, na wsi, to nigdy nie poznamy prawdy. Nie będziesz wiedział, kto jest winowajcą i kto ile ją potraktował. A może to tylko zwykłe babskie fochy? Może brat chce ją wydać za kogoś, kto najzwyczajniej w świecie jej się nie podoba? Wiesz dobrze, że potrafisz temu zapobiec. W końcu jesteśmy jej coś winni. Sam przyznaj, czy przypadkiem nie wolałbyś, aby miała spokojne sumienie i pogodziła się z rodziną?

- Nie sądzę, byśmy w tej sprawie mieli coś do powiedzenia - ze smutkiem odparł Henri. - Przecież Iana przyznała sama, że Thomasina nie jest legalnym dzieckiem jej męża. Pewnie wygnano ją, bo w mniemaniu krewnych okryła się hańbą. Wstydzą się za nią.

- Zatem nie wierzysz w to, co mówiła Mairi? - spytał

hrabia. - Wobec tego dlaczego nie przyjęła twojej propozycji? Przecież w tym wypadku nic by nie straciła.

- Bo chce wolności - odparł Henri. - Pragnie sama o sobie decydować. Tak mi powiedziała.

- Tego chcą wszystkie białogłowy - lekceważącym tonem zauważył hrabia. - Dziwne tylko, że udało jej się przetrwać aż tak długo. Widocznie ma silną wolę.

- Doradź mi zatem, co powinienem zrobić?

- Chyba poczekać. Tylko nie pozwól, żeby uciekła przed powrotem Thomasa. Jeśli niczego się nie dowiemy, skłonimy ją do wyznania prawdy. Tak między nami, to jej nie zazdroszczę. Chcąc nie chcąc, znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Na razie nie zamierzam jej mocniej naciskać, lecz w odpowiedniej chwili zrobię to, co konieczne dla jej własnego dobra.

- A co będzie, jeżeli sprawy przybiorą zły obrót? Mam ją przepędzić na cztery wiatry? - spytał Henri.

Hrabia popatrzył na niego przez dłuższą chwilę i odpowiedział:

- Oczywiście, że nie. Damy jej wolność, utrzymanie i jakieś godziwe kobiece zajęcie. Będzie robiła to, co zechce.

- Ona nie przyjmie takich darów. Potraktuje to jak jałmużnę. Już próbowałem.

- Może nie przyjmąc, ale moim zdaniem zasłużyła na znacznie więcej.

- Czego naprawdę jej potrzeba? - dopytywał się Henri - Jak myślisz, ojcze?

- Rodziny, męża. Kogoś, kto będzie ją naprawdę kochał. Wszak każdy z nas po cichu za tym tęskni. Mam rację?

Trouville spojrział na syna spod zmrużonych powiek.

Henri nie umiał sobie wyobrazić, by Iana mogła być żoną innego człowieka. Nawet takiego, który traktowałby ją z czcią i wiarą, a Thomasinę uznał za własną córkę. To mu się nie mieściło w głowie. Przecież Tam po raz pierwszy przemówiła do nikogo innego, tylko do niego, Henriego! Był zresztą pewien, że Iana też nie chciałaby innego męża. Gdyby więc...

- Henri? - przerwał jego rozmyślenia ojciec.

- Bardzo przepraszam cię, ojczu, lecz muszę odejść i uprzedzić strażę, żeby nie pozwoliły Ianie wychodzić poza mury zamku.

- Dobrze, tym razem ci pozwalam przerwać tę rozmowę. Idź, synu.

Iana wróciła do komnaty. Pierwszą jej myślą było, żeby spakować rzeczy i uciec stąd jak najdalej. Przez chwilę rozważała wszystkie za i przeciw. Doszła do wniosku, że pozostały jej dwa wyjścia, chociaż, na dobrą sprawę, żadne jej się nie podobało. Mogła nadal uciekać - i narazić się na to, że w końcu brat ją znajdzie i zmusi do ślubu - albo przystać na propozycję sir Gilleta. Innymi słowy: zostać jego nałożnicą.

Usiadła na krześle znużona, zgarbiła się i podparła głowę rękami.

Pomyślała z rozpaczą, że lepiej by zrobiła, zostając w wiosce. Żyłaby w nędznych warunkach, ale byłaby wolna.

Ta wolność jednak nie trwałaby wiecznie. Najwyżej do przyjazdu Newella. To byłby ostateczny kres swobody.

Co robić? - zastanawiała się, bliska obłędu. Co robić?!

- Moja pani? - cichy głos odezwał się od progu. To był Everand.

- Wejdz, Ev. - Zmęczonym gestem zaprosiła go do komnaty. - Siądź i poradź, co ja biedna mam począć w tej trudnej sytuacji?

- Radzić? - zająknął się ze zdumieniem. - W jakiej sprawie?

- We wszystkich - odparła z goryczą. - Wydaje mi się, że kobietom po prostu brak rozumu. Może ty podpowiesz mi coś rozsądnego. Przecież jesteś mężczyzną.

Ev roześmiał się.

- Jeszcze nie, a ty też mi nie przypominasz bezrozumnej istoty, pani.

- Nie mów głośno takich herezji, bo cię wygnają z zamku, mój drogi.

- Przyszedłem, żeby podzielić się z tobą pewną nowiną, pani. Ojciec, to znaczy sir Henri, chce mnie adoptować sądownie, w myśl prawa. Dzisiaj rano hrabia nazwał mnie swoim wnukiem! To wprawdzie tylko słowa, bo nie jestem Trouville'em z krwi i kości i jako taki nie mogę być tytułowany, lecz cieszę się, że trafiłem do tak zacnej rodziny. Hrabia Trouville jest dobrym człowiekiem i bardzo podobnym w tym do sir Gilleta.

- Masz rację - przytaknęła Iana .

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego przyszedłem - ciągnął Ev. Chrząknął, jakby coś go drapało w gardle.

- Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć, pani. Chodzą plotki, że ty i sir Henri jesteście kochankami.

- Kto? Jak mogą? Jak im nie wstyd? - Iana zerwała się z krzesła i niespokojnie zaczęła krążyć po komnacie.

- Nie mówią tego w obecności pana MacBaina i lady Mairi. Dowiedziałem się paru rzeczy od pewnego pazia, który zna francuski.

- To kompletne bzdury! Czy to lady Jehan naopowiadała tych obrzydliwych bredni?! - zawołała Iana, oburzona do głębi.

- Tego akurat nie wiem - szczerze przyznał Everand - ale w całym zamku aż huczy od plotek. Powiadają, że sir Henri i ty, pani, jesteście od dawna kochankami... i... i że Thomasina to wasze dziecko. Mówią, że to dyshonor dla sir Roberta i lady Mairi trzymać pod swoim dachem bękartą.

- Cóż to za absurd! - krzyknęła Iana. - Bóg mi świadkiem, że chciałabym natychmiast opuścić ten zamek!

- To niemożliwe - westchnął Everand. - Słyszałem, jak sir Henri powiedział swemu ojcu, że idzie uprzedzić strażę, aby pod żadnym pozorem cię nie wypuszczały. Wygląda na to, że jesteś tu więźniem.

- Wię... więźniem? - Iana zająknęła się z przerażenia.

Jak Henri mógł tak postąpić? Nigdy by z nim tu nie przybyła, gdyby wiedziała, czym to się skończy. Przyłożyła rękę do rozpalonego czoła.

- Ev, czy możesz zabrać Thomasinę z wielkiej sali? - spytała. - Przynies ją tutaj i powiedz sir Gilletowi, że chcę z nim porozmawiać.

- Masz zamiar przyjąć jego propozycję? - zaciekawił się Ev.

Iana zeszywniała.

- Nigdy nie zgodzę się na żaden pomysł tego człowieka! - odparła z oburzeniem.

- Przemyśl to, co kiedyś powiedziałem. Ożenię się z tobą. Przedtem uznałaś, że to zwykłe żarty, ale mój prawdziwy ojciec zostawił mi spory spadek, więc mogę być niezależny od sir Gilleta. Wyjdź za mnie, a ja...

- Och, Ev, jesteś kochanym chłopcem. - Poglaskała go po głowie.

- Nie odmawiaj mi. Będę cię kochał - zapewnił ją z uśmiechem. - Już cię kocham.

- Ja też cię kocham, ale nic z tego nie będzie - westchnęła. - Dziękuję ci, że chciałeś wybawić mnie z opresji.

Rzucił jej krzywe spojrzenie i opuścił komnatę.

Dla Iany był to najgorszy dzień w jej życiu. Nawet solidne ciosy i kuksańce, otrzymywane kiedyś od zmarłego męża, nie wydawały się jej tak bolesne, jak zdrada sir Henriego. Znalazła się w pułapce.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Ach, tu jesteś, ojcze! - powiedział Everand, wchodząc do stajni.

Henri zauważył specjalny nacisk, jaki chłopiec położył na ostatnim słowie. Czyżby to jakaś ukryta drwina? Chyba nie. Jeszcze niedawno giermek był zadowolony, że dzielny i bogaty rycerz uznał go za syna.

- Tak, jestem tutaj - rzucił od niechcienia.

- Zdawało mi, że chcesz wyjechać beze mnie - zaczepnie rzekł chłopak.

Czasami ktoś powinien porządnie natrzeć mu uszu, pomyślał Henri, chociaż wcale nie był zły na Everanda.

- Bez ciebie? Nigdy! A kto w podróży szcztokowałby mi konia i zmywał miski po jedzeniu? - odparł żartobliwie, nie zwracając uwagi na zachowanie swojego protegowanego. - Przyszedłem tutaj, żeby spojrzeć na nasze wiezchowce. Szukałeś mnie?

- Tak, panie. - Everand nieco spuścił z tonu, lecz w dalszym ciągu zachowywał się bardzo oficjalnie. - Przynoszę ci wiadomość, że lady Iana czeka na ciebie w gościnnej komnacie.

- W jakim jest nastroju? - zapytał sir Henri.

- Bardzo zmartwiona - przyznał chłopiec.

Henri zastanawiał się, ile z zamkowych plotek dotarło już do Everanda. Chyba niewiele, bo chłopak przecież w ogóle nie znał angielskiego, nie wspominając już o szkockiej mowie. Lecz zaraz, zaraz. Coś mógł mu powtórzyć ten francuski paż, który się kręcił wśród czeladzi. Zdaje się, że przyjechał z Jehan.

- Sam mi wyglądasz na zmartwionego. Chcesz może o tym porozmawiać? - spytał.

- Chyba nie - burknął Everand - i tak za dużo już wszyscy gadają.

A zatem słyszał.

- Zajmij się końmi - oschle polecił mu sir Henri. - Kobyła zdaje mi się jakaś smutna. Ja w tym czasie pójdę do naszej drugiej klaczki.

Everand głośno wyraził swoje oburzenie.

- Jak możesz, ojczule! - krzyknął. - Porównujesz tę damę do zwierzęcia?

Zaczerpnął tchu, jakby szykował się do walnej bitwy.

- Spokojnie, chłopcze - zmitygował go rycerz. - Chciałem tylko przez to powiedzieć, że płęć przeciwna potrafi z igły robić widły.

- Z igły? - Everand mocno zacisnął białe zęby.

- Tak, czyli mocno przesadzać. Wierz mi, że mówię prawdę. Iana może być teraz smutna, nieszczęśliwa i zdenierwowana, ale to my - mężczyźni - przywrócimy porządek i ład w jej życiu. Znów wszystko będzie dobrze.

Everand podszedł bliżej i zapytał:

- Ile dla ciebie jestem wart, mój ojczule? Tysiąc funtów?

Sir Henri popatrzył na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Myślę, że kilka razy więcej. Ale dlaczego pytasz? Brak ci drobnych? - roześmiał się z drwiącą miną.

- Potrzebuję pieniędzy, żeby zapłacić za oblubienicę - poważnie oświadczył Everand.

- Hola, hola. A która to z tutejszych młodek już wpadła ci w oko? Za młody jesteś na ślub, chłopcze. Nie miałeś jeszcze kobiety!

Everand przybrał poważny wyraz twarzy.

- Jestem wystarczająco dorosły, aby ożenić się z lady Ianą - oznajmił nadąsanym tonem. - Po prawdzie, to już ją prosiłem o rękę. Nawet mi nie odmówiła.

Henri spoważniał.

- To znaczy, że już zupełnie zwariowała - rzekł pod nosem. - tak nie możesz się z nią ożenić, bo po pierwsze, jesteś za młody, a po drugie, ona jest damą, ty zaś tylko synem kupca.

Everand napuszył się jak młody i zadziorny kogut.

- Nie masz racji, mój dobry ojciec - powiedział. - Jestem teraz synem domu Trouville'ow.

- Nie pozwolę ci na taki mariaż, synu.

- Znam powody - zakpił chłopak. - Chcesz ją mieć dla siebie. Za nisko urodzona, żeby się z nią swatać, lecz wystarczająco, aby ją pohańbić.

Niewiele brakowało, a Henri by go uderzył.

- Komu chcesz zapłacić za tę pannę młodą? - zapytał oschłym tonem. - Powiedziała ci może, jak się nazywa?

- Nawet jej o to nie pytałem - odparł Everand. - Nie ma takiej potrzeby, Przecież wszystkiego dowiemy się po powrocie szpiega.

Henri doszedł do wniosku, że najlepiej będzie przerwać

tę rozmowę. Wolał odejść, zanim padłyby jakieś nieopatrzne słowa, które zepsułyby stosunki pomiędzy nim a Everan-dem. Odwrócił się więc i poszedł w stronę zamku.

Szybkim krokiem wbiegł po frontowych schodach i minął ciężkie wierzaje. Kątem oka zobaczył Jehan, która przywoływała go z drugiego końca wielkiej sali. Podniósł rękę na powitanie i dalej szedł w swoją stronę, bo nie chciał z nią rozmawiać. Dziewczyna jednak go dogoniła.

- Czego ode mnie chcesz, Jehan? - rzekł nieprzyjawnym tonem. - Spieszę się. Są pewne sprawy, które nie mogą czekać. Idź lepiej pozawracaj głowę Robertowi.

Od razu pożałował ostrych słów. Jehan ze łzami w oczach rzeczywiście odwróciła się i odeszła. Henri zaklął pod nosem i pobiegł za nią

- Poczekaj! - zawołał, chwytając ją za ramię. - Nie chciałem zrobić ci przykrości.

- Owszem, chciałeś - powiedziała smutno.

Henri przygarnął ją do siebie. Moja biedna mała dziewczynka, pomyślał z nagłym rozrzewnieniem. W końcu to nie jej wina. Nic złego mi nie zrobiła. Przecież od dziecka byliśmy przyjaciółmi. A to, że mi zawraca głowę? Tak postępuje niemal z każdym.

- Mam nadzieję, że nie będziesz płakać. Wiesz, że nie mogę patrzeć na babskie łzy.

Pociągnęła nosem.

- Najpierw Robbie, a teraz ty mnie zostawiasz.

Henri otoczył ją ramieniem i przytulił.

- Ciii. Nic nie mów. Przecież Rob cię nie opuścił. Mieszkaś w jego zamku - tłumaczył jej jak rozkapryszonemu dziecku. - A do Francji wyjeżdżam w całkiem in-

nych sprawach. To jeszcze nie dowód, że chcę cię porzucić.

Uderzyła go piąstką w ramię i powiedziała nadąsanym tonem:

- Miałam cichą nadzieję, że mnie uratujesz. Po ślubie Roberta zostałam zupełnie sama. Myślałam, że może ty zwrócisz na mnie uwagę.

- Chyba nie powiesz mi, że wciąż jesteś zazdrosna o Mairi? Przecież od lat jest żoną Roberta. Po co tu mieszkasz, jeśli nie znosisz jej widoku?

- To nieprawda! Wcale nie jestem zazdrosna! - zawołała Jehan. - Kocham Mairi jak rodzoną siostrę! Wyraźnie widać, że Robert ma z niej lepszą pociechę, niż miałby ze mnie, ale sęk w tym, że sama wciąż nie mogę znaleźć właściwego kandydata na męża. Ci, których ciągle podsuwa mi mój dziadek, są jacyś obcy, dziwni, nieprzyjemni. A ja chcę kogoś, komu będę mogła naprawdę zaufać! - dokończyła z zalem. - Kogoś takiego jak ty, Henri.

- Zależy mi na twoim szczęściu, lecz nie mogę pojąć cię za żonę - z powagą powiedział Henri i odsunął ją na odległość wyciągniętych ramion.

- Czy to dlatego, że nie możesz ożenić się z miłości? - zapytała. - Bo jeśli chodzi o inne sprawy... Chyba pamiętasz, że moim kuzynem był sam Robert de Bruce. Poprzez niego jestem spokrewniona z rodziną królewską! Pasujemy do siebie.

- Nie. Podejrzewam, że po pewnym czasie byśmy się pozabijali - odparł Henri.

Jehan jakby z zalem wysunęła się z jego objęć i odstaąpiła kilka kroków. Nagle podbiegła doń, wspięła się na

palce, objęła go rękami za szyję i pocałowała prosto w usta. Na pewno nie był to pocałunek niewinnego dziecka.

Henri położył jej dłonie na ramionach i delikatnie ją odsunął.

- Jehannie.

- Nie chciałabym wam przeszkadzać, ale... - rozległ się głos z góry.

Iana . Do diabła! Henri nawet nie próbował się tłumaczyć, co robił na schodach z Jehan. Doskonale wiedział, co sobie pomyślała Iana .

Jehan przypatrywała mu się z kocim uśmiechem na twarzy, a on nie mógł nic na to poradzić. Odwrócił się i szybkim krokiem zszedł na dół. Chciał w ten sposób uratować choć resztki godności. Dopiero gdy znalazł się w wielkiej sali, przypomniał sobie, po co szedł na górę. Everand wpadł na dziwaczny pomysł, że ożeni się z Ianą,

Jehan coś knuła. Boże, westchnął. Dlaczego życie bywa tak skomplikowane? Co mam zrobić, by obronną ręką wybrnąć z tych kłopotów?

Lady Jehan wyglądała na zadowoloną z siebie. Pewnie nie byłaby aż tak usatysfakcjonowana gdyby wiedziała, z jaką łatwością przychodzi Henriemu pocałunki.

- Biegnij za nim - powiedziała Iana . - Być może teraz całuje jakąś pokojówkę.

- Nie wierzę. Ludzie jego pokroju są stali w uczuciach. Można na nim polegać - roześmiała się Jehan.

- Pod warunkiem, że liczysz się z niespodziankami - złośliwie dopowiedziała Iana i odwróciła się, żeby odejść.

Jehan chwyciła ją za rękę i zawołała:

- Chodźmy do Mairi, do wielkiej sali! Właśnie po ciebie mnie wysłała.

Zapewne chcą mi oddać Thomasinę, pomyślała Iana. Żadna z pokojówek nie lubi się zajmować niechcianym przez nikogo bękartem sir Gilleta. A niech ich wszystkich diabli porwą za te podejrzenia!

Jehan delikatnie dotknęła jej ręki.

- Iano. Musisz wiedzieć, że nie wierzę w plotki,

Iana szybko zerknęła na nią spod oka. Czyżby Jehan umiała czytać w jej myślach?

- W całym zamku aż huczy, ale ja wiem swoje. Henri nie spłodził z tobą dziecka. Nie jest ojcem twojej córeczki.

- A skąd ta pewność? - zagadnęła Iana.

- To proste. Od razu widać, że nie jesteś latawicą. A gdyby nawet... Henri nie może mieć dzieci. Dowiedziałam się tego z rozmowy pomiędzy Robertem a Mairi.

- Podsluchiwałaś, jak mówili o cudzych sekretach? Faj, to obrzydliwe!

Jehan roześmiała się.

- Bardzo rzadko robię to, co wypada. To takie nudne! Nie martw się. Niedługo wróci mój brat, Thomas. Na pewno powie nam, kim naprawdę jesteś, a wtedy pomożemy ci wybrnąć z kłopotów.

Iana jak wryta zatrzymała się w pół kroku.

- O czym ty mówisz? - zapytała z udawanym spokojem, chociaż w środku aż kipiała ze złości.

Lady Jehan przybrała niewinny wyraz twarzy.

- Thomas pojechał w okolice Largsmuth, aby dowie-

dzieć się czegoś o twojej rodzinie - powiedziała. - Lada dzień powinien wrócić.

Słyszając te słowa, Iana o mało nie zemdląła. Poczula się chora z przerażenia. Przecież Newell natychmiast tu przyjedzie po śladach tego, który jej szukał! A ona nawet nie zdoła uciec, zanim to się stanie.

Weszła do wielkiej sali i bez zastanowienia spytała lady Mairi:

- Czy jestem tutaj więźniem, mimo że nie zrobiłam niczego złego? Odpowiedz mi szczerze, pani!

Mairi popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Więźniem? Kto ci to powiedział, Iano? Dlaczego jesteś tak zdenerwowana?

- Nie wolno mi wyjść poza mury zamku, a jej brat -

Iana oskarżycielskim ruchem wskazała na Jehan - pojechał powiadomić mojego opiekuna, gdzie przebywam. Wiesz, jak to się skończy? Na wszystkich świętych i głowę mego dziecka, pozwólcie mi stąd uciec! Błagam!

Mairi spod oka zerknęła na Jehan. Iana była święcie przekonana, że obie chciały, aby jak najprędzej zniknęła z zamku Baincroft. To byłoby najwygodniejsze wyjście.

Lady Mairi już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, kiedy z przedsionka dobiegł jakiś dziwny hałas.

Mairi oddała dziecko Ianie i podeszła do drzwi. Lady Jehan stanęła przy niej w progu.

- Kim jest ten człowiek, stojący tam z Robertem, Henrim i starym hrabią? - szepnęła. - Popatrz tylko na niego. Diabelnie przystojny.

Iana wyjrzała przez drzwi i zobaczyła wysokiego uro-

dziwego rycerza w pełnej zbroi i czerwonej opończy z herbem na piersiach.

- Mam nadzieję, że nie odmówisz mi gościny - powiedziała Jehan do Mairi z nerwowym chichotem. - Pozwólcie, że go przywitam! - zawołała i nie czekając na odpowiedź, sprężystym krokiem ruszyła w stronę gościa.

Mairi szła za nią, a na końcu tej małej kawalkady kroczyła Iana, z dzieckiem na ręku. Najważniejsze, że to nie Newell, pomyślała z ulgą.

Kiedy podeszły bliżej, Henri przedstawił im obcego rycerza.

- Sir Ambrose, to lady Mairi, żona lorda Roberta. Dalej stoją lady Jehan de Brus i lady Iana z Ayr.

W czasie tej krótkiej prezentacji spojrzął na Ianę tak, że chciała uciec. Postanowiła jednak zostać. Zgięła kolano i dygnęła w ukłonie przed rycerzem.

- Moje panie. - Sir Ambrose skłonił się uprzejmie. Przez cały czas patrzył na Ianę, co wydało jej się trochę dziwne, bo przecież bliżej stała piękniejsza od niej Jehan.

- Ayr? To chyba gdzieś na wybrzeżu? - zapytał rycerz.

- Owszem, to prawda, panie - odpowiedziała.

- W pobliżu Whitethistle, o ile się nie mylę? - dodał znaczącym tonem.

Iana umilkła. Znał ją i przybył po nią. A może to nieprawda? Może to tylko gra wyobraźni? Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach na myśl, że sir Ambrose mógłby być wysłannikiem Newella.

Dlaczego wymienił nazwę tej zapadłej wioski? Popatrzyła nań nieco uważniej. Coś w nim wydało się jej zna-

jome. Ale co? Tego niestety nie wiedziała. Przynajmniej na razie.

- Co sprowadziło cię do Baincroft, mój szlachetny panie? - spytała Mairi.

- Szukam kogoś. Pewnej damy - odpowiedział przybyły głębokim głosem, nawykłym do rozkazów.

Iana zamarła. Zatem jednak o nią chodziło. Teraz była tego już zupełnie pewna.

- A znalazłeś aż trzy - uśmiechnęła się radośnie Jehan.
- Chodź, szlachetny panie, napij się wina i rozchmurz zmarszczone czoło. Kiedy odpoczniesz, przygotujemy ci gorącą kąpiel i gościnną komnatę. Mam obowiązek zająć się tobą - powiedziała.

- Obowiązek? - powtórzył głucho i spojrzął na dziewczynę, jakby dopiero teraz ją zauważył.

Dygnęła wdzięcznie i zalotnie zatrzepotała rękami.

Iana podziękowała jej w duchu za to, że się wtrąciła. Przynajmniej odwróciła uwagę rycerza.

Iana postanowiła opuścić towarzystwo.

- Muszę odejść - szepnęła do swojego towarzysza.
- Zostaniesz - bez wahania polecił sir Henri. - Ten człowiek przyjechał tu po ciebie. Dlaczego?
- Nie pozwól mu mnie stąd zabrać - poprosiła.
- Chcesz więc, żebym się tobą zaopiekował?
- Tak - odparła szybko, wychodząc z założenia, że woli to niż sromotny powrót do Newella.
- Zatem choć raz powiedz mi prawdę! Uciekłaś od męża?
- Nie, przysięgam! - zachnęła się. - Mój małżonek zmarł już dawno temu. Uwierz mi!

Przeszli na drugi koniec wielkiej sali, by porozmawiać z dala od wścibskich uszu.

- Domyślam się, że nie znasz tego kawalera - powiedział Henri.

- Widzę go pierwszy raz w życiu. Mimo to boję się, że został tu przysłany przez kogoś zupełnie innego.

- Kogoś, kto ma się z tobą ożenić? Iana skinęła głową.

- Czy spisaliście ślubny kontrakt? - dopytywał się Henri.

- Niczego nie podpisywałam. Nie wyjdę więcej za mąż - odparła stanowczo.

- W takim razie co z Everandem? - spytał znaczącym tonem. - Przecież podobno obiecałaś mu swoją rękę?

- Na przyszłość daruj sobie takie żarty! Ja się naprawdę boję - szepnęła, usiłując wyzwolić dłoń z jego uścisku.

- Nie bój się, jesteś moja - zapewnił ją żarliwie.

- Nie jestem twoja! - odpowiedziała podniesionym głosem. - Nikt mną nie będzie rządził! Liczę tylko na twoją pomoc. To wszystko, czego od ciebie żądam. Jeśli chcesz, to zatrzymaj sobie resztę srebra, ale pozwól mi stąd wyjechać!

- Chcesz stoczyć się na samo dno i umrzeć z głodu; gdzieś pod płotem? - spytał Henri.

- Błagam - powtórzyła Iana.

- A ja ci odpowiadam: nie. Robię to dla twojego dobra.

Uśmiechnął się do niej. Miał to być przyjazny uśmiech, ale błysk białych zębów nadał mu tak dziki wygląd, że Iana zapomniała o wszelkim oporze. Przynajmniej chwilowo. Później wrócimy do tej sprawy, pomyślała.

Zasiedli do stołu. Lady Jehan zabawiła gościa opowieściami z francuskiego i angielskiego dworu, gdzie spędziła ostatnie sześć lat. Iana musiała przyznać, że dziewczyna dobrze wiedziała, jak sprawić, aby gość zwrócił na nią baczniejszą uwagę.

Sir Ambrose, z początku niechętnie do niej nastawiony, po pewnym czasie patrzył już tylko na lady Jehan. Wyraźnie go oczarowała. Jedyne z rzadka kręcił głową i rzucał przeproszające spojrzenie na Ianę.

Z kolei Henri starał się pokazać, jak bardzo jest zainteresowany Ianą i małą Thomasiną.

Po posiłku Jehan poprowadziła sir Ambrose'a do przeznaczonych dla niego komnaty.

- Już ma go w swoim ręku - zawyrokował Henri.
- Być może - odparła Iana - ale widzę, że ty także masz trochę niewyraźną minę.
- Czyżbyś myślała, że jestem zazdrosny? - spytał żywo.
- Całowaliście się na schodach - przypomniała. - Sama to widziałam. Nie wyglądasz na kogoś, kto dzieli się swoją zdobyczą.
- Uwierz mi - zapewnił Henri - że Jehan nigdy nie była, nie jest i nie będzie moją kochanką.
- Ale czyni na ciebie zakusy. Kocha cię.
- Ja też ją kocham jak rodzoną siostrę. - Westchnął i pustym wzrokiem spojrzał gdzieś w przestrzeń, przed siebie.

Ianie zrobiło się go trochę żal.

- To smutne dla was obojga. Nie możesz się z nią ożenić?

- Jehan jest skoliigacona z rodziną królewską. Byłaby świetną partią dla każdego, tylko nie dla mnie.

- Aha - mruknęła Iana .

Doszła do wniosku, że kiedyś Henri brał ten związek pod uwagę, lecz zrezygnował, kiedy wyszło na jaw, że nie może mieć dzieci. Nie chciał psuć życia swojej ukochanej.

To bardzo szlachetnie z jego strony, pomyślała. Jednocześnie wzdrygnęła się na samo przypuszczenie, że tych dwoje mogłoby być mężem i żoną.

Henri wziął na ręce Thomasinę i powiedział:

- Pora spać. Zaniosę ją na górę. Ty też powinnaś odpocząć.

Iana była pewna, że nie zmruży oka, myśląc o swoim, dalszym losie. Wiedziała jednak, że już nie musi martwić się powrotem sir Thomasa. I tak prawda zaraz wyjdzie na jaw, pomyślała ze smutkiem. Jutro rano sir Ambrose wszystko im opowie. Była przekonana, że Henri bez sprzeciwu nie odda jej w ręce Newella.

Rzuciła okiem na rycerza, który szedł obok niej po schodach. Jak łagodnie teraz wyglądał, ze śpiącym dzieckiem w ramionach.

W gruncie rzeczy, co mi przeszkadza zostać jego kochanką? Iana po raz pierwszy zadała sobie to pytanie. I tak wszyscy dokoła myślą, że jestem nią już od dawna. Gdy mu się oddam, to przez krótką chwilę być może zasmakuję prawdziwej wolności. To chyba lepsze niż małżeństwo.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Weszli do komnaty. Henri położył śpiącą Thomasinę na łożu Iany.

- Wciąż wydaje się taka wątła - szepnął. - Choć przytyła od czasu, gdy się poznaliśmy. Nabrała ciała.

- Też to zauważyłeś? - zapytała Iana z nadzieją w głosie. - Myślałam, że to tylko moja wyobraźnia. Trudniej mi zauważyć zmiany, bo przecież ciągle z nią przebywam. Od kilku dni wydawała mi się trochę cięższa.

- Niewątpliwie. Mówiła jeszcze coś nowego?

- Tak i marudzi więcej niż dawniej. Martwię się o jej zdrowie.

- Poprosimy najlepszego lekarza we Francji, aby się nią troskliwie zajął. Już niedługo będzie taka tłuściutka i hałaśliwa, jak każde dziecko w jej wieku.

- Naprawdę zrobiłbyś to dla niej? Niby dlaczego? - niewiele myśląc, spytała Iana i skrzywiła się, jakby pod wpływem nagłego bólu. - Wybacz mi, Henri. Jestem niewdzięczna! Wiem doskonale, jak wiele dla nas uczyniłeś, ale wiem także, czego w zamian ode mnie oczekujesz.

- Och, Iano!

Dreszcz przebiegł Ianie po plecach, kiedy Henri ujął ją za rękę. To, co chciał zrobić, było złe, lecz z drugiej strony, co tak naprawdę miała do stracenia? Co mi zostanie, jeżeli

się nie zgodzę na jego opiekę? - rozmyślała. Skromna wieczerza z korzonków w lesie? Obcy mężczyzna w łóżku albo ślub z Everandem, który nie wiedziałby, co ze mną począć? Nie, żadnego z tych rozwiązań nie warto brać pod uwagę.

- Odpocznij, póki Thomasina śpi - powiedział Henri, wychodząc z komnaty.

- Henri. - Zatrzymała go już przy drzwiach.

- Tak? - odwrócił głowę.

- Dzięki ci za to, co zrobiłeś. Sir Ambrose uznał, że Tam i ja jesteśmy pod twoją opieką.

- Bo też jesteście. I niech Bóg broni tego, kto myśli inaczej.

Westchnął. Prawdę mówiąc, wolałby ją umieścić w jakimś odległym i bezpiecznym miejscu. Wtedy mógłby, wyłącznie łożyć na jej utrzymanie. Niestety, znał ją przynajmniej na tyle, by wiedzieć, że uznałaby to za jałmużnę. Cóż bowiem miała w zamian na przetarg? Najwyżej swoje ciało.

Odstąpił od drzwi i znów podszedł do Iany.

- Nie chcę, byś myślała, że zamierzam pozbawić cię - honoru.

Uśmiechnęła się smutno.

- Zrób to, co musisz robić. Rzecz jasna, dla mojego dobra.

- Mojego także - powiedział miękko, ujmując jej twarz w obie dłonie. Pochylił głowę i złożył na jej wargach delikatny pocałunek.

Nie rozchyliła ust w geście zaproszenia, gdy dotknął ich swoim językiem. Starał się więc zadowolić tym, co mu

zaofiarowała. Na dobrą sprawę nie mógł domagać się więcej za dnia, w obecności śpiącego dziecka. Jednak z rozkoszą wdychał jej zapach, jakby czerpał zeń całą ochotę do życia.

- Henri. - Iana cicho wyszeptwała jego imię.

To jedno maleńkie słowo poruszyło go do głębi. Wiedział, że tej krótkiej chwili nie zapomni do końca życia.

Powoli przesunął ręce z policzków Iany na jej smukłą szyję, a potem sięgnął jeszcze niżej i delikatnie dotknął jej piersi.

To stało się tylko wstępem do dalszych namiętnych pieaszczot. Henri poczuł narastające pożądanie. Rozwiązał wstążki sukni Iany i nie przestawał obsypywać jej pocałunkami.

Iana nie protestowała. Wręcz przeciwnie, zdawało mu się, że dorównuje mu swą namiętnością. Jęknął z rozkoszy, wsuwając rękę w rozcięcie sukni i opierając dłoń na jej biodrze. Czuł pod palcami rozpaloną skórę, szczupłą talię i krągłe pośladki Iany, które doskonale pasowały do jego dłoni. Ścisnął je lekko.

Iana przysunęła się jeszcze bliżej. Nie mniej od niego płonęła pożądaniem. Henri czuł, jak jej szczupłe delikatne palce igrają wśród gęstych kędziorów opadających mu na kark i ramiona. Z gardła Iany mimowolnie wydobyło się westchnienie.

Henri nie czekał ani chwili dłużej. Nie był w stanie. Przywarł do Iany, jakby na próbę opuścił rękę i przez cienką tkaninę dotknął jej intymnego miejsca.

Odsunęła się nagle.

- Nie możemy - powiedziała, kładąc mu dłoń na pier-

siach. Drugą ręką sięgnęła do swojej szyi. Głośno przełknęła ślinę. - Przynajmniej ja nie mogę.

Jej wzrok powędrował ku śpiącej Thomasinie.

Henri delikatnie ujął dłoń Iany i ucałował jej szczupłe palce. Serce waliło mu jak oszalałe. Czyżby aż tak źle odczytał jej intencje? A może to żądza przeniosła go w świat fantazji? Wiele doświadczył w swoim bujnym życiu, ale jak dotąd żadna niewiasta nie doprowadziła go do takiego stanu, żeby zapomniał o całym świecie. Dopiero Ianie to się udało.

Kiedy przemówił, w jego chrapliwym głosie wciąż było słycać żal i rozczarowanie. Mimo to starał się, aby jego wypowiedane słowa zabrzmiały naturalnie.

- Przyjdiesz do mnie dziś w nocy, gdy cię o to poproszę?

Bał się jej odpowiedzi.

- Nie pytaj - szepnęła Iana . - To grzech tak się zachowywać w domu własnego brata.

- Grzech?

Zrozumiał wszystko. Choćby najbardziej się starał, ich miłość zawsze będzie grzechem. Zwłaszcza tutaj, na zamku Baincroft.

Powoli puścił rękę Iany i z oficjalną miną potakująco skinął głową.

- Jak chcesz. Zatem spotkamy się wieczorem, przy wieczerzy. Nie bądź zdziwiona, jeśli będę tak samo opiekuńczy wobec ciebie i Thomasiny. Nic się nie zmieni, dopóki nasz gość nie wyjedzie.

- Niczemu nie będę się dziwić - odparła wyniośle. - Chyba wystarczająco ci podziękowałam. Jeśli wciąż

chcesz, żebym kiedyś przyszła do twojego łóżka, pozwól, abym wybrała właściwy czas i miejsce. Zachowaj trochę przyzwoitości i nie odbieraj mi tego przywileju.

Złapał jej zaciśniętą pięść, uniósł do ust, pocałował i puścił.

- Zaręczam ci, że nieobce mi poczucie przyzwoitości. Będę cierpliwie czekał na twoje zaproszenie. Kiedy to będzie? Może wtedy, gdy się zestarzeję i odejdzie mi chęć do wszystkiego?

- Tak mówi człowiek, który nie nawykł do tego, że ktoś mu odmawia.

- Zwyciężyłaś. Na takie dictum nie mam już więcej argumentów.

W jej oczach zamigotały iskierki wesołości, przygryzła wargi, żeby ukryć uśmiech. Henri miał nieco mniej skrupułów i roześmiał się na całe gardło ze swojej urażonej dumy. Iana po chwili mu zawtórowała.

Henri nie umiał się powstrzymać i znów pochwycił ją w ramiona.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa! - zawołał. - Ale nawet najgorszy szaleniec nie będzie bez końca tańczył, jak mu zagrasz.,

Popatrzyła na niego z powagą.

- Nie wyglądasz mi na człowieka, który by tak łatwo uległ.

Henri pochylił się i złożył na ustach Iany lekki pocałunek. Zupełnie zaskoczona Iana oddała mu go z widoczną przyjemnością. Znów ogarnęła go fala pożądania, lecz opanował się z najwyższym trudem i spieszenie wyszedł z komnaty.

Postanowił choć trochę stłumić swoje żądze, poćwiczyć wolę i rozmyślać tylko o tych cechach Iany, które nie miały nic wspólnego ze zmysłową miłością.

To pierwsze, była troskliwą matką, dobrą towarzyszką w drodze i czułą opiekunką, po drugie... Przypomniawszy sobie, jak nim się zajmowała, kiedy leżał złożony chorobą. Jak gorliwie o niego dbała. Do tego stopnia pozyskała ufność Everanda, że chłopak chciał jej bronić nawet przed swoim panem, choć tej obrony wcale nie potrzebowała. Tak, tak. Miała wszystkie cnoty, jakich mężczyzna szukał u niewiasty. A on, Henri, chciał to zniszczyć, zbrukać i uczynić z niej swoją kochankę. Nie miał powodów do dumy.

Sir Ambrose nie zmarnował zbyt wiele czasu na siedzenie w balii, pomyślał Henri. Znowu pojawił się w towarzystwie zebranych w wielkiej sali.

Jehan zachowywała się cicho i spokojnie, prawie tak jak Mairi. Było to zupełnie do niej niepodobne, Henri przyglądał jej się z ciekawością. Ach tak, bezbłędnie rozpoznał przebiegły błysk w jej oczach.

- Za pozwoleniem, może od razu przejdę do sedna sprawy, ponieważ nie mam zbyt wiele czasu do stracenia - oznajmił sir Ambrose.

- Zrób to, panie. My też jesteśmy zajęci - powiedział Rob z wyniosłością wielmoży na rozległych włościach.

Henri dobrze znał swojego brata i wiedział, że Robert czasem lubił się zabawić czyimś kosztem. Teraz też naśladował pompatyczne i oschłe zachowanie rycerza.

Skoro tak bardzo chcesz dojść do celu, to ruszaj, pomyślał Henri pod adresem sir Ambrose'a.

- Twierdzisz, panie, że szukasz jakiejś damy - powiedział. - Skąd pewność, że znajdziesz ją właśnie tutaj?

- Po prawdzie, szukam lady Iany, która naprawdę nie pochodzi z Ayr, tylko z Ochney, a później przebywała w Dunsmor, gdzie została wdową po Jamesie Duncanie. Lord Newell obiecał mi ją, pragnę więc ją znaleźć.

Nareszcie tajemnica wyszła na jaw. Henri rozparł się wygodnie, ręce złożył na brzuchu i popatrzył na gościa, zanim znów przemówił:

- Imię, "Iana" nie jest zbyt popularne, lecz nasza lady

Iana twierdzi, że cię nie zna, panie. Może szukasz w złym miejscu?

Sir Ambrose przecząco potrząsnął głową.

- Co prawda, nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ale mam całkowitą pewność, że to właśnie ona. Jechałem za nią aż do miejsca położonego stąd na południe. Tam powiedziano mi, że udała się do Baincroft.

- Naprawdę? - spytał Henri ze zdawkowym uśmiechem.

- Owszem. Jej brat, lord Newell Hamilton, prosił mnie, abym przywiózł wdowę ze wsi Whitethistle. Nie znalazłem jej tam.

- Co zrobiłeś, żeby ją odszukać? Czy była gościem szlacheckiej rodziny, a może ciągle mieszkała sama, opiekując zmarłego męża?

Sir Ambrose wydał się zakłopotany tymi pytaniami. Henri przyglądał mu się ze złośliwą satysfakcją. Dobrze ci tak, pomyślał, Masz za swoje, skoro posłuchałeś po

trzykroć przekłętego braciszka lady Iany. Jak ktoś w ogóle mógł ją wysłać do wioski położonej na odludziu, wśród lasów?

Sir Ambrose wykręcił się od odpowiedzi i mówił dalej:

- Jak wspominałem, już jej tam nie było. Nie wie-dzieć skąd, w jej posiadaniu znalazł się srebrny łańcuch, przedstawiający sporą wartość. Dzięki temu, że jego og-niwami opłacała podróż przez Szkocję, zostawiała wyraźne ślady. Ustaliłem, że w Largsmuth była w towa-rzystwie jakiegoś cudzoziemca i jego dwojga dzieci. Miej-scowy przedstawiciel prawa powiedział mi, że w jednym z miejscowych zajazdów zabito pewnego człowieka. Podróźni zniknęli. W ten sposób też zwrócili na siebie uwagę.

- Tamtejsze władze poszukają sprawców? - spytał sir Henri z udawaną nonszalancją.

Ambrose popatrzył chytrze na swojego rozmówcę i od-parł:

- Zabity był znanym złodziejem, nikt więc specjalnie nie przejął się jego śmiercią. Jak mi mówiono, zakłuł go nożem jakiś młody Francuz.

- Wielu Francuzów wędruje ostatnio po Szkocji - wtrąciła Mairi.

Ambrose pokiwał głową.

- Tak - odparł - ale akurat ten i lady Iana zatrzymali się w pobliskiej wiosce. Tu także ich rozpoznano. Francuz zapłacił za posiłek tym samym srebrem, co poprzednio. A tym Francuzem jesteś ty, panie. - Wskazał na sir Gilleta.
- Nie próbuj zaprzeczać. - Milczał przez chwilę. - Chyba że jest jeszcze drugi sir Henri Gillet, następca rodu Trou-

ville'ów i przyrodni brat lorda Roberta MacBaina z Baincroft - dodał.

- Jest tylko jeden, więc chodzi o mnie - przyznał Henri. - Powtarzam jednak, że lady Iana nie zna cię, panie. Chyba nie sądzisz, że oddamy ją komuś obcemu?

- Miała być moją żoną, ale uciekła przed wypełnieniem swego obowiązku. Kim dla niej jesteś, że aż tak bardzo dbasz o nią, panie? - zrewanżował mu się sir Ambrose. .

To było bardzo trudne pytanie.

- Lady Iana i jej dziecko są... - zaczął Henri.

- Jakie dziecko? - gwałtownie przerwał mu Ambrose.

Henri mówił dalej, równym i spokojnym głosem:

- Jej córka, Thomasina. Ta, którą miała ze sobą na ręku, kiedy byliśmy sobie przedstawiani. Dzisiaj widziałeś ją po raz pierwszy, prawda?

Sir Ambrose gwałtownie zamknął usta i wbił wzrok w podłogę.

- Jej brat ani słowem nie wspomniał mi o dziecku - powiedział po dłuższej chwili. - Ile ma lat?

- Pewnie ze dwa - odparł Henri.

- To niemożliwe! - zawołał sir Ambrose. - Lady Iana nie miała dzieci z Duncanem!

- Nikt nie mówi, że miała - mruknął Henri.

Na twarzy młodego rycerza odbiło się zaniepokojenie.

- Skoro tak... to skąd się wzięła ta... jak jej tam? - Thomasina? - Sir Ambrose zrobił się czerwony jak burak i zamilkł.

- Wszystko jasne - nieoczekiwanie odezwała się Jehan. - Nasza Iana na pewno nie jest tą, której szukasz.

Rycerz spojrzął gdzieś w przestrzeń, ponad nią, i bezsilnie zacisnął pięści. Jehan uśmiechnęła się i dodała:

- Powinieneś zostać na kilka dni, żeby ochłonąć po tych wrażeniach. Coś mi się zdaje, że twoja narzeczona odfrunęła jak wolny ptaszek i wcale nie chce, żebyś ją odnalazł.

- Och, znajduję ją, nie ma obawy! - z zapalem zawołał sir Ambrose.

Jehan położyła swoją małą dłoń na jego zaciśniętej pięści. Był to z jej strony słodki, ale raczej niestosowny przy stole rodzaj pociechy.

- Przecież chyba nie powiesz mi, zacny panie, że chciałbyś mieć żonę, która jeszcze przed ślubem od ciebie uciekała! - powiedziała karcąco. - Nie wołałbyś innej? Choćby takiej, która z własnej i nieprzymuszonej woli po zostanie z tobą?

Wstała i chwyciła za łokieć rycerza, zmuszając go, żeby poszedł w jej ślady.

- Ach, panie - zaszczębiotała - przespacerujemy się trochę po ogrodzie. Na pewno potrzebujesz chwili do namysłu, żeby dobrze rozważyć tę sprawę.

- W tym momencie wołałbym się czegoś napić - odparł nieprzejednany sir Ambrose.

- Ależ proszę bardzo. - Podała mu do połowy napełnioną szklanicę.

Sir Ambrose wpił ją jednym haustem i potulnie podążył za Jehan do ogrodu.

Mairi wybuchnęła śmiechem, kiedy tylko wyszli. Robert i hrabia skrzywili się, zaś Henri odetchnął z ulgą, chociaż zdawał sobie sprawę, że to nie koniec zamieszania.

Wiedział już, że Iana jest niewiastą, której tak długo poszukiwał sir Ambrose.

Obecność dziecka nieco ostudziła jego zapał, ale nikt przecież nie mógł przewidzieć, co dalej nastąpi. Henri nie rozumiał postępowania Jehan. Z jakich względów starała się dopomóc Ianie?

- Gdyby otwarcie przyznał, że Iana nie jest tą, której szukał, przynajmniej ocaliłby swą rycerską dumę - odezwał się hrabia Trouville.

- Nie przypuszczam, żeby chciał kłamać dla zachowania twarzy - odparł Henri. - Kiedy wyjedzie, warto te „rewelacje” zestawzić z tym, co miałby nam do powiedzenia niejaki lord Newell.

- Ambrose jest uczciwy. Już go polubiłem - nieoczekiwanie powiedział Rob i wszyscy spojrzeli na niego z wyraźnym niedowierzaniem. Jednak w tych sprawach był w rodzinie najwyższym autorytetem. -Jehan też go lubi - dodał.

Zgromadzeni przy stole myśleli o tym samym. Jehan zagięła parol na rycerza, a skoro tak, to nic mu już nie pomoże. Nawet żelazny puklerz i żelazna wola.

No i dobrze, pokiwał głową Henri. Odpowiadało mu takie rozwiązanie. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby brat i zarazem prawny opiekun Iany zaakceptował jej pomysł.

- Newell Hamilton - rzekł Henri. - Znasz go ojczy? - zapytał.

- Hamilton - powtórzył hrabia. - Spotkałem kiedyś pewnego szlachcica, który nazywał się Malcolm Hamilton. Chyba też o nim słyszałeś. Pamiętasz może tę grupę

Szkotów, podróżujących do Francji z młodym Dawidem Bruce'em?

- Niezbyt dobrze. To było całe lata temu - odpowiedział Henri. - Możliwe, że Newell jest synem Malcolma.

Gdyby tak rzeczywiście było, to lady Iana pochodziłaby z bardzo dobrego rodu. Rycerze, którzy towarzyszyli młodemu Bruce'owi w pamiętnej wyprawie, na ogół byli z nim blisko spokrewnieni.

Henri westchnął ciężko i znowu pokręcił głową. Pod wpływem ostatnich wieści ogarnęły go mieszane uczucia. Gdyby to, co przed chwilą usłyszał, odpowiadało prawdzie, nie mógłby bez ślubu wziąć Iany do łóżnicy i uczynić z niej kochanki. Wszak łączyły ją więzy krwi z domem panującym w Szkocji.

Zaraz, zaraz, przyszło mu nagle do głowy. Przecież w takim razie mógłbym się z nią ożenić!

Niestety, jeden rzut oka na smętną twarz ojca zniweczył jego nadzieje. Jednocześnie pojął, że kocha Ianą. Chciał ją zatrzymać wyłącznie dla siebie. Ją i jej mały skarb, Thomasinę.

Bał się wyrazić głośno te myśli, wstał więc i opuścił salę. Jedyne miejsce, w którym w samotności mógł oddać się marzeniom, znajdowało się poza zamkiem.

Iana rozłożyła narzutę na podłodze i posadziła na niej Thomasinę. Przez jakiś czas obie bawiły się piłką. Teraz, kiedy dziewczynka była silniejsza, Iana czasami ją stawiała na krótkich i chwiejnych nóżkach, klęcząc tuż przy niej, w każdej chwili gotowa ją podtrzymać. Cieszył ją rozwój dziecka.

Ciche pukanie do drzwi przerwało im zabawę. Iana była święcie przekonana, że to pokojówka przysłana przez lady Mairi do opieki nad Thomasiną.

- Madame, czy poświęci mi pani chwilę?

Iana spojrzała w stronę wejścia, szybko zerwała się z podłogi i dygnęła z należnym szacunkiem. Ze zdziwieniem stwierdziła, że odwiedził ją sam lord Trouville. Podszedł bliżej i usiadł na narzucie, krzyżując nogi po turecku. Gestem nakazał jej, aby zajęła miejsce tuż przy nim. Przez chwilę patrzył na Thomasinę, zanim przemówił cichym głosem:

- Zupełnie nie jest podobna do ciebie, pani.

Iana pomyślała, że chyba już do końca życia będzie musiała się z tego tłumaczyć.

- Nie urodziłam jej, nie może więc być do mnie podobna.

Hrabia wziął małą na kolana.

- Kocham dzieci - powiedział - ale mam tylko dwoje własnych. To Henri i jego siostra, Alys. Dwóch synów zmarło przy porodzie. Nadal ich oplakuję.

- To bardzo smutne - przyznała Iana. - Musisz, panie, być dumny ze swojego trzeciego syna. Wyrósł na dzielnego i dobrego człowieka.

- Medyk powiedział, że Henri nie dożyje następnego dnia - zwierzył się jej Trouville - ale przeżył już trzy dekady z kawałkiem. Twoja córeczka chorowała na coś?

- Umierała z głodu, kiedy ją znalazłam, lecz dzięki Bogu, niczym nie zaraziła się od swojej matki. Mogłam ją odratować.

Przy tych słowach Iana uniosła głowę i spojrzała mu

prosto w oczy, żeby przypadkiem nie śmiał zarzucić jej kłamstwa.

- Wierzę ci, że nie stroisz się w cudze piórka.

Podniósł piłkę i podał ją Thomasinie.

- Po co właściwie tu przyszedłeś, panie?

- Chcę ci zadać kilka ważnych pytań - odparł. - Powiedz mi, czego oczekujesz? Co uczyni cię szczęśliwą?

- Chcę zachować możliwość wyboru. Sama zdecydować, co się stanie ze mną i Thomasiną.

- To mogę ci zagwarantować - powiedział z prostotą.

- Co takiego? - Iana roześmiała się, słysząc tę odpowiedź, - Jak możesz mi coś gwarantować, skoro w zasadzie nic o mnie nie wiesz, panie?

- *Au contraire*, wiem wszystko.

- Nie możesz wiedzieć - upierała się.

- Ale wiem, i masz wolną rękę. Możesz robić, co zechcesz, a tego rycerza, który tutaj po ciebie przyjechał, wyrzucę z naszej posiadłości - odparł poważnie. - Twój brat żąda władzy nad twoją przyszłością? Oplacę go, żeby odstąpił od dalszych roszczeń. A może ci niemiłe towarzystwo mojego syna? Powiedz słowo, a jutro na zawsze wyjedzie do Francji.

- Chyba nie boisz się, łaskawy panie, że sir Henri ma na mnie oko? - zapytała.

Stary hrabia puścił te słowa mimo uszu. Mówił dalej

- Co zrobisz, kiedy pozbędziesz się wszystkich niepotrzebnych mężczyzn, którym na sercu leży twoja przyszłość? Posłuchaj mnie z uwagą, Iano. Pytam cię: co wtedy zrobisz?

Wyglądał teraz bardzo srogo.

- Mówiłam, chcę...

- Tylko mi nie powtarzaj znowu wierutnych bredni o wyborze, o twojej własnej drodze życia i o tym, że zamierzasz pójść tam, dokąd będziesz chciała - wpadł jej w słowo. - Powiedz dokładnie: dokąd się wybierasz i co chcesz dalej zrobić ze swoim młodym życiem? Wymień powody, dla których pragniesz, aby się stało tak, a nie inaczej.

Iana zorientowała się, że nie może odpowiedzieć Trouville'owi, bo tej odpowiedzi po prostu nie zna.

- Zbyt wiele ode mnie teraz wymagasz, mój panie - bąknęła.

- Mów, natychmiast! - zażądał.

Iana wolałaby uniknąć natrętnych pytań, ale zdawała sobie sprawę, że musi coś odpowiedzieć. Po namyśle wyznała:

- Nie wiem.

Łzy napłynęły jej do oczu. Naprawdę tego nie wiedziała.

- Też mi odkrycie - z niezwykłą łagodnością powiedział Trouville. - Moje drogie dziecko, jeżeli nie wiesz, czego chcesz od życia, to na pewno przegapisz swoją wielką szansę. A przegapisz ją, bo najzwyczajniej w świecie po prostu jej nie rozpoznasz. Nie zauważysz jej, choćbyś ją miała na wyciągnięcie ręki.

Powoli, niemal ojcowskim ruchem otarł jej łzy z oczu.

- Kochasz mojego syna? - spytał.

Iana zakryła usta dłonią. Niczego już nie była pewna. Henri? Tak, to prawda, że zależało jej na nim. Pragnęła go i była zazdrosna o Jehan, lecz ciągle pamiętała, że próbował schwytać ją w pułapkę.

Stary hrabia pokiwał głową, jakby znał całą prawdę

- Nie poddawaj mu się - szepnęła.

Tej obietnicy spokojnie mogła dotrzymać. Trouville posadził Thomasinę obok siebie, wstał z podłogi i podał rękę Ianie, by też wstała. Wyglądał na nieco zmartwionego.

- Masz dużo do przemyślenia, *ma petite*. Pozwól, że teraz cię opuszczę.

Iana uścisnęła mu dłoń.

- *Je vous remercie, monsieur le comte* - podziękowała.

Rozpromienił się.

- *Bien dit. Votre accent est parfait.*

- Dziękuję, panie - odpowiedziała ze wzruszeniem ramion. - Moja matka pochodziła z Avignon. Aż do jej śmierci mówiłam niemal wyłącznie po francusku.

Twarz hrabiego przybrała dziwny wyraz, a jego ręka mocniej zacisnęła się na jej dłoni.

- Twoja matka była Francuzką? - zapytał żywo. - A jak nazywał się jej ojciec?

- Eustace de Ribemont - niepewnie odpowiedziała Iana.

Nie wiedziała, co mu naprawdę chodzi. Nic nie słyszała o swoim dziadku, zapamiętała tylko to nazwisko.

- *Les dieux sourient* - szepnęła Trouville do siebie, ucałował jej rękę i w pośpiechu opuścił komnatę.

„Bogowie uśmiechają się”. Cóż on takiego miał na myśli?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Trouville potrafił budzić szacunek, a przede wszystkim posłuch, nawet nie podnosząc głosu. Henri lękał się konfrontacji z ojcem. Przede wszystkim bał się tego, jak hrabia zareaguje na podjęte przez niego decyzje. Wiedział jednak, że nie da się uniknąć rozmowy. Wolał więc jak najszybciej mieć ją już za sobą. Opuścił więc swoją komnatę i z samego rana udał się na poszukiwanie ojca.

Rob zawołał go, kiedy tylko stanął na schodach zamku. Był razem z hrabią w zbrojowni. Starszy pan oglądał jeden z gibkich cisowych łuków. Henri spytał go, czy kiedykolwiek strzelał z takiej broni.

- To nie jest oręż dla ludzi szlachetnie urodzonych - odparł Trouville. - Ma jednak dobre wyważenie, jest świetnie wykonany i przyda się na pewno, gdyby ktoś kiedyś chciał napaść na Baincroft.

- Czyżbyś spodziewał się ataku? - zwrócił się Henri do Roberta.

- Nie, ale na ogół lubię być gotowy na każdą okoliczność - usłyszał w odpowiedzi.

- Zostaw nas na chwilę, Rob - rzekł hrabia. - Henri ma poważny kłopot, o którym chce ze mną pomówić.

Rob wyszedł posłusznie, ale przy okazji zrobił minę do przyrodniego brata i w przelocie dał mu kuksańca.

- Masz bardzo tęskne spojrzenie, synu - bez ogródek stwierdził Trouville.

Henri usiadł koło niego na ławce i wsparł ręce na kolanach.

- Chcę ożenić się z Ianą - wyznał. - Podjąłem decyzję. Nie próbuj mnie odwodzić od tego zamiaru.

Ojciec jakby nie słyszał tego ostrzeżenia.

- Ten łuk to dzieło prawdziwego mistrza - rzekł z wolna. - Nie można o nim powiedzieć, że jest w czym gorszy od rycerskiego miecza. Wiem, że szlachetnie urodzony Francuz nie powinien używać łuku, lecz mimo to mam zamiar go trochę wypróbować. Po cichu, oczywiście

Henri spojrzał krzywo na ojca i powiedział:

- Nie będę sprawdzał jej intencji i nie zrobię z niej swojej nałożnicy. Zbyttnio ją kocham i szanuję.

Lord Trouville uniósł głowę i popatrzył na syna.

- Naprawdę? - spytał. - Kochasz bardziej niż tytuł hrabiego? A co uczynisz, jeśli królowi nie spodoba się twój wybór? Poświęcisz dla niej nawet koronę, która ci może przypaść w udziale?

- W kolejce do tronu jest szesnaście osób, z królem Anglii włącznie - sucho zauważył Henri.

- Piętnaście - sprostował ojciec. - Mnie możesz nie liczyć. Dwanaście lat temu, za czasów Kapetyngów, był czterdziestu dwóch pretendentów. Jeśli zachowamy prawo stosowane przez ród Walezjuszy, to śmiało można wyeliminować niewiasty czekające na sukcesję. Wtedy zostanie was tylko dziewięciu. Córka marnego szkockiego barona nie będzie mogła być królową Francji, a żaden z jej synów - królem.

- Chyba przeceniasz moją żądzę władzy, ojczec - zapierz się Henri. - Prędzej pojedę do Irlandii paść owce, żeby tylko się z nią ożenić.

Trouville wstał, przeszedł kilka kroków, odwrócił się do syna, uniósł łuk i zapytał:

- Czy gdybyś stracił miecz w walce, użyłbyś łuku? Nie posłuchałbyś głosów towarzyszy, gdyby mówili, że łamiesz tradycję, a broń nie jest ciębie warta?

Henri przesunął dłonią po gładkim cisowym łączysku.

- Miałbym go może chować pod siodłem, zamiast użyć do ratowania życia?

- Spodziewam się, że nikt nie przyłapie cię w takiej sytuacji - odrzekł Trouville. - W przeciwnym razie nie przychodź do mnie po radę.

- Chyba mnie źle zrozumiałeś, ojczec. Nie proszę cię o pozwolenie. Chcę tylko, żebyś wiedział o moich zamiarach.

- Jesteś mężczyzną, Henri. Sam musisz sobie odpowiedzieć. Jeśli zaś chodzi o mnie, to rób, jak uważasz. Daję ci wolną rękę.

Henri podniósł łuk i chciał go zanieść z powrotem do zbrojowni. Po drodze jednak się rozmyślił. Zatrzymam go i nauczę się dobrze strzelać, postanowił.

- Lekcja łucznictwa? - spytał Rob, stojący w drzwiach wielkiej sali.

- Obserwowałeś nas? - Henri wcale nie był tym zdziwiony. Robert od dziecka wtykał nos w cudze sprawy. - Tak, można powiedzieć, że to była lekcja.

„Ożeń się z nią. Mairi ją lubi” - powiedział Rob na migi.

- To rzeczywiście świetny powód - odparł Henri.
- Tata był wesół - rzekł Rob głośno, z chytrym uśmiechem.

Henri zatrzymał się gwałtownie i chwycił brata za ramię.

- Jesteś pewien? Uśmiechał się? Teraz, po rozmowie ze mną?

„Przez całą drogę ze zbrojowni do zamku” - odpowiedział mu Robert. „Na pewno pochwała twój wybór”.

- W takim razie dlaczego, do ciężkiego diaska... - zaczął Henri i urwał gwałtownie.

Oczywiście! Chciał, żebym był zupełnie pewny swoich prawdziwych intencji. Sprawdzał, czy chcę się żenić z Ianą wyłącznie z poczucia winy, czy z miłości.

Henri klepnął Roberta po ramieniu.

- Co ja bym zrobił bez twoich bystrych oczu, braciszku? - roześmiał się.

Chciał natychmiast pobiec do Iany i powiedzieć jej o tym, co się stało. Ślub można wyznaczyć już za trzy tygodnie.

Iana powinna być szczęśliwa. Czy na pewno będzie? Henri szedł po schodach, rozmyślając, w jaki sposób ma jej się oświadczyć. A to nie wszystko, wpadło mu do głowy. Potem trzeba będzie prosić jej brata o zgodę. A gdyby ten, jak mu tam? Prawda, Newell Hamilton. Gdyby Hamilton zażądał pieniędzy? Z chęcią zapłacę mu każdą kwotę, byleby odczepił się raz na zawsze, postanowił.

Iana umyła twarz i rozczesała włosy. Młodsza pokojówka, imieniem Margery, przyszła po Thomasinę, żeby

ją nakarmić w pokoju dziecięcym. Henri zastukał do drzwi i wszedł, nie czekając na pozwolenie.

- Chciałem z tobą chwilę porozmawiać - powiedział od progu.

Iana w milczeniu wskazała mu drewniane krzesło z wysokim oparciem i dalej plotła warkocze. Henri usiadł i zaczął się jej przyglądać.

- O czym chciałeś powiedzieć? - spytała wreszcie.

Lekko pochylił się w jej stronę. W pierwszej chwili pomyślała, że znów chce ją pocałować.

- Zdecydowałem, że weźmiemy ślub - oznajmił z uśmiechem.

Katem oka zerknęła na splecione włosy, a potem przeniosła wzrok na rycerza.

- Zdecydowałeś - powtórzyła.

Jego dumny uśmiech przybladł odrobinę. Henri zaczął ostrożniej dobierać słowa.

- Może ujmę to nieco inaczej. Postanowiłem poprosić cię o rękę.

- To brzmi już trochę lepiej - przyznała - ale na pewno znasz moją odpowiedź. Brzmi ona: Nie.

- Iano, zastanów się przez chwilę! Smętny sir Ambrose Sturrock nie będzie miał o to pretensji, chociaż wydałaś mu się piękniejsza, niż tego się spodziewał. Myślę, że szybko zmieni zdanie i nie będzie domagał się małżeństwa.

- O czym ty mówisz? Jakie małżeństwo? Przyjechał tutaj tylko dlatego, że prawdopodobnie Newell mu za to zapłacił. Mój brat chce, żebym wyszła za Douglasa Sturrocka. Słyszysz? Douglasa! Ten zaś jest tak stary, jak mój

pierwszy małżonek. Wiem o tym, bo opisała mi go Dorothea, żona Newella. To jej znajomy. Nikt nigdy mi nie wspominał o młodzieńcu imieniem Ambrose.

- To znaczy, że nasz Ambrose jest synem Douglasa - skonstatował Henri. - Być może zaszła jakaś pomyłka, Nieważne. I tak nie wyjdiesz za niego, choćby był nawet młody i przystojny. Ostrzegam cię, że na to się nie zgodzę.

- Nie wyjdę - uspokoiła go Iana. - Ani teraz, ani nigdy.

- To bardzo dobrze. - Z aprobatą pokiwał głową. - Na razie ma przy sobie Jehan, a ta już łatwo nie wypuści go z jedwabnych sidła. Mój ojciec też nie będzie protestował, Rozmawiałem z nim dzisiaj rano. Wszyscy się zgadzają na nasze małżeństwo.

- Nieprawda. Ja się nie zgadzam - powiedziała stanowczym tonem.

Henri wziął głęboki oddech. Twarz mu poczerwieniała z tłumionej irytacji, mocno zacisnął zęby. Mimo wszystko przemówił łagodnym tonem.

- Rozumiem twoje wątpliwości, lecz chyba powinnaś wiedzieć, że nigdy nie znajdziesz męża, który zezwoli ci na całkowitą niezależność. Przy mnie zachowasz wiele swobód. Przysięgam na mój honor, który jest dla mnie bezcenny.

Iana spojrzała na Henriego ze współczuciem.

- Dobrze wiesz, że nie szukam męża - powiedziała - Małżeństwo to rzecz nie dla mnie - dokończyła o wiele ciszej.

- Dlaczego? Co się stało? To wina pierwszego męża - dopytywał się Henri. - Potraktował cię tak okrutnie, że utraciłaś wiarę w ludzi? A co ze mną? Czy kiedykolwiek

byłem dla ciebie niedobry? Zraniłem cię? - Zaczepnął tchu. - Powiedz mi szczerze, jaki był Duncan, że teraz mnie odpychasz? - zapytał nagle.

- Dwa razy starszy od ciebie. Rzadko się śmiał i nikt go nie lubił, ze mną włącznie - odparła Iana .

- Przecież ja jestem zupełnie inny - niemal z rozpaczą powiedział Henri.

- Wiem. Henri, szczerze mówiąc, zależy mi na tobie. Byłabym twoja, lecz pod jednym względem jesteś podobny do Jamesa Duncana. Po ślubie będziesz chciał o wszystkim decydować, a ja będę musiała posłuszenie wypełniać twoje polecenia.

Teraz go rozwścieczyła. Przymknął oczy i odczekał chwilę, żeby nie zacząć na nią krzyczeć.

- Gdy wyjdiesz za mnie, będziesz robiła tylko to, co zechcesz - odezwał się lekko zduszonym, lecz ciągle spokojnym głosem. - Za nic nie będę cię karał, Iano. Spróbuj choć raz mi uwierzyć.

Popatrzyła na niego przeciągle spod oka.

- Niby dlaczego miałabym ci wierzyć? - zapytała. - Źle się stanie, jeżeli weźmiesz mnie za żonę. Błagam cię, nie rób tego. Dla naszego wspólnego dobra.

- Idę o zakład, że zawsze chciałaś to powiedzieć, Iano.

Odwrociła głowę, żeby nie patrzeć na niego. Wolnym, metodycznym ruchem układała warkocze w ciasne splety na głowie.

- W końcu przełamie twoją wolę - rzucił Henri ostrzegawczym tonem. - Bądź pewna, że to potrafię.

Nie ty jeden, westchnęła w duchu. W takich sprawach każdy z was jest pomysłowy.

- Skąd wiesz, co się we mnie dzieje?! - zawołała oburzona. - Podejrzywałeś mnie o nieślubne dziecko! Nie, Henri. Mam dość małżeństwa. Nie łudź się. Nigdy nie będę twoją żoną.

- A gdy zacznę cię o to błagać? A jeśli klękę przed tobą? - spytał. - Nie robiłem tego nigdy przedtem. Ty będziesz pierwsza. Cała rodzina, nie, cała Francja stwierdzi ze zdumieniem, że masz nade mną wprost niezwykłą władzę.

Iana nie umiała powstrzymać uśmiechu

- Błagam cię, daj już spokój! Moja odpowiedź brzmi: Nie. Nic, co powiesz, tego nie zmieni.

- Mogę wziąć cię głodem - burknął.

- Możesz, ale dopiero po wieczery.

- Zgoda, lecz potem nadal będę cię nagabywał.

Iana wciąż miała w pamięci rozmowy z Dorothea. Nie umiała o nich zapomnieć. Wszak dotyczyły jej własnego brata, który tak bardzo zmienił się po ślubie. Władza, którą małżeństwo dawało mężczyźnie nad kobietą, zdawała się nieograniczona. Miły, cichy i uprzejmy Newell zmienił się w potwora i znęcał się nad swoją żoną przez wszystkie te lata, kiedy Iana męczyła się z Duncanem.

Dorothea zdradziła jej szczegóły planu Newella, który chciał wydać owdowiałą siostrę za starego Douglasa Sturrocka. Na szczęście, w porę uprzedzona Iana nie zamierzała o tym z nim rozmawiać. Nie chciała słuchać jego argumentów, próśb ani rozkazów.

Teraz jednak, mimo ukrytych pragnień i marzeń, małżeństwo z sir Gililem wydawało jej się czymś dużo gorszym niż związek ze Sturrockiem. Przecież Henri mógłby

kiedys naprawdę złamać jej serce. Nie zniosłaby tego, gdyby w pewnej chwili - nie bacząc na jej uczucia - wziął sobie kochankę.

Stary hrabia powiedział: „Nie poddawaj mu się”. Dobrze wiedziała, że tak właśnie będzie najlepiej. Henri musi się z tym pogodzić. Wszelkie próby skłonienia jej do zmiany zdania nie prowadziły do niczego, a tylko pogarszały sprawę.

Podczas wieczerzy Henri wydawał się być w dobrym nastroju. Uśmiechał się, jakby już odniósł pełny sukces.

- A może odrobinę wina? - spytał Ianę i podał jej pełen kielich.

Patrzył na nią z uśmiechem, gdy piła. Przelknęła kilka łyków i zdecydowanym ruchem postawiła kielich na stole.

- Dziękuję. Skończ wino za mnie, bo nie chcę już więcej. Nie mogę się upijać, zwłaszcza teraz, gdy wciąż muszę mieć się na baczności.

- Szczerze mówiąc, ja także wołałbym być trzeźwy - odparł. - Tym bardziej że mamy jeszcze mnóstwo ważnych spraw do omówienia i załatwienia.

- Do diabła z twoim spiskowaniem - wyszeptała z uśmiechem przeznaczonym bardziej dla pozostałych biesiadników niż dla niego.

Henri także się uśmiechnął.

- A gdzież tu spiszek? - odparł. - Ja tylko planowałem skromne zaręczyny, a potem ślubną uroczystość.

Rob doniósł swojej żonie o planach przybranego brata, a ona zaraz powiadomiła Jehan, która nie mogła się wprost doczekać, żeby jak najszybciej o wszystkim powiedzieć

sir Ambrose'owi. Służba także po cichu uważała, że sir Henri postępuje słusznie, żeniąc się z matką swojego dziecka. Wszyscy w zamku byli dogłębnie przekonani o tym, że wcześniej spłodził Thomasinę.

Rob obserwował brata przy wieczerzy. Od razu zorientował się, że coś jest nie w porządku. Henri jednak miał nadzieję, że nie wyrazi na głos swoich obaw.

Sir Ambrose pozostawał pod wyraźnym urokiem Jehan i w ogóle odzywał się rzadko. Jadł jej z ręki w dosłownym znaczeniu. Karmiła go ciasteczkami.

Jeśli już nie są kochankami, to niedługo będą z tym czekać, pomyślał Henri. Sir Ambrose ostentacyjnie ignorował Ianę od chwili, kiedy dowiedział się o dziecku.

- Widzę, że lord Trouville wyjechał - powiedziała Iana, patrząc na Mairi.

- Owszem, lecz przedtem zapewnił Roberta, że za kilka dni wróci wraz z żoną i córką - usłyszała w odpowiedzi.

Stary hrabia z nikim się nie pożegnał przed opuszczeniem zamku. Henri mógł tylko mieć nadzieję, że Rob we właściwy sposób odczytał intencje ojca. Nie był pewien czy hrabia rzeczywiście zaaprobował jego małżeński plany.

Przy drzwiach rozległy się powitalne okrzyki, odrywając uwagę stołowników od jedzenia.

- Kto to przyjechał? - zapytała Iana, kładąc rękę ramieniu sir Henriego, który uśmiechnął się na widok szczupłego rycerza, zmierzającego środkiem sali w stronę stołu.

- To mój stary przyjaciel, sir Thomas - powiedział t

nem wyjaśnienia. - Brat Jehan i tutejszy rządcą. Właśnie wrócił z niewielkiej wyprawy w głąb Szkocji. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o twojej rodzinie. Nie obawiaj się, niewiele nam powie nowego. Przecież prawda już wyszła na jaw.

- Wcale nie boję się tego, co powie, ale tego, że przywoził kłopoty - szepnęła zdenerwowana Iana .

Rob wskazał Thomasowi drogę do przyległej komnaty. Poprosił tam także swego brata, Mairi i Ianę. Niestety, Jehan i sir Ambrose, nieproszeni, ruszyli w ślad za nimi. Thomas w krótkich słowach przedstawił, czego się dowiedział.

- Lady Iana jest siostrą barona Hamiltona z Ochney. Baron w obliczu prawa wciąż pozostaje jej oficjalnym opiekunem. Jutro rano zjawi się w naszym zamku.

Henri usłyszał cichy jęk Iany i poczuł, że jej szczupłe palce zacisnęły się na jego ręce. Bała się brata. A może jednak miała rację? - nagle przemknęło mu przez głowę. Baron miał za sobą prawo. Mógł decydować o jej losie. Co prawda, w myśl powszechnie przyjętych chrześcijańskich obyczajów Iana nie musiała wbrew własnej woli wychodzić za mąż, lecz krewni często w takich przypadkach uciekali się do użycia siły.

Co będzie, myślał Henri, jeżeli Hamilton nie da się przekupić i nie udzieli zgody na ślub ze mną?

Rob poprosił wszystkich, aby usiedli.

- Mów dalej - powiedział do Thomasa.

- Rozpocząłem poszukiwania w Largsmuth - zaczął de Brus, pomagając sobie ruchami dłoni, aby Robert przypadkiem nie przegapił czegoś z jego opowieści. - Kilka

godzin później zjechało tam dwóch ludzi, którzy zawieźli mnie do zamku Ochney. Mówili mi, że pan kasztelan chciałby się dowiedzieć wszystkiego o lady Ianie. Byli wysłannikami sir Ambrose'a Sturrocka. Mieli poinformować sir Newella, że lady Iana, po opuszczeniu wsi White-thistle, podróżowała właśnie przez Largsmuth.

- Zatem Newell Hamilton jest tutaj - na głos powiedział Robert, jakby zamykając ten fragment relacji.

- Owszem. Ostatnią część podróży odbyliśmy razem - odparł Thomas. - Był bardzo niespokojny o siostrę. Ciągle pytał, czy przypadkiem nic jej się nie stało.

Ciekawe, czy tak samo troszczył się o Ianą przed zesłaniem jej do tego parszywego i nędznego miejsca, w którym odnalazł ją Everand, z niesmakiem pomyślał Henri.

- Na. wieść, że wszystko z nią w porządku, jeszcze dzisiaj chciał koniecznie przyjechać tu wraz ze mną - ciągnął sir Thomas. - Ale zrobiło się późno, więc po krótkim namyśle zdecydował, że zostanie na noc ze swymi ludźmi w lesie, przy trakcie opodal zamku. Zjawią się skoro świt, lecz przedtem mam ich powiadomić o tym, czy zostaną tu dobrze przyjęci.

- A jeśli nie? Jeżeli nie zechcemy wydać im lady Iany - rzeczowo zapytała Mairi.

- Boję się, że będą chcieli odebrać ją siłą - odpowiedział Thomas. - Sir Newell wygląda mi na mocą przejętego.

- Ilu ma ludzi? - żywo spytał Rob z radosnym uśmiechem, jakby się ciesząc z perspektywy niewielkiej potyczki.

- Piętnastu, ale nie znajdziesz wśród nich rycerzy, pa nie - odparł de Brus.

- Jest jeden, który będzie, ponieważ tak być musi - powiedział cicho sir Ambrose.

Wszyscy wiedzieli, o kim mowa. Młody rycerz nie miał zadowolonej miny.

- Staniesz po stronie Hamiltona, choć porzuciłeś myśl o ślubie z lady Ianą? - półgłosem spytał Henri. - Dlaczego?

- Ponieważ zaręczyłem słowem, że wezmę ją za żonę - z prostotą odparł sir Ambrose. - Wydałem także sporą część majątku, aby otrzymać ten przywilej.

- Oplacę twoją stratę po kilkakroć, jeśli teraz zrezygnujesz - wtrącił Henri.

- Sir Newell ma moje przyrzeczenie. Honor rycerza jest najwyższym skarbem - mówił Ambrose, jakby recytował wyuczoną lekcję. - Dałem słowo i muszę go dotrzymać, nawet jeżeli dama nie jest bez skazy, jak o tym mnie zapewniano.

Henri poruszył się niespokojnie. Iana w porę chwyciła go za rękę, bo rwał się, żeby uderzyć gościa za te słowa. Chyba zapomniał o tym, że sam skłamał młodemu rycerzowi, mówiąc mu, że Thomasina jest córką Iany.

- To nie o tobie wspominał mój brat, panie, kiedy nakazał mi ponownie wyjść za mąż - powiedziała Iana do sir Ambrose'a. - Człowiekiem, którego mi zaproponował, był sir Douglas Sturrock.

- Owszem, początkowo takie mieliśmy plany - zupełnie szczerze odparł rycerz. - Mój ojciec jest już bardzo stary i zapewne nie pożyje długo. Ponieważ kontrakt nie był podpisany, sir Newell zmienił zdanie i przychylniejszym okiem spojrzął na mnie. Niedługo odziedziczę tytuł. Tak samo potrzebuję żony, jak ty dobrego męża, pani.

- Ale ty wcale nie chcesz mnie poślubić ani ja ciebie
- sucho stwierdziła Iana .

Sir Ambrose popatrzył w dal i przygryzł usta, nie chcąc głośno przyznać jej racji. Henri z uśmiechem zauważył, że Jehan z wyraźnym niepokojem zerknęła na swego towarzysza. Chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co powiedzieć. Do tej pory była przekonana, że młody rycerz zmienił zdanie. Teraz siedziała jak słup soli - biała, cicha i drżąca.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Jedź zatem do sir Hamiltona i proś go tutaj - rozkazał Robert, znacząco patrząc na Thomasa. W powietrzu zawisło wyraźne napięcie.

- Rob! Nie teraz - zaprotestowała Mairi.

- Oczywiście, że nie teraz, moja droga. Rano. - Uspokajającym ruchem poklepał żonę po rękę.

Henri wiedział, że bitwa nie załatwi sprawy, a kilku zbrojnych może ją przyplącić życiem. Spróbujemy ugody, postanowił w duchu. Najlepiej będzie rozstać się w przyjaźni.

- Rob ma zupełną rację, Mairi - powiedział i zwrócił się do Iany: - Sir Newell musi mieć twoją zgodę, żeby cię wydać za męża. Nie powinnaś się lękać, skoro niczego nie podpisywałaś i nikomu nie dałaś słownej obietnicy. Takie jest nasze prawo.

- Newell sam stanowi prawo i tylko takiego się trzyma. To człowiek, który nie uznaje kompromisów - zauważyła Iana .

Henri odwrócił się do sir Ambrose'a:

- Opowiedz mi wszystko, co wiesz o Hamiltonie, panie.

Młody rycerz przysunął się do Jehan. Wyraźnie starał się ją jakoś pocieszyć. Dziewczyna wciąż siedziała ze spu-

szczoną głową. Ambrose objął ją jedną ręką i przytulił do siebie.

- Kiedyś był inny - zaczął. - Znamy się od dziecka. Wszystkim się zdawało, że jako mały chłopiec miał nawet zbyt miękkie serce. Nie chciał jeździć na łowy. Nawet psa by nie kopnął.

- A potem zmienił się aż tak bardzo? - spytał Henri.

- Tak powiadają - westchnął sir Ambrose. - Chociaż prosił mnie, żebym był łagodny wobec jego siostry. Kilka razy wręcz błagał o wyrozumiałość.

- O wyrozumiałość? - ze zdumieniem powtórzyła Iana.

- Może wreszcie powiesz nam całą prawdę? - zniecierpliwził się Henri.

Iana z wolna powiodła wzrokiem po zebranych. Widać było, że nie ma ochoty na zwierzenia.

- Planujemy, co mamy robić - dodał Henri. - Pomóż nam chociaż trochę!

- Kiedy nie chciałam zgodzić się na zaręczyny, na kilka dni zamknął mnie w komnacie - wyznała niechętnie.

- Potem nie dawał mi nic do jedzenia, poza chlebem i wodą. A gdy i tym nic nie wskórał, chciał mnie uderzyć.

- Ale nie uderzył? - szybko zauważył Henri.

- Nigdy mnie nie bił - przyznała Iana. - Lecz za to on i jego czterech ludzi odwiozło mnie do Whitethistle i umieściło w nędznej chacie. Na własnej skórze miałam się przekonać, jakie jest życie w samotności. Newell zostawił nawet strażnika do pilnowania, żebym nie uciekła. Prawdę mówiąc, przykazał mu na koniec, żeby dostarczał mi jedzenie i dał mu nawet na to pieniądze. Niestety, na-

stepnego dnia po wyjeździe Newella, strażnik zbiegł z całą wyplatą.

- Pozostałaś więc sama i to bez opieki - stwierdził Henri.

Iana nie zwróciła uwagi na jego słowa i mówiła dalej:

- Z początku miałam zamiar zabrać Thomasinę i uciec stamtąd do Irlandii, ale wtedy zjawił się Everand, prosząc o zaopiekowanie się rannym panem i ofiarując za pomoc srebrny łańcuch. Opatrzność wzięła sprawy w swoje ręce. Wiedziałam już, że mogę spokojnie wyjechać, mając za towarzysza rycerza i jego giermka.

- Jak długo mieszkałaś w tej wsi, żyjąc jak nędzarka? - spytał Henri.

- Ponad miesiąc. Newell miał wkrótce wrócić i zobaczyć, jak mi się żyje wedle mojej woli, bez mężowskiej opieki.

Henri zaczynał wszystko rozumieć. Sir Newell dał jej gorzką naukę, ale jednocześnie zostawił człowieka, by jej pomagał. Zatem jednak zależało mu na siostrze. Chciał, żeby w pełni i jasno rozumiała, jak wygląda życie samotnej niewiasty.

W przeciwieństwie do niego, sir Henri już dawno przywykł do samodzielnych i przedsiębiorczych kobiet, których nie brakowało na królewskich dworach Anglii i Francji. Nigdy też nie przychylił się do, założenia, że powinny być całkowicie podporządkowane woli mężczyzn.

Rozsądny człowiek powinien zadbać przede wszystkim o to, aby jego kobieta - żona lub kochanka - była przy nim szczęśliwa, myślał. Powinien ją traktować z miłością i szacunkiem.

Niestety, wielu mężczyzn, nawet ze szlacheckich rodów, stosowało zupełnie odmienne metody. Henri rozumiał Newella, który chciał mieć pewien wpływ na postępowanie Iany. Niestety, w swojej braterskiej czułości posunął się za daleko, zmuszając ją do ślubu z niekochanym, niechcianym mężczyzną.

- Zaobserwowałeś w zamku Hamiltona oznaki okrucieństwa wobec krewnych albo domowników? - Henri zwrócił się do sir Thomasa.

- Nie, niczego takiego nie zauważyłem, panie - odparł zapytany - ale byłem tam tylko przez noc i pół dnia.

- Iano, czy to możliwe, że twój brat miał na względzie tylko twoje dobro, a postępował tak, a nie inaczej, bo chciał przełamać twoją nienaturalną niechęć do małżeństwa? - indagował dalej sir Henri.

- Nienaturalną?! - powtórzyła podniesionym głosem. - Twoim zdaniem to nienaturalne, kiedy niewiasta chce uniknąć chłosty? Kiedy nie pragnie, by złym traktowaniem doprowadzano ją do utraty zmysłów?

- Uspokój się! - rzucił ostrzejszym tonem. - Przecież sama mówiłaś nam przed chwilą, że brat nigdy cię nie uderzył.

- Lecz bije swoją żonę. Dorothea o wszystkim mi opowiedziała. Mój zmarły mąż robił to samo i zmuszał mnie... - Urwała nagle, bo zdała sobie sprawę, że wszyscy jej słuchają. Ściszyła głos i nerwowo zatarła dłoń. - Powtarzam: Nigdy już nie wyjdę za mąż - powiedziała łamiącym się głosem. - Prędzej umrę.

Mairi zerwała się z fotela i podeszła do Iany, by ją uspokoić.

- Czy skarżyłaś się kiedyś bratu? Mówiłaś mu, jak cię traktował twój mąż, Duncan? - zapytał Henri.

- Próbowałam nieraz, ale on w ogóle nie chciał mnie słuchać - odparła. - Myślał, że kłamię, a Duncan był słodki jak miód za każdym razem, gdy Newell nas odwiedzał. - Mimo woli pociągnęła nosem. - Kiedyś myślałam, że mój brat mnie kocha. Przed ślubem byłam przekonana, że znalazłam dobrego męża. Jakże gorzko się pomyliłam!

Wszystko jasne, pomyślał Henri. Nieświadom prawdy, sir Newell Hamilton uważał swoją siostrę za krnąbrną i upartą młodkę, której trzeba wędziła w postaci stanowczego męża. Iana z kolei postrzegała brata jako brutala, który raz ją sprzedał i po pewnym czasie chciał zrobić to ponownie. W obu tych wersjach tkwiło zapewne ziarno prawdy.

Trzeba to sprawdzić, doszedł do wniosku Henri.

- Posłuchajcie mnie teraz - powiedział ożywionym tonem. - Sądzę, że wszyscy, tak jak tu jesteśmy, zgadzamy się, że lady Iana nie powinna być siłą zmuszana do ślubu, a sir Ambrose do dotrzymania umowy z Hamiltonem.

Zgodnie mu przytaknęli, oprócz sir Ambrose'a, który w odpowiedzi smutno potrząsnął głową.

- Mówiłem, że dałem mu swoje słowo - rzekł. - Prócz ślubu, nie znajduję honorowego wyjścia.

Henri zastanawiał się przez chwilę.

- A gdyby tak Hamilton zwolnił cię z przysięgi? - spytał. - Gdyby nawet namawiał, żebyś się nie żenił z Ianą? Czy to cię usatysfakcjonuje, panie?

Ambrose popatrzył na Jehan, wziął w rękę jej obie dłonie i potakująco kiwnął głową.

- Bardzo dobrze - kontynuował Henri. - Rad jestem, że przynajmniej co do tego się zgadzamy.

Dwie godziny później opuścili komnatę. Mieli cichą nadzieję, że plan, który ustalili, da się wprowadzić w życie.

Ranek wstał piękny i bezchmurny. Kiedy lord Newell Hamilton przejeżdżał przez główną bramę zamku, jego zbroja błyszczała w promieniach wschodzącego słońca. Henri, Rob i sir Ambrose oczekiwali go przy schodach.

Baron po trochu przypominał Ianę - miał jasne włosy i ten sam kształt oczu, był jednak mocno zbudowany i dużo wyższy. Jego surowa mina wydała się Henriemu sztuczna i na pokaz.

Thomas, który rano wyjechał po gości, zsiadłszy z konia, przedstawił ich oczekującym. Towarzysze Newella zostali przywitani przez służbę Roberta, która po cichu miała przykazane spić ich do nieprzytomności. Kiedy już zakończono krótką ceremonię dwornego powitania, Newell przeszedł do rzeczy.

- Przyjechałem po swoją siostrę, Ianę - powiedział.

- Wiemy - odrzekł sir Henri. - Obecny tutaj sir Ambrose wspominał nam, że ślub odbędzie się już niedługo. Wejść zatem do środka, panie. Trzeba to uczcić, jak każe stary zwyczaj.

Newell popatrzył nań z namysłem.

- To chyba niekonieczne - bąknął, zbity z tropu.

- Bzdura, napij się z nami! - wesoło zachęcał go Henri. - Nie ma potrzeby tak się spieszyć. Mamy francuskie wino. Najlepsze, jakie można dostać w całej Szkocji.

- Zostań na noc, baronie - dodał Rob, wyraźnie ucie-

szony nowym kompanem do pełnego dzbana. - Poznasz moją panią.

Nowo przybyły ociągał się, ale nie miał wyjścia. Nie chciał obrazić gospodarzy, musiał więc dołączyć do reszty.

W wielkiej sali było bardzo chłodno, bo nikt nie rozpalił ognia na kominku.

- Gdzie się chowasz, kobieto?! - ryknął Rob od progu.

Sir Newell aż podskoczył. Mairi wybiegła z bocznej komnaty, pociągając nosem i kuląc się ze strachu.

- Tak, milordzie - pisnęła.

Henri, choć to on był autorem planu, popatrzył na nią ze zdumieniem. Czy przypadkiem nie przesadziła z odgrywaniem swojej roli? Jej włosy były potargane i zwisały w strąkach, a suknia podarta i brudna.

Rob groźnym ruchem podniósł rękę i wskazał na zimny kominek.

- Rozpali ten przeklęty ogień - polecił i zaklął.

- To typowe dla tutejszych żon, że potrzeba im dobrej tresury - wyjaśnił Henri.

Sir Newell z niedowierzaniem popatrzył na Mairi.

- To jego żona? A już myślałam...

- Och, rzeczywiście. Teraz może wygląda jak kocmołuch, lecz trzeba było ją zobaczyć, jak tylko tu przyjechała - ze swadą opowiadał Henri. - Rob nawet jest z nią szczęśliwy, ale potrzebowała twardej ręki.

- Twardej ręki? - powtórzył Newell. - Wygląda, jakby była porządnie podrapana.

Mairi naprawdę wyglądała na poturbowaną, z zadrapaniami zrobionymi popiołem i sokiem z wiśni. Jehan przy-

siadła się do sir Ambrose'a, z dzbanem wina w jednym ręku i czterema kielichami w drugiej.

- Zobacz, co tutaj mam dla ciebie, mój dzielny wojownik - zaszczębiotała.

Ku zdumieniu barona, Ambrose z rozmachem klepnął ją w pupę, a ona z radosnym piskiem uciekła, chlapiąc winem po stole i podłodze.

Rob szybko podniósł dłoń, jakby miał zamiar ją uderzyć.

- Hej, bracie! - wtrącił się Henri. - Nie rób jej krzywdy. Przecież oddałeś ją Ambrose'owi.

- Ambrose'owi? - spytał ze zdziwieniem Newell, patrząc na niedawnego przyjaciela.

Henri postawił przed nim kielich z winem i powiedział:

- Wszak musieliśmy zająć czymś biedaka, zanim doczeka się na ślub z twoją siostrą, panie.

Ambrose pociągnął duży łyk trunku.

- Tak dobrej klaczki jeszcze nie miałem - mruknął nieco bełkotliwym tonem.

Hamilton wstał i wyniośle na niego popatrzył.

- Dales mi słowo, że ożenisz się z moją siostrą - stwierdził.

- Ależ to prawda! Święte słowa! - ze śmiechem zawołał Henri. - Ambrose wie o tym, ale przecież może mieć trochę przyjemności. Żaden chłop nie powinien ciągle orać tego samego pola.

Ambrose wstał z wyrazem niechęci na twarzy, odstał na stół pusty kielich i wyszedł z sali. Jehan pobiegła za nim.

- Gdzie jest Iana ? - zapytał sir Newell.

- Mairi! - ryknął Robert. - Gdzie ta dziewczyna?!
- Zamknięta, mój panie mężu - potulnie pisnęła Mairi.
- Tak jak nakazał to sir Ambrose.
Newell wyglądał na wstrząśniętego.
- Co to wszystko ma znaczyć?! - krzyknął. - Kto mu pozwolił tak traktować Ianę? Przecież w przyszłości ma być jego żoną!

Henri odezwał się tonem wyjaśnienia:

- Z tego, co nam wiadomo, to sam mu powiedziałeś, że-
by pojechał i ją sobie złapał, panie. Właśnie to zrobił. Jak wiesz, ona nie z takich, które zostają tam, gdzie im się każe, więc sir Ambrose miał do wyboru: albo za chwilę znowu ją ganiać po okolicznych górach i wioskach, albo też zamknąć w ciemnej komórce. Ty też tak kiedyś zrobiłeś.

- Skąd to wiadomo? - wyniośle zapytał baron.
- Iana wrzeszczała tak, że nie sposób było nie usłyszeć
- z niezmaconym spokojem odpowiedział sir Henri. - A może lepiej trzeba ją związać? Trochę posiedzi w ciemnicy o samym chlebie i wodzie, to prędzej zmięknie - zasugerował.

Sir Newell wyglądał na przerażonego.

- - Chcę ją zobaczyć i to natychmiast, i lepiej będzie, jeśli zastanę ją całą i zdrową - oznajmił groźnie.

Henri pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Nikt z nas, porządnych ludzi, nie lubi widzieć cierpiących niewiast. Ale to tak jak z dobrą kłaczą. Baba powinna znać swego pana. Spójrzcie, baronie. Robert przyuczył do posłuszeństwa swoją piękną żonę i teraz żyją w całkowitej zgodzie. Mam cichą nadzieję, że z lady Ianą będzie tak samo.

- Na miłość boską! Czyście zwariowali, że pozwalacie temu obwiesiowi traktować ją w taki sposób! To moja siostra! Natychmiast mnie do niej zaprowadź! - zażądał Newell. - Zabiję Ambrose'a, jeśli choć trochę ją zranił! - krzyknął.

Rob znudzonym głosem nakazał Mairi zawieść go do Iany. Wyszli. Jehan, która przed chwilą wróciła do sali, spojrzała na sir Gilleta i powiedziała:

- Wygląda na to, że plan się powiódł. Co o tym myślisz?

Henri też miał taką nadzieję. Teraz już wszystko zależało od tego, czy sir Hamilton zrozumie swoje zachowanie i czy przyzna się do złego traktowania siostry.

Och, gdyby Iana zgodziła, się zostać moją żoną, ze smutkiem pomyślał Henri. Wszystkie inne problemy straciłyby na znaczeniu.

Iana leżała na sianie w ciasnej komórce. Uniosła głowę, słysząc coraz bliższe kroki. Zastanawiała się, czy naprawdę zdoła wzbudzić odruch współczucia u Newella. Całe to przedstawienie było wbrew jej woli, ale jeśli naprawdę miało jej w czymś pomóc, to musiała grać wyznaczoną rolę.

Zazgrzytał klucz w zamku i drzwi stanęły otworem.

- Iano - rzekł Hamilton - nie mogę pozwolić, żeby cię tutaj dłużej tak traktowano. Ambrose na pewno nie jest tym człowiekiem, za którego go kiedyś uważałem!

Kłękął przy siostrze i troskliwym ruchem odgarnął jej włosy z twarzy.

- Nie jestem poturbowana - odpowiedziała słabym

głosem. - Po prostu mnie zamknęli. Przypomnij sobie, że ty też kiedyś to zrobiłeś. Dobrze przynajmniej, że nikt mnie nie bił, tak jak Duncan, a moja cela nie jest w piwnicy pozbawionej światła. Pozostaje mi tylko mieć cichą nadzieję, że to drugie małżeństwo, do którego mnie zmuszasz, nie okaże się takim koszmarem, jak poprzednie.

Podniosła na niego załzawione oczy i zobaczyła wyraz zdumienia na jego twarzy. Przez krótką chwilę wydawał jej się czułym bratem, którego pamiętała z dzieciństwa.

- Duncan cię bił? Naprawdę? - wyszeptał z narastającą zgrozą.

- Owszem, przecież mówiłam ci o tym już wcześniej. Choćby dlatego chciałam uniknąć drugiego małżeństwa.

- Ale Dorothea powiedziała... - zaczął.

- Wiem, wiem - wpadła mu w słowo. - Myślałeś, że wszystko w porządku. Twoim zdaniem Duncan był zawsze bardzo miły. Tymczasem on umizgiwał się do mnie tylko wówczas, gdy przyjeżdżałeś do nas w gości. Idź już sobie! - powiedziała nagle. - Będę cię słuchać. Przecież nie mam innego wyjścia.

Schylił się i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Nie martw się, Ana - powiedział, używając jej zdrobniałego imienia, zapomnianego od czasów dzieciństwa. - Nie pozwolę, żeby Ambrose wziął cię za żonę. Przrzekam ci to. Zaraz pójde mu to zakomunikować.

Iana postanowiła skorzystać z okazji i wymóc na nim obietnicę, że jej nie będzie także zmuszał do związku z sir Gililetem.

- Co to zmieni? - westchnęła z udawanym bólem. - Zaraz znajdziesz mi kogoś innego. Zresztą nieważne.

Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Nie dbam już o to, kogo wybierzesz.

- Nie, to nieprawda! - zapewniał ją z przekonaniem.

- Nie rań mi serca. Kto ci powiedział, że w ogóle musisz wychodzić za mąż?

- Jak to kto? - zapytała ze szczerym zdziwieniem. - Ty. To przecież był twój pomysł.

- Dorothea mnie przekonała, że potrzebujesz męża. Kiedy po śmierci Duncana wróciłaś do naszego zamku, wciąż powtarzała mi, że powinienem być bardziej stanowczy wobec ciebie. Obmyśliła, żeby cię wydać za starego Sturrocka.

- Dorothea?! To był jej pomysł?

Iana z niedowierzaniem spojrzała na brata. Czyżby kłamał? Lecz po co? W jakim celu?

- Tak było, naprawdę - potwierdził z przekonaniem. - Wspomniałem nawet, że jest za stary, lecz zapewniała mnie, że to dobry człowiek i że dla ciebie będzie jak ojciec. Ty jednak byłaś wściekła na mnie, że podjąłem decyzję za ciebie.

- Bo ja w ogóle nie chcę wychodzić za mąż! - zawołała. - Ile razy mam ci to powtarzać?

- Bardzo mi przykro, że się uniosłem i zamknąłem cię w twojej komnacie -. przepraszącym tonem ciągnął Newell. - Sama byłaś sobie winna. Zachowywałaś się jak dziecko, a Dorothea powiedziała...

- Zostaw w spokoju Dorotheę - przerwała mu Iana. - - Gdy byłem dzieckiem, zawsze trzymałaś moją stronę. Wszystko zmieniło się w jednej chwili, w dniu, w którym stałam się kobietą. Co ci się stało? - zapytała. - Dlaczego

teraz jesteś tak niedobry? Z jakich powodów bijesz żonę i ciągle źle mnie traktujesz?

- Nie gadaj głupstw! - burknął Newell. - Gdybym choć raz uderzył Dorotheę, to nigdy by mi tego nie darowała.

Iana nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Newell zaś mówił dalej:

- Po śmierci ojca spadła na mnie odpowiedzialność za twe dalsze losy. Ty jednak zawsze sprzeciwiałaś się wszystkiemu, co ci zaproponowałem. W końcu pomyśleliśmy sobie z Dorotheą, że będzie dobrze wysłać cię do Whitethistle, żebyś nabrała trochę rozumu.

- To także pomysł Dorothei? Och - zająknęła się Iana - wprowadziła cię w błąd, nagadała ci głupstw, drogi bracie. Wciąż się upierasz, żebym została żoną sir Ambrose'a?

- Dorothea wręcz wpadła w furję, gdy jej wspomniałem, że będzie lepszym mężem niż ojciec - westchnął. - Urządziła mi straszną awanturę. Jeśli chcesz, to przecież zawsze możesz iść do klasztoru. Nie będę ci się sprzeciwiał.

Iana nie miała najmniejszej ochoty, żeby ją zamknięto za murami, więc powiedziała prędko:

- Nie mogę! Nie przyjmą mnie tam razem z dzieckiem.

- Z dzieckiem? - zdumiał się Newell. - Przecież ty nie masz dziecka! Co znowu zmyślasz? Mów mi zaraz!

Położyła mu rękę na ramieniu, jakby go chciała trochę uspokoić.

- To znajda. Jej matka zmarła, a ja zabrałam ją jak swoją.

- Znajda, chwalić Boga - odetchnął z wyraźną ulgą.

- Nie odbieraj mi jej - prosiła Iana . - Kocham ją niczym własną córkę. To wszystko, czego mi potrzeba. Klasztorna cela nie będzie dla nas zbyt dobrym miejscem.

- Siostry wezmą was bez wahania, jeżeli tylko im zapłacę.

- Czy ty mnie trochę słuchasz, bracie?! - zawołała. - Nie pójde do klasztoru! Niczego się nie nauczyłeś? Nikt mnie nie będzie zmuszał, żebym postępowała wedle jego woli!

Newell wstał i popatrzył na nią z uwagą.

- Jaka tu gra się toczy, Iano?

Podniosła się w ślad za nim. Już nie była słaba jak przedtem. Nie potrzebowała współczucia.

- Widzę, że to wszystko na nic - powiedziała z żalem. - Klnę się na Boga, że masz głowę twardą jak dębowy pień.

- Daj spokój! Nie głodzili cię tutaj?

- Pytasz o to, czy biorąc przykład z ciebie, dawali mi chleb i wodę?

Powoli pokiwał głową.

- Wszystko rozumiem. Urządziliście małe przedstawienie. Bawiłaś się moim kosztem. Chciałaś, bym przyznał się do winy i uległ twoim zachciankom. Powiedz mi tylko, jak to zrobiłaś, że wszyscy w zamku są po twojej stronie? Dorothea mnie ostrzegęła, że jesteś niezłą intrygantką. Coś im obiecała?

- Nic! - zaperzyła się. - Nic nie obiecywałam i niech diabli wezmą tę twoją wspaniałą Dorotheę! Moi prawdziwi przyjaciele chcieli ci pokazać, że bardzo źle traktowałaś siostrę!

Newell zacisnął usta. Widać było, że walczy ze wzbierającym gniewem.

- Czy to lord MacBain wymyślił tę idiotyczną farsę?
- spytał zduszonym głosem.

- Nie, to nie on - odpowiedziała.

- Czyli Ambrose?

- Nie.

- A zatem ten francuski rycerz. Widać było, że ma tutaj najwięcej do powiedzenia. Co was łączy? - zapytał podejrzliwie.

Iana stanęła do niego tyłem. Nie chciała mu odpowiedzieć.

- Jesteście kochankami? - nie ustępował Newell. Mocno zaciskał pięści i gniewnie mrużył oczy.

Rzuciła nań przeciągłe spojrzenie.

- Sir Henri Gillet przywiózł mnie tu z Whitethistle.

Wyraz twarzy Newella powiedział jej, iż brat był pewien, że sprzedała się Francuzowi za umożliwienie ucieczki z wygnania. Ani trochę nie wierzył w jej dalsze wyjaśnienia.

- Nie jestem jego nałożnicą - odpowiedziała z buntowniczą miną.

- Ale cię kocha?

Iana milczała. Tak naprawdę, to nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Henri zaręczał wprawdzie, że chce ją poślubić, ale nie była pewna, czy robił to z miłości. Chciał pokierować jej dalszym życiem. Tolerowała to u brata i później u pierwszego męża, lecz potem powiedziała: Dość! Nie zamierzała tego więcej znosić.

- Odpowiedz mi! - krzyknął Newell.

Nagle nabrała przewrotnej ochoty, żeby choć trochę mu dokuczyć. Niech się pomartwi.

- Sir Henri mieni się moim opiekunem. Nie wiem, czy mam uważać to za prawdziwą miłość. Niewielu ludziom zależało na mnie i jak do tej pory, to nikt poza nim nie zadbał o moje bezpieczeństwo. Szczególnie ty, kochany bracie.

Newell zbladł jak kreda.

- Bardzo zależy mi na tobie - zapewnił ją żarliwie. - Chciałem, byś dobrze wyszła za mąż i żyła szczęśliwie. Zrozum mnie, Iano! Ze wszech miar pragnę tylko, żebyś do końca swoich dni była zadowolona i bezpieczna.

Znów odwróciła się do niego plecami.

- Więc nie dręcz mnie podejrzeniami - burknęła. - Jedź do domu i zostaw mnie samej sobie.

- O tym już rozmawialiśmy. Nie widzę najmniejszej potrzeby, żeby przeciągać tę dyskusję - rzekł i wyszedł.

Drzwi zamknęły się za nim cicho i klucz na nowo zgrzytnął w zamku.

- A niech cię diabli, Newell! - krzyknęła Iana, uderzając pięściami w drzwi. Dobrze wiedziała, że Mairi za chwilę ją uwolni, lecz wstyd jej było, że własny brat postąpił z nią w ten sposób.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Upłynęło jednak dużo więcej czasu, niż się Iana spodziewała. Wreszcie usłyszała, że ktoś przekręcił klucz w zamku. Do komórki wszedł Henri. Zanim coś powiedział, starannie zamknął drzwi od wewnątrz.

Iana uśmiechnęła się smutno. Teraz mogła ukryć się przed światem, gdyby tylko na to nabrała ochoty.

- Nic nie wyszło z naszego przedstawienia - powiedział w końcu Henri i wzruszył ramionami.

Dziewczyna pokiwała głową.

- Wiem, to moja wina - przyznała się bez wahania. - Przez chwilę wszystko było w porządku, a potem mój brat uciekł się do swoich starych argumentów i straciłam nad sobą panowanie..

- Zauważyłem to, kiedy zszedł na dół - odparł Henri.
- W ostrych słowach zwymyślał Ambrose'a za to, że był dla ciebie niedobry. Widać było po jego zachowaniu, że jednak trochę czuje się winny wobec ciebie i żałuje, że tak postępował.

Iana usiadła na słomianej podściółce, z rękami na kolanach.

- Niestety, teraz już na pewno nakłoni mnie do ślubu z Ambrose'em.

- Przecież ten głupek wcale nie musi go posłuchać! -

zawołał Henri. - Każdy widzi, że to wbrew jego uczuciom.

- Mnie jest wszystko jedno. Mam tylko dwa wyjścia: albo go poślubić, albo stąd jak najszybciej uciec.

Henri uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko niej na podłodze.

- Jest jeszcze trzecie wyjście z tej sytuacji.

- Wiem - odpowiedziała. - Wyjść za mąż za ciebie.

- Właśnie.

Roześmiała się gorzko.

- Wyobrażasz sobie, że Newell zgodzi się na to teraz, kiedy zrobiliśmy z niego idiotę?

- Nie jestem ciekaw, co myśli czy zrobi twój brat, Iano.

Henri popatrzył na Ianę tak otwarcie i serdecznie, że przez nieskończenie długą chwilę miała wrażenie, iż spogląda w głąb jego serca. Chciała odwrócić wzrok, lecz nie zdołała. Ujrzała bowiem szczere uczucie w spojrzeniu Henriego.

Rycerz zbliżył twarz do jej twarzy. Poczula jego ciepły oddech na swoich wargach. Kiedy ich usta się zetknęły, zrobiło jej się błogo. Silne ramiona objęły ją ciasno, tak że jej piersi wsparły się o twarde tors.

Henri lekko przechylił głowę, żeby pogłębić pocałunek, Iana rozchyliła usta i poczuła nieznaną wcześniej smak przyjemności. Stwierdziła nagle, że chce więcej. Ujęła jego twarz w obie dłonie i poczuła dotyk języka na swoich wargach. Zauważyła, że już nie siedzą, a leżą na jej posłaniu, chociaż nie była świadoma, jak to się stało.

Henri gładził kark i ramiona Iany, a potem ujął w dło-

nie jej piersi. Iana wyprężyła ciało, jakby prosząc o jeszcze. Henri lekko musnął ustami naprężone sutki. Aż krzyknęła z rozkoszy. Pocałował ją znowu i wsunął swoje udo pomiędzy jej nogi.

Iana przysunęła się bliżej, lecz ciągle jeszcze była za daleko. Zrobiło jej się duszno i gorąco pomimo chłodu panującego w tej ciasnej izbie. Nic nie słyszała, oprócz głośnego bicia serca Henriego, a gdy dotknęła ustami jego szyi, poczuła egzotyczny zapach i słodko-słony smak jego skóry.

Spojrzała nań spod półprzymkniętych powiek. Henri sięgnął ręką w dół, do zapięcia tuniki. Zdjął ją z siebie. Pełnym pożądania wzrokiem Iana ogarnęła potężne mięśnie wyraźnie rysujące się pod skórą. Zrzuciła suknię i koszulę, podczas gdy on pozbywał się spodni i butów.

Nie czekał na jej zezwolenie. Tym razem w jego zachowaniu nie było nieśmiałości, a jednak postępował z nią bardzo delikatnie, jakby mieli przed sobą całą wieczność.

Widok jego nagiej męskości zaparł jej dech w piersi. Był jej, przez tę krótką chwilę między wolnością a niewolą. Między swobodą a obowiązkiem. Zapraszająco wyciągnęła ramiona, on zareagował z wolna, bez pośpiechu,

Iana mogła na niego jedynie patrzeć wygłodniałym wzrokiem, kiedy się zbliżał.

Po chwili pocałował ją gorąco, namiętnie, czym jeszcze bardziej rozbudził pożądanie. Iana, wbrew sobie, poczuła się tak bezpiecznie w jego silnych ramionach, że zapomniała o swojej niechęci do mężczyzn. Wiedziała już tylko jedno: że ze wszystkich sił pragnie kochać i być kochana.

Przemknęło jej przez głowę, że przed śmiercią - albo rozstaniem - chciałaby jeszcze raz doznać tych samych uniesień, których w tej chwili zaznawała w mrocznej i ciasnej izbie. Jeszcze nigdy nie doświadczyła tak wielkiego szczęścia.

Liczył się tylko mężczyzna, który sprawiał, że zapomniała o złej przeszłości i cieszyła się cudowną, jedyną w swoim rodzaju chwilą. Miała go teraz tutaj, obok siebie. Wiedziała już, że wspaniale potrafił całować. Westchnęła z głębi piersi i przesunęła dłońmi po jego nagich plecach. Coraz bardziej pragnęła zespolenia.

Henri oderwał wargi od jej ust. Iana oparła głowę na jego silnym, męskim ramieniu. Przez krótki moment patrzyła mu prosto w oczy. Aż dygotała z powstrzymywanej namiętności.

Czas zdawał się jej dłużyć w nieskończoność. Mijały chwile, a Henri leżał przy niej bez najmniejszego ruchu. Po prostu trzymał ją w objęciach i patrzył jej prosto w twarz, jakby o coś prosił. Nie była tym szczególnie zachwycona, ale nie potrafiła odwrócić wzroku. Oddychała głośno i zdawało jej się, że leci gdzieś w bezdenną przepaść.

Iana zdawała sobie sprawę, że tam, w zamku, dzieją się w tej chwili bardzo ważne rzeczy, które mogą zaważyć na jej przyszłości. A jednak nie próbowała uciec. Szczerze mówiąc, to prawie nie widziała, co się wokół niej działo. Dla niej liczył się tylko Henri. Ze wszystkich sił pragnęła zatrzymać go jak najdłużej.

Głęboko zaczerpnęła tchu, kiedy powoli pochylił się w jej stronę. Podświadomie oczekiwała na następny głęb-

szy pocałunek, ale on tylko musnął ustami jej na wpół przymknięte, rozpalone wargi. Jęknęła cicho z zaskoczenia. To było takie inne od tego, co zdążyła poznać. Przez parę słodkich minut całował ją nadzwyczaj delikatnie i czule, jakby naprawdę była jego najcenniejszym skarbem. Ani trochę nie przypominał brutalnego, wciąż spieszącego się Duncana.

Podniecało ją takie zachowanie. To, co z nią robił Henri, miało w sobie posmak tajemniczego miłosego rytuału. Każdy następny lekki pocałunek wydawał się Ianie słodszy od poprzednich. Henri nie musiał jej zapewniać o swoich uczuciach. Przemknęło jej przez głowę, że to właśnie na niego czekała przez wszystkie minione lata.

Pocałował ją po raz ostatni i odchylił głowę. Uniósł się na wyprostowanych rękach i zawisł nad nią całym ciałem. Potem pochylił się i mocno objął ją ramieniem.

Iana przywarła do niego niecierpliwie. Drgnęła ze zdziwienia, gdy nagle ujął ją za rękę i przycisnął jej dłoń do swojej piersi na wysokości serca.

- Dotknij tutaj - powiedział cichym i nabrzmiętym głosem - najukochańsza.

Usłuchała go z pewnym wahaniem. Szeroko rozpostarła palce i przesunęła dłonią po jego nagim, muskularnym torsie. Wyglądał jak młody bóg. Był doskonale zbudowany. W pewnym momencie zadrżał lekko. Iana natychmiast domyśliła się, że to jej dotyk wywołał dreszcz i to odkrycie sprawiło jej niemałą radość.

Henri pochylił się i obsypał namiętными pocałunkami całą twarz i szyję Iany, która wciąż gładziła go po piersiach i plecach. Gwoli prawdy, na krótką chwilę opano-

wało ją zwątpienie. Szybko jednak minęło, zgaszone pocałunkiem złożonym na jej ustach. Poczowała całkiem nowy, nieznaną jej dotychczas ucisk w dole brzucha. Nie zaprotestowała ani słowem, gdy Henri spoczął na niej całym ciężarem swego ciała.

- Jakaś ty piękna - wyszeptał jej prosto do ucha. Poczowała jego oddech na swojej skórze.

Głęboko zaczerpnęła tchu i mocno zacisnęła powieki.

- Spójrz na mnie, *cherie* - usłyszała niemal natychmiast.

Posłusznie otworzyła oczy. Sir Henri przyciągnął ją do siebie.

- Nie musisz się mnie obawiać. Na pewno cię nie skrzywdzę - przyrzekł poważnym tonem, jakby składał rycerską przysięgę.

Nie spuszczać wzroku z jej twarzy, sięgnął niżej, przesunął dłoń po jej udach i zrećźnie, z dużą wprawą - nabytą pewnie wskutek doświadczenia - nakłonił ją, żeby lekko rozchyliła kolana.

Iana omal się nie zachłysnęła własnym gorącym oddechem, gdy jego palce pomknęły wzwyż, po wewnętrznej stronie jej nogi.

- Pocałuj mnie - wyszeptał Henri.

Nie musiał tego dwa razy powtarzać. Natychmiast go usłuchała. Ciasno objęła go za szyję, a on niemal w tej samej chwili dotarł w swojej wędrówce do najbardziej intymnych zakątków jej ciała i pieścił ją bez wytchnienia.

Iana zamruczała coś niewyraźnie, nawet na moment nie przerywając pocałunku.

- Dobrze ci, moja droga pani? - dwornie zapytał sir

Henri, ale w jego głosie czaił się nieuchwytny cień radosnej kpiny.

- Uhm. - Iana nie umiała zdobyć się na inną odpowiedź.

- Poczekaj trochę. Nie ma się co spieszyć. Chcę, żebyś poczuła się jeszcze lepiej - powiedział.

Z zamkniętymi oczami zastanawiała się, co będzie dalej. Henri kazał jej czekać niemal bez końca. Napięcie narastało w niej z każdą mijającą chwilą.

- Od samego początku to podejrzewałem - usłyszała nagle głos Henriego.

Serce zamarło jej w piersiach. Była bliska paniki. Co się stało?

- Podejrzewałeś? - powtórzyła nieco roztrzęsionym głosem. - Co takiego?

Wstrzymała oddech. Niemal nie chciała poznać odpowiedzi.

- Że pod tą zgrzebną suknią skrywasz wspaniałe ciało. Masz smukłą talię, a twoje piersi - Henri rozognionym spojrzeniem przesunął po dwóch krągłych, wysoko sterzących wzniesieniach, zakończonych ciemniejszymi wierzchołkami - są twarde i jędrne.

Jakby dla podkreślenia swoich słów, pochylił się i musnął jej piersi ustami.

Iana jęknęła głucho i wygięła się w łuk. Gdzie się podziało jej opanowanie i niechęć do miłości?

- Nie odchodź, nie odchodź, nie odchodź - powtarzała w kółko.

- Nawet nie mam takiego zamiaru - uroczystym tonem zapewnił ją Henri.

Światło z wysokiego okna oświetlało jego szerokie ba-

ry i muskularne ramiona. Iana ukradkiem, przez rzęsy, patrzyła na tę część jego ciała, która za chwilę miała stać się jej częścią.

Wyprężyła się niczym struna, kiedy ją wreszcie posiadł. Wypełnił ją całkowicie i poruszał się bardzo powoli. Rozkosz w niej rosła. Wiedziała, że właśnie o to chodzi. Zdumiewała ją moc, którą nad nim posiadała i która wydobywała z jego gardła chrapliwe jęki. Dobrze musiał panować nad swoją cierpliwością.

Skurcz rozkoszy przeszył jej ciało. Wreszcie, w ostatnim uniesieniu, chrapliwym głosem wykrzyczała jego imię i wbiła mu paznokcie w ciało.

Teraz on kończył. Z fascynacją patrzyła na jego odrzuconą głowę, zamknięte oczy i zaciśnięte zęby. Podała się ekstazie. Odczuwała to z intensywnością, która pozostawiła ją bezbronną i oszołomioną.

Henri uspokajająco pogładził ją po włosach. Przywarła do niego, jeszcze cała drżąca i leżała tak przez dłuższy czas, a on całował jej rozchylone usta, zamknięte oczy i mocno zaczerwienione policzki.

Kiedy Iana nareszcie ochłonęła i odzyskała oddech, Henri ponownie pochylił się nad nią i z wyraźną lubością zaczął pieścić jej wspaniałe ciało. Iana miękła jak wosk pod najlżejszym dotknięciem. Wreszcie niedbałym, niemal nonszalanckim ruchem podłożył dłoń pod jej kolano i lekko unióś jej nogę.

Iana poczuła się trochę nieswojo. Przecież kiedy się odsunął, pomyślała, że już na tym koniec. Drgnęła, kiedy niespodziewanie pocałował ją w sam środek stopy. Zaraz potem zachichotała mimo woli, bo zaczął lechtać ją językiem.

Henri zawtórował jej donośnym śmiechem, uniósł głowę i popatrzył jej prosto w oczy.

- Klnę się na wszystkich świętych na niebie, że jesteś niezwykle piękna i pociągająca - rzekł i od niechcenia przesunął dłonią po jej łydce.

- Miło to słyszeć - bąknęła grzecznie, bo w gruncie rzeczy nie bardzo wiedziała, co mu odpowiedzieć.

Uległa mu. Teraz już nie musiała martwić się o służbę, plotki, brata i o to, co jej może przynieść jutrzejszy poranek. Wszystko, co o niej opowiadano w Baincroft, było prawdą. No, może z wyjątkiem dwójki dzieci.

- Pragnę cię - ze wzruszeniem oznajmił jej Henri. - Chcę, żebyś tu i teraz ofiarowała mi uczucia, które w sobie chowasz. Chcę, żebyś mi opowiedziała o swoich najskrytszych marzeniach. Wyznaj mi prawdę, powiedz mi o wszystkim, czego kiedyś pragnęłaś i czego nigdy w życiu nie dostałaś. Przekaż mi takie swoje tajemnice, o których nigdy nie mówiłaś swojemu mężowi. Chcę, żebyś choć na te kilka pięknych minut w całości mi się oddała, a ja w zamian będę cię kochać jak nikt przedtem. Pragnę cię dzisiaj, i na starość, i teraz, i na zawsze.

Dobrze, dobrze, pomyślała. Nie wyjdę za niego, ale teraz, dla własnego dobra, mogę z nim być. Nie potrzebowała kolejnej zachęty. Już przedtem mocno podniecona, nie zamierzała stawiać oporu. Uznała, że lepiej teraz się zatracić, by żyć wspomnieniami, niż nie mieć nic i z przerażeniem czekać na wyroki losu. Mogła sobie pozwolić praktycznie na wszystko, bo - w myśl własnych zasad - była zupełnie wolna.

Henri pocałował ją i sprawnie pokierował jej ręką. W

tym też wcale nie przypominał jej zmarłego męża. Jęknął z cicha, kiedy go dotknęła. Tak jak przedtem, bez najmniejszego trudu zrozumiała znaczenie tego dźwięku.

A potem go głaskała, pieściła, drażniła.

Henri wreszcie mruknął coś pod nosem i zamknął jej szczupłą rękę w swojej silnej dłoni.

- Wybacz mi, pani, lecz nie mogę już czekać dłużej. Zbyt silnie na mnie działasz.

Chwilę później ponownie położył ją na wznak i pochylił się nad nią. Widziała jego ogorzałą twarz, szeroki tors i linię ramion. Wypełniał sobą całą przestrzeń niewielkiej izby. W tych czterech ścianach nie było niczego poza nim. Sprawił jej rozkosz i pozwolił doświadczyć przyjemności, których do tej pory nie znała. Gdzie je miała poznać? W łóżnicy Duncana?

Henri pochylił głowę i tak jak przedtem, pocałował jej jędrne piersi. Iana uśmiechnęła się, jakby do siebie, i nieco zamglonym wzrokiem popatrzyła gdzieś w dal, ponad jego ramieniem.

Pod wpływem mrocznych wspomnień na moment zeszywniała, nie mogąc opanować podświadomego strachu. Nie wiedzieć czemu, miała wrażenie, że Henri chce ją uderzyć.

- Ciii... moja mała - szepnął jej do ucha łagodnym i uspokajającym tonem. - Nic się nie bój. Odpręż się. Obiecuję, że będę nadzwyczaj delikatny. Chcę tylko, żebyś z własnej i nieprzymuszonej woli pozwoliła mi siebie kochać.

Nie stawiała oporu.

A on ją ponownie kochał.

Westchnęła z cicha. Ogarnęło ją poczucie szczęścia. Nie dostrzegając nic, co się działo wokół. Po długiej wędrówce przez lasy i wrzosowiska Szkocji przeżywała następną fascynującą podróż, tym razem do cudownego i tajemniczego świata erotycznych fantazji. Henri swoim zachowaniem skłonił ją do tego, żeby pozbyła się wszelkich zahamowań. Kochali się jak szaleni, wśród jęków i pomruków. Aż dziw brał, że nikt ze służby ani zamkowej warty ich przy tym nie zaskoczył.

Iana doszła do wniosku, że jej francuski rycerz musi być bez wątpienia najlepszym kochankiem pod słońcem. Radowała się jego obecnością. Uwielbiała spojrzenie jego błyszczących oczu, smak ust i słodki ciężar potężnie umięśnionego ciała.

I tak to trwało, aż zaczęła krzyczeć spazmatycznie.

A potem długo leżeli bez najmniejszego ruchu.

- Iano, moja najdroższa - zaczął Henri, ale ona natychmiast mu przerwała.

- Nic nie mów, proszę. To i tak niczego nie zmieni.

- Musi zmienić - szepnęła, obejmując ją mocno.

- Posłuchaj - odpowiedziała. - Przez całe lata byłam traktowana jak bezduszna lalka, a nie jak człowiek. Najpierw doświadczyłam tego od własnego ojca, a potem od męża i brata. Teraz znalazłam w sobie dość odwagi, żeby być sobą, nie zważając na to, co się stanie. Wiem, że ty tego nigdy nie zrozumiesz. Nie będę cię o to prosić.

Henri usiadł i bez słowa zaczął wciągać ubranie. Nie spieszył się i nie wyglądał na rozeźlonego. Iana patrzyła nań, wciąż myśląc o słodkiej godzinie, która minęła i któ-

ra miała na zawsze pozostać w jej pamięci, cokolwiek by się wydarzyło.

Tak bardzo chciała mu powiedzieć, że go kocha. Jednak wzbudziłaby w nim nadzieję, która nie mogła być spełniona. Dziś, w tej izdebce, Henri sprawił, że poczuła się jak prawdziwy skarb, a nie czyjaś własność..

Pomyślała, że zachował się tak, bo chciał, aby zmieniła nastawienie do małżeństwa. Och, gdyby tylko potrafił zrozumieć, że potrzebowała choć trochę swobody! Nie mogła i nie potrafiła być czyjąś własnością. Gdyby to pojął, zostałaby przy nim na dłużej. Ale on, niestety, był tylko mężczyzną i wciąż musiał rządzić, posiadać, wymagać.

Zanim wyszedł, popatrzył na nią przeciągłym, pełnym miłości wzrokiem. Iana wiedziała, że już nie będzie jej więcej namawiał, aby zgodziła się zostać jego żoną. Zaczęła płakać.

Henri zrobił wszystko co w jego mocy, żeby Iana zmieniła zdanie na temat małżeństwa, ale ona była niewiarygodnie uparta. Jeśli chciał patrzeć z pewną nadzieją na ich wspólną przyszłość, musiał jak najszybciej uwolnić ją spod opieki brata. Wiedział też, że sir Ambrose będzie wciąż obstawał przy raz danym słowie.

Zszedł na dół, żeby odszukać Roberta. Po drodze natknął się na Jehan.

- Mój Boże! Wyglądasz jakoś dziwnie. Coś nie w porządku? - zapytała na jego widok.

- Niby co się miało stać? - burknął. - Gdzie Rob?

- Z gośćmi, w wielkiej sali. Jestem pewna, że zechce obedrzeć cię ze skóry za twój pomysł.

- Wierzę - odpowiedział.
- Miałeś ją? - Zaskoczyła go tym pytaniem.
Henri zatrzymał się gwałtownie.
- Na miłość boską, nie bądź taki zakłamanym! - zawołała Jehan z udawaną naganą. - Pachniesz nią cały, nie bój się przede mną przyznać.
Krzyknęła z bólu, kiedy chwycił ją za ramię.
- Nie wtrącaj się do mojego życia! - rzekł gniewnie.
- Ostrzegam cię po raz ostatni!
Zamiast odejść, jak tego się spodziewał, Jehan pokiwała mu palcem przed nosem.
- Henri, ja pragnę wyłącznie Ambrose'a. Sam zatem widzisz, że to też mój kłopot. Nie ma sensu, byśmy toczyli pojedynek, kiedy raczej powinniśmy...
- Co powiedziałaś? Pojedynek? - Uderzył się w czoło.
- Oczywiście! *C'est parfait!* Pojedynek z Hamiltonem.
Ucałował ją w czubek głowy, w podziękę za pomysł, który mu poddała.
- Henri, nie! - Starła się go powstrzymać.
- Masz rację. Nie z Hamiltonem, tylko z Ambrose'em.
Zostawił zdumioną i przestraszoną Jehan i ruszył na poszukiwania przeciwnika. Uczciwa walka była najbardziej honorowym wyjściem. Po przegranej Ambrose mógłby się wycofać z danego słowa i nieopatrznie złożonej obietnicy. Newell nie mógłby wytoczyć żadnych rozsądnych argumentów.
Jehan pobiegła za nim i chwyciła go za rękaw.
- Henri! Błagam, nie rób tego!
- Przysięgam, że go nie skrzywdzę - powiedział. - Czy kiedykolwiek cię okłamałem? Chyba mnie nie podej-

rzewasz, że zaprzedałbym własny honor? Jeżeli mówię, że Ambrose wyjdzie z tego cało, to tak będzie. Koniec, kropka.

- Obiecujesz? Przysięgasz? - dopytywała się ze łzami w oczach.

- Obiecuję! Nie mam pretensji do Ambrose'a. Lubię go, nawet jeżeli trochę...

- Uważaj, Harry - ostrzegła go.

Roześmiał się.

- Nic się nie bój.

Jehan westchnęła cicho. Wydawała się pogodzona z tym pomysłem.

- Bądź moją przyjaciółką i pójdz teraz do Iany - poprosił ją Henri. - Nic nie wspominaj o swoich domysłach i nie mów jej o pojedynku. Jeżeli możesz, to po prostu porozmawiaj z nią i postaraj się ją uspokoić.

Jehan skinęła głową na zgodę.

- Wszystko na pewno będzie dobrze! - zawołał za nią.

Poszedł w kierunku wielkiej sali, aby powiedzieć wszystkim o swoim najnowszym pomysle.

Zastanawiał się nad prawdopodobnym przebiegiem takiego pojedynku. Sir Ambrose na pewno umiał władać mieczem. Można to było poznać po postawie i po muskułach, bardziej wyrobionych w prawej ręce, w której zazwyczaj trzymał oręż. Dobra walka na pewno stałaby się wielkim przeżyciem dla nich obu. Wprawdzie publiczna porażka mogłaby zabołec Ambrose'a, lecz w rezultacie obaj dostaliby to, na czym im zależało.

Henri westchnął przy ostatniej myśli. On sam mógł liczyć na nagrodę tylko za zgodą Iany. A niech to lichu! O

takie sprawy będzie się martwił dopiero jutro. Na razie musi ją uchronić przed niecnymi zamysłami brata.

Otworzył drzwi do wielkiej sali i wszedł do środka z zaciętą miną.

- Hamilton, chcę ożenić się z twoją siostrą - oznajmił bez ogródek.

- Raczej nic z tego, Gillet - padła odpowiedź. - Obiecałem ją innemu.

Newell popatrzył na Ambrose'a.

- Czyż nie tak?

- Masz na to moje słowo - odparł sir Ambrose. - Co raz powiedziałem, to święte. Także i w tej sprawie.

Newell uniósł dłoń, jakby chciał oznajmić, że nic więcej nie da się zrobić. Henri nie był zaskoczony, właśnie tego się spodziewał. Odwrócił się do Ambrose'a.

- W tej sytuacji będę z tobą walczył o honor ubiegania się o jej rękę - oznajmił. - Kocham Ianę. Ponieważ stoisz mi na drodze, muszę cię usunąć.

- Henri, nie możesz tego zrobić! - krzyknął Rob.

- Bądź cicho, bracie. To moja sprawa, a nie twoja. Co mi odpowiesz, sir Ambrose?

Młody rycerz wyglądał na mocno strapionego. Chyba nie miał ochoty na walkę. Czyżby naprawdę nie dostrzegł, że to dla niego była jedyna droga, aby zdobyć Jehan? Henri, z zaciśniętymi zębami i zmrużonymi oczami, oczekiwał odpowiedzi. Ambrose patrzył na niego, jakby post-radał zmysły.

- Mam swoje powody, żeby wydać Ianę za sir Ambrose'a - powiedział spokojnie Newell. - Poza tym nie zamierzam oddawać własnej siostry jakiemuś nieznanemu

francuskiemu rycerzowi bez majątku. A nade wszystko nie dam jej tobie, bo cię nie lubię. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, skąd bierze się moja niechęć.

Henri domyślił się, że sir Ambrose prawdopodobnie wyznał, że całe to przedstawienie, które odegrali; wzięło się z pomysłu Henniego. A co do majątku... Skąd ktoś taki jak sir Newell Hamilton z Ochney miał wiedzieć, że Henri Gillet jest spadkobiercą hrabiowskiego tytułu Trouville'ów, posiada cztery zamki we Francji i że ma złoto i inne bogactwa?

Gdyby był tego świadom, być może zmieniłby swoją decyzję, lecz Henri nie chciał sprawiać wrażenia, że zamierza odkupić Ianę. Raz już była sprzedana. Nie powinna myśleć, że ktoś znów za nią płaci. Postanowił zdobyć ukochaną, udowadniając, jak silna jest jego miłość; zapewnić ją, że mu na niej zależy i że chce z niej uczynić żonę. Z doświadczenia wiedział, że kobiety lubią, kiedy się o nie walczy. A w kwestii ślubu? Przecież nie będzie mogła mu odmówić, skoro podejmie dla niej tak poważne ryzyko.

- Wygram ją, Hamilton - powiedział twardo. - Najpierw skończę z Ambrose'em. Jeśli obiecasz ją komuś innemu, to także wyzwę go na pojedynek. Zwycięzę wszystkich po kolei. Nie spocznę, póki jej nie zdobędę. Wierzył w każde wypowiedziane słowo. Wiedział, że

Iana do niego należy. Kochał ją i nie zamierzał oddawać jej nikomu.

Sir Ambrose nie da tak łatwo się zwyciężyć, Gillet - spokojnie powiedział Newell. - Widywałem go w walce. Może okazać się trudniejszym przeciwnikiem, niż się spodziewasz.

- Odprawisz mnie, jeżeli wygra, prawda?

Henri wiedział jednak, że Ambrose przegra. Gdyby zwyciężył, straciłby przecież Jehan, bo musiałby dotrzymać niegdyś danego słowa i ożenić się z Ianą. Chodziło zatem tylko o to, by pojedynek trwał jak najkrócej i żeby przeciwnik nie prosił o łaskę, przyznając się do tchórzostwa.

Rob gwałtownie manipulował dłońmi, pokazując na migi, aby Henri odstąpił od swojego zamysłu. Nigdy przedtem nie zachowywał się w ten sposób. Chyba nie zorientował się, że to kolejny podstęp.

- Zgódź się, Hamilton - powtórzył Henri. - Jestem przekonany, że Ambrose, nawet jeśli przegra, nie przestanie być twoim przyjacielem. Znów będziesz mógł na niego liczyć, tak jak dawniej.

Sir Ambrose zacisnął usta. Wzruszył ramionami i po chwili skinął głową na zgodę.

Zapadła cisza. Hamilton w milczeniu rozważał propozycję sir Gilleta. Spoglądał to na jednego, to na drugiego rycerza, jakby oceniał ich siły.

- Jesteś zupełnie pewny, Ambrose, że chcesz w ten sposób udowodnić swoje prawa do mojej siostry? - zwrócił się najpierw do przyjaciela.

Młody rycerz na chwilę przymknął oczy.

- Dałem ci słowo, że ją wezmę - odparł. - Uczynię wszystko, by dotrzymać dawnych zobowiązań.

Newell skrzywił się.

- Zatem pokaż temu *parvenu francais*, jak szkocki szlachcic trzyma oręż w garści. Chcę go widzieć na plecach, w błocie, z twoim mieczem przy szyi.

- Nie, nie pozwalam! - wykrzyknął Rob.

„Pozwolisz” - powiedział na migi Henri. Rob kręcił głową z wyrazem zatroskania na twarzy. Henri postanowił mu powiedzieć później, o co naprawdę w tym wszystkim chodzi. Czasami Robert opacznie rozumiał pewne sprawy, choć gwoli prawdy, zdarzało mu się to niezmiernie rzadko. Z zasady nie mylił się w ocenie ludzkich intencji.

Iana przestała płakać, ubrała się i wróciła do swojej komnaty. Była zadowolona, że opuszcza tę zaimprovizowaną celę, w której najpierw odwiedził ją Newell i w której potem kochała się z Gililetem.

Słońce jeszcze nie stało w zenicie, a tyle już się wydarzyło, Iana chciała o wszystkim zapomnieć, ale wiedziała, że to niemożliwe. Uczucia, które wzbudził w niej Henri, zapanowały nad nią całkowicie.

Przycisnęła rękę do serca i poczuła, że bije szybkim mocnym rytmem. Sir Henri Gillet całkowicie zawrócił jej w głowie.

Stała bezradnie pośrodku komnaty i chociaż chciała, nie potrafiła przestać o nim myśleć.

Nagle skrzypnęły drzwi i weszła Jehan. Po wyrazie jej twarzy można było poznać, że jest czymś bardzo przejęta. Niespokojnie zaczęła chodzić po pokoju. Załamywała ręce i rzucała wrogie spojrzenia na Ianę.

Czyżby Henri tak prędko zwierzył jej się z godziny miłości, którą razem spędzili? A cóż innego mogłoby ją tak bardzo zdenerwować? A może Henri w ten perfidny sposób chciał ją nakłonić do małżeństwa? Ianie zrobiło się

ogromnie przykro, że Jehan nieświadomie pozwoliła się wciągnąć w jego machinacje.

- Jehan - zaczęła - może na początek powinnam ci wytłumaczyć, ja i Henri nie planowaliśmy wcale...

- Ty na pewno nic nie planowałaś! To Henri wyskoczył z tym wariackim pomysłem, żeby cię wreszcie dostać. Nie zasypiał gruszek w popiele. Zmusił twój brata do zgody - paplała zdenerwowana Jehan.

- Poczekaj chwilę. Nie mogę w to uwierzyć. Powiedział o tym Newellowi?

- Aleś ty głupia! Przecież nie o tym. Nie powinnam nic mówić, ale nie wytrzymam. Twój brat dał zgodę na to, aby Henri i sir Ambrose stoczyli pojedynek. Ten, kto zostanie zwycięzcą, weźmie cię za żonę - oznajmiła Jehan.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła Iana . - To nie moja wina, że Newell tu się szarogęsi. Z początku oferował mnie sir Ambrose'owi, niczym, nie przymierzając, jakąś klacz na targu, a teraz mam być nagrodą dla zwycięzcy? Sama nie wiem, co gorsze.

- Któryś z nich może zginąć! - wybuchnęła Jehan ze łzami w oczach. - Przecież wiesz o tym. Niech diabli wezmą wszystkich rycerzy, razem z tym całym ich honorem! - zaszlochała.

Iana wzięła Jehan za rękę i posadziła przy kominku.

- Usiądź tutaj. Pomyślmy razem, co możemy zrobić w tej sprawie.

- Nic! Nic już nie można zrobić! - zawodziła Jehan.
- Słyszałam przez drzwi ich rozmowę. Są niczym dzieci, traktują pojedynek jak zawody. Szkoci przeciwko Francu-

zom! Z piękną nagrodą na koniec. Nie myśl sobie, że nic nie jesteś warta. Staniesz się cennym łupem, Iana zakłęła pod nosem.

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to myślę, że co najmniej trzech z nich ma niedobrze w głowie. Muszę ich jakoś powstrzymać.

- Na to chyba jest za późno - powiedziała Jehan z westchnieniem.

- Ja i tak już więcej nie stanę przed ołtarzem - zapewniła ją Iana . - Kiedy to się skończy, na pewno ci dadzą Ambrose'a. Kochasz go, prawda?

Jehan nie odpowiedziała.

- Tak czy nie? - zapytała jeszcze raz Iana .

- Tak... sędzę. Nigdy nikogo przedtem nie kochałam, skąd więc mam wiedzieć, jak to jest naprawdę?

Iana oparła dłonie na kolanach i zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Niech pomyślę. Podziwiałaś go i obserwowałaś pilnie, a więc zapewne wiesz, jak zachowuje się wobec ciebie i innych kobiet, jaki jest wobec przyjaciół.

- Tak, tak. Co dalej? - spytała niecierpliwie Jehan.

Dziwne wydało się Ianie, że to ona udziela takich porad. Jeszcze dziwniejsze, że ktoś słuchał jej z uwagą.

- Czujesz, że chce się tobą opiekować - ciągnęła zamyślonym tonem. - Pragnie, żeby ci zawsze było dobrze. Ty sama także dbasz o niego, co widać choćby po tym, że tak się boisz o wynik pojedynku.

- Tak, tak. Co jeszcze?

- Powinnaś odczuwać miły dreszcz podniecenia, kiedy

twój ukochany dotyka cię lub całuje. To cudowne uczucie. Jesteś ciekawa, co będzie dalej.

Westchnęła, bo tak świeże były jej wspomnienia niedawnych szczęśliwych chwil, które przeżyła z Henrim.

- A jak to będzie dzielić z nim łóżce? - dopytywała się niecierpliwie Jehan. - Już marzę o tym. Zaproponowałabym mu to od razu, ale się bałam, że być może honor mu nie pozwoli.

Urwała nagle i zaczerwieniła się po korzonki włosów.

- Wcale nie chciałam przez to powiedzieć, że Henri nie ma honoru - wyjąkała. - Po prostu Ambrose...

Iana roześmiała się.

- Dobrze wiem, co masz na myśli - uspokoiła ją. - Moim zdaniem o wiele więcej by osiągnął w życiu, gdyby miał nieco mniej honoru, a więcej sprytu.

Jehan odruchowo zaczęła go bronić, ale zaraz zrezygnowała.

- Ten biedak jest za mało giętki i za wysoko mierzy - przyznała. - Trzeba mu kogoś, kto ma więcej zdrowego rozsądku. Pod moją ręką na pewno się ustakuje.

- Zatem go kochasz - powiedziała Iana.

- Tak jak ty kochasz sir Gilleta - wypaliła Jehan.

Iana zaprzeczyła krótkim ruchem głowy.

- Nie, ja...

- To przecież jasne, że go kochasz! - wpadła jej w słowo Jehan. - Gdybyś go nie kochała, to nie mogłabyś mi dawać świątłych porad o miłości. Oszukuj samą siebie, jeśli musisz, ale nie próbuj mnie okłamywać. Od razu widać, że go miłujesz i że powinnaś za niego

wyść. Potajemne małżeństwo jest tak samo legalne jak jawne. Na dobrą sprawę trzeba wam tylko mnicha albo księdza - zapalała się coraz bardziej. - Nawet nie musi być obecny podczas całej ceremonii. Wiem o tym, bo mój ojciec sam został mnichem, więc powiedz tylko, a go poproszę.

- Nie, nie, nie! - zawołała Iana . - Nie wyjdę za mąż za nikogo! Na litość boską, dlaczego nikt tego nie rozumie?!

- Bo to po prostu nienormalne - stwierdziła Jehan.

Wygladziła spódnice na kolanach i tupnęła obcasem w podłogę.

- Nienormalne - powtórzyła, akcentując każdą zgłoskę.

- Moja droga - westchnęła Iana - lepiej posłuchaj dobrej rady. Mówię ci to jako osoba mocno doświadczona. Zobaczysz, jak to jest, gdy mężczyzna ma nad tobą władzę.

Jehan spojrzała na nią ze współczuciem.

- Czy to naprawdę było takie straszne? - spytała. - Bałaś się? Twój mąż był aż takim brutalem?

Iana uśmiechnęła się smutno.

- Owszem, ale teraz jestem wolna. Nie muszę kłaniać się mężczyznom. Nigdy nie będę tego robić! - dodała z mocą. - Przekonasz się!

- No to idź do nich i powiedz im, że to nie ma najmniejszego sensu, aby szli na ubitą ziemię i robili użytek z mieczy.

- Zaraz tam pójde. Wygarne im prosto w oczy, co o tym wszystkim myślę - zapewniła ją Iana .

- Zanim to zrobisz, popraw suknię i przyczeszesz włosy - poradziła jej Jehan. - Chyba nie pragniesz, by twój brat zapytał, co też zrobiłaś, by doprowadzić się do takiego stanu? Bo jak trochę pomyśli, to zaraz wyda cię za mąż.

Scan-dalouis

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Iana zastała lady Mairi, lorda Roberta, Everanda i dzieci zgromadzonych wokół kominka w wielkiej sali. Jedna z młodszych pokojówek siedziała na podłodze i bawiła się z Thomasiną.

- Gdzie jest sir Henri? - spytała Iana .

- Pojechał do Trouville - odpowiedział sir Robert i znów wpatrzył się w ogień.

Był chyba bardzo niespokojny, bo nawet nie zauważył, że bliźniacy zaczęli wiązać w grube supły sznurowadła jego skórzanych butów. Będzie miał małą niespodziankę, kiedy wstanie i nie zdoła zrobić ani jednego kroku, pomyślała Iana .

- Kiedy wróci? - Iana zwróciła się do Mairi, która miała niezwykle dla niej wyraz smutku na pięknej twarzy.

- Może dziś wieczór, a może jutro rano - odparła kasztelanka z niepokojem w głosie. - Pojechał powiadomić ojca o jutrzejszym pojedynku.

Iana wyprostowała się dumnie. Postanowiła nie rozpaczać, choć miała poczucie winy.

- To głupi pomysł - powiedziała. - Trzeba z tym coś zrobić. Muszę zapobiec walce. Mój brat jest gdzieś w pobliżu czy udał się już na spoczynek?

- Nie, sir Ambrose zabrał go na plac ćwiczeń. Zamie-

rzają poćwiczyć i zaplanować strategię walki- odparta Mairi.

Everand wstał ze swojego miejsca przy kominku.

- Na twoim miejscu nie przeszkadzałbym im w tych przygotowaniach, pani. Wuj Newell nie byłby zadowolony.

- Wuj Newell? - zapytała Iana z niedowierzaniem.

- *Oui*. Ojciec mi powiedział, że po waszym ślubie twój brat będzie moim wujem. Długo o tym rozmawialiśmy. Ojciec nie ma przede mną tajemnic - odpowiedział Ev.

- Chciałabym usłyszeć tę waszą rozmowę.

Najwyraźniej Henri wciągnął chłopca w intrygę. Ev dotknął jej rękawa w geście pocieszenia.

- Muszę przyznać, że on ma rację. Będziesz dla mnie wspaniałą matką - mówił pompatycznym tonem. - Postanowiłem zatem, że na korzyść ojca wycofam się z konkurrów. Wierz mi, to doskonałe wyjście dla nas wszystkich. Mogę mówić do ciebie *maman*?

Ianie zawirowało w głowie. Postanowiła prędko opuścić zgromadzenie i poszukać Newella.

Kiedy wyszła na dwór, zobaczyła, że cały plac jest wypełniony obnażonymi do pasa mężczyznami, ćwiczącymi walkę na miecze. Między nimi byli Newell i sir Ambrose. Usiadła na schodach, mając cichą nadzieję, że ćwiczenia szybko się skończą. Po półgodzinie znużyło ją siedzenie i oglądanie męskich zabaw. Ktoś mógłby pomyśleć, że szykują się na wojnę, a nie na pojedynek między zaledwie dwoma rycerzami.

Iana starała się odgonić od siebie złe myśli, lecz nie było to takie łatwe. Henri i Ambrose mogli poważnie się

poranić. Jeden z nich mógł nawet zginąć. Słyszała wiele mrozących krew w żyłach opowieści o rycerskich turniejach, podczas których śmierć zbierała obfite żniwo. Padali nawet najlepiej wyszkoleni. Musiała zatem przekonać Newella, że pojedynek nie ma sensu. Wróciła do zamku.

- Mówiłaś z nim? - spytała Mairi.

- Nie, trudno mi się było przebić się przez gąszcz ostrych mieczy. Postanowiłam trochę poczekać.

Lord Robert wydawał się jeszcze bardziej nieobecny myślami, a dwaj bliźniacy siedzieli na końcu stołu, z twarzami zwróconymi do ściany. Iana żałowała, że nie widziała całego zdarzenia, za które teraz ponosili karę. Na pewno miało to coś wspólnego ze sznurowadłami.

Usiadła obok pokojówki i wyciągnęła ręce do Thomasiny.

- Jakaś ty dziś beztroska i szczęśliwa, moja mała - westchnęła.

- Ała - odpowiedziała Tam.

Uśmiech przybranej córeczki pozwolił odpędzić ponure myśli. Iana z nieukrywaną dumą patrzyła na Thomasinę. Dziewczynka niesłuchanie dojrzała podczas pobytu w Baincroft. Była wesoła, oczka jej błyszczały, stała się bardziej ruchliwa, no i zaczęła mówić,

Mimo to Iana się obawiała, że Thomasina nie będzie tak dobrze się rozwijać, jak inne dzieci. Tutaj wszyscy ją rozpieszczali, ale co potem?

Iana marzyła o tym, aby zostać w Baincroft jak najdłużej, ale nie jako żona sir Gilleta. Jeżeli nawet jakimś zrządzeniem losu wpędziłby ją w małżeńską pułapkę, to i tak mieli opuścić Szkocję i udać się do Francji.

Henri solennie mi obiecał, że sprowadzi do Thomasiny najlepszego lekarza z kontynentu, przypomniała sobie.

Nie byłoby zatem zwykłym samolubstwem, gdyby dla dobra dziecka skorzystała z takiej możliwości. A może raczej szukała pretekstu, żeby przystać na propozycję Henriego? Złość ją brała na siebie. Henri okazał się czułym i wprawnym kochankiem, ale niewykluczone, że jak ją będzie miał na każde zawołanie, to przestanie dbać o jej przyjemność. Taki był Duncan - przed ślubem obiecywał jej złote góry i prawił słodkie słówka tak długo, że prawie zapomniała, że została sprzedana niczym worek ziarna. A potem nastąpiło przykre przebudzenie w małżeńskiej łóżnicy.

Ale myliłby się ten, kto by sądził, że jej ustawiczna pogoń za wolnością i niechęć do męskich rządów była spowodowana wydarzeniami jednej jedynej nocy. Tu w grę wchodziło całe postępowanie Duncana. U zarania dorosłego życia Duncan zniszczył jej nadzieję na szczęście. Postanowiła sobie wówczas, że już nikt nigdy nie zmusi jej, by w imię „wyższych celów” zrezygnowała ze swojej godności.

Przez wszystkie lata, jakie spędziła w Ochney, nie widziała ani jednego szczęśliwego małżeństwa. Jej własny ojciec też nie był najlepszy dla matki, a Dorothea wciąż powtarzała, że Newell zmienił jej życie w piekło. Nie wiadomo, czy mówiła prawdę, wzięwszy pod uwagę to, czego Iana dowiedziała się od brata. W świetle jego słów Dorothea okazała się kłamczuchą i intrygantką.

A jednak istniał pewien wyjątek. Co prawda, odkryła go dopiero teraz.

Iana z ukosa popatrzyła na Mairi, która - podśpiewując pod nosem - cerowała rękaw kaftana lorda Roberta. Sądząc po wieku synów, mogli być mniej więcej pięć lat po ślubie. Jak to się stało, że do tej pory wyglądali na szczęśliwych? A może to głuchota Roberta spowodowała, że był uzależniony od swojej własnej żony i nie mógł jej traktować tak, jak inni mężczyźni zwykli postępować z kobietami?

Mairi skończyła szyć, uniosła głowę i napotkała wzrok Roberta. Wstali niemal równocześnie, przeprosili obecnych w komnacie i wyszli.

Iana mogła jedynie się domyślić, dlaczego o tej porze dnia udali się do sypialni. Zanim Henri pokazał jej, jaką przyjemnością może być zmysłowa miłość, zapewne ogarnęłyby ją współczucie dla nieszczęsnego losu Mairi. Teraz mogła jej tylko zazdrościć.

Everand podszedł do Iany i wziął Thomasinę na kolana.

- Mogę się zająć młodszą siostrą, jeśli masz jakieś inne zajęcie, pani.

- Siostrą? - spytała ze zdziwieniem. - Och, Ev, chyba naprawdę przykładasz zbyt dużą wagę do planów sir Gilleta. Ja i tak się za niego nie wydam. No, dobrze. Przynieś małą do mojej komnaty, kiedy już się znudzicie swoim towarzystwem.

Iana poszła do swojej komnaty i nie zdejmując sukni, rzuciła się na łożo. Wyglądało na to, że ani Newell, ani sir Ambrose nie dadzą się namówić na rezygnację z pojedynku. Pierwszy był na to zbyt uparty, a drugi po prostu za głupi. Zupełnie nie potrafiła zrozumieć, co Jehan widzi w tym rycerzu. Chyba że interesowała ją tylko zgrabna sylwetka i urodziwe rysy.

Duncan też kiedyś wydawał się przystojny mimo swojego wieku. Iana doszła do wniosku, że bardziej niż złe traktowanie obeszły ją zawiedzione nadzieje. Jej własny ojciec ją oszukał, obiecując szczęśliwe życie u boku męża. Podobnie Newell, któremu kiedyś, gdy była dzieckiem, wierzyła niemal bezgranicznie. A teraz Henri, na różne podstępne sposoby, starał się ją poskromić i podporządkować. Chciała mu uwierzyć i bolała nad tym, że dla niego jest gotowa zdradzić swoje ideały. Musiała jednak przyznać, że go bardzo kocha.

Henri nie wrócił ani wieczorem, ani w nocy. Iana spędziła ten czas sama, tylko z Thomasiną, rozmyślając, co można jeszcze zrobić, aby w porę zapobiec temu szaleństwu.

Newell wyraźnie jej unikał. Następnego ranka spotkała go pijącego piwo w słonecznej komnacie. Był sam, jeśli nie liczyć służby, przygotowującej stoły do wystawnego przyjęcia. Domyślała się, z jakiej to okazji.

Pojedynek miał się odbyć dzisiaj. Iana opuściła poranną mszę, ponieważ zbyt późno wstała. Prawdopodobnie wszyscy byli jeszcze w kaplicy, dlatego nie spotkała nikogo prócz brata. Posadziła sobie Thomasinę na biodrze i podeszła do niego, chcąc wreszcie doprowadzić do poważnej rozmowy.

Newell popatrzył na nią lekko zdziwionym wzrokiem.

- Świetnie wyglądasz. W czerwonym kolorze ci do twarzy, siostró. Myślę, że to może być nawet ślubna suknia. Brak ci będzie jedynie świeżych kwiatów we włosach, kiedy w progu pojawi się nagle oblubieniec. Dziecko tro-

chę psuje ten obraz, ale mówi się trudno - powiedział, łaskoczając Tam pod brodą.

Iana cofnęła się o kilka kroków. Była tak wściekła na Newella, że nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Złościła się też na siebie, że włożyła purpurową suknię, ale jej własna leżała w brudach, a ta, którą miała wczoraj na sobie, też była mocno wygnieciona i nieświeża.

Newell popatrzył na nią z zainteresowaniem. Na pewno zastanawiał się, dlaczego dwóch rycerzy postanowiło o nią walczyć.

Powiedziałabym mu dlaczego, pomyślała Iana. Jeden, bo prędzej by umarł, niż nie dotrzymał słowa, a drugi, bo nie chciałam zostać jego żoną. A poza tym, może naprawdę kocha mnie choć trochę?

Nie miała czasu na głupie rozmówki. Mimo narastającej złości opanowała się i przemówiła do brata spokojnym tonem.

- Posłuchaj mnie, Newell. Nie możesz dopuścić do pojedynku, który niczego nie zmieni, a może spowodować nieszczęście.

- To znaczy, że przyjmujesz oświadczyzny sir Ambrose'a?-spytał.

- Nie - odpowiedziała stanowczo. - Mówiłam ci już, że nic mnie nie skłoni do zmiany zdania.

- Tak, tak, słyszałem. Rozumiem, że nie chcesz wyjść za męża. Nie będę się temu sprzeciwiał.

- Och, Newell! Zgadzasz się ze mną?!

- Temu, kto wygra, oddam cię pod kuratelę i niech robi z tobą, co zechce. Otrzyma wszystkie dochody z twojej ziemi jako zapłatę za opiekę.

- Z ziemi? Z jakiej ziemi?

Przecież nie miała nic oprócz tego, co przywiozła tutaj ze sobą z Whitethistle.

- Z twojej ziemi, która ci się należała po śmierci Duncana i którą sir Ambrose odbił synom twojego zmarłego męża. Przynajmniej za to powinnaś być mu wdzięczna. Poza tym jestem już trochę zmęczony ustawiczną troską o ciebie. Żyj sobie swoim własnym życiem. Jeśli pozwolę, żebyś wróciła teraz ze mną do domu, to Dorothea znów się na mnie uweźmie.

- Co to ma znaczyć?

Zaczerwienił się jak piwonia.

- Chyba się boi, że chcesz przejąć rolę lady Ochney.

- Nigdy tego nie chciałam! - krzyknęła Iana . - To wierutne i obrzydliwe kłamstwo!

Newell przycisnął rękę do czoła.

- Wszystko mi jedno. Jest moją żoną i muszę jakoś utrzymać spokój w domu. Ci dwaj, Gillet i Ambrose, w sam raz pasują do ciebie. Ten, kto wygra, zostanie twoim prawnym opiekunem, a ja nareszcie uwolnię się od kłopotów.

Iana wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Dobrze, poddaję się. Wybieram sir Gilleta na męża. Wyjdę za niego, tylko zaraz odwołaj ten pojedynek! Zrób coś, żeby powstrzymać to wariactwo.

Newell popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Nie - rzekł. - Nic z tego. Gdybyś wybrała Ambrose'a, to pewnie mógłbym się na to zgodzić, bo on ma pełne prawo do ciebie, tak jak to było wcześniej ułożone. Pozwalam, aby Gillet walczył, bo chciałbym, abyś się zorien-

towała, czy naprawdę tak ci zależy na nim, jak jemu zależy na tobie. Wprost przyznał, że cię kocha. Ale jest dla mnie obcy i...

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

Newell rozejrzał się i mówił dalej przyciszonym głosem.

- Iano, teraz to sprawa honoru, jedyne wyjście dla sir Ambrose'a. Gillet zwycięży go, bowiem wątpię, żeby Ambrose miał serce i zapał do tej walki. Poza tym, gdybym teraz odwołał pojedynek, wszyscy na zamku byliby zawiedzeni.

- Wcale nie wszyscy - zapewniła go stanowczym tonem.

Odwróciła się i poszła do kuchni. Nie chciała z nikim więcej rozmawiać.

Kurator. Iana potrząsnęła głową. Wdowa mogła mieć własną ziemię i zawiadywać nią, ale mówiąc szczerze, było to niemal niemożliwe bez fachowej męskiej pomocy. Synowie zmarłego męża znów zabraliby jej posiadłość, a zamek Ochney znajdował się zbyt daleko, by Newell ciągle mógł ją chronić.

Zacząła karmić Thomasinę i sama przy tym podjadała, bo porządnie zgłodniała.

- Przyjdiesz popatrzeć? - spytała Jehan, która w tej chwili weszła do kuchni. - Rob powiedział, że Henri właśnie przyjechał i że zaczną za jakąś godzinę. Wyglądał mi na zmartwionego.

- Lord Robert? Tak, zauważyłam to już wczoraj. Jak myślisz, czym się martwi? - zapytała Iana .

- Nie chce powiedzieć i to mnie najbardziej niepokoi. Na ogół nie miał nic przeciwko zabawom z mieczem. Kocha zawody i popisy męskiej siły.

- Może spytamy lady Mairi? - zaproponowała Iana . Mairi właśnie weszła do kuchni.

- Zaraz zaczną - oznajmiła. - Musicie tam iść obie.

- Ja na pewno - z westchnieniem powiedziała Iana . - Przecież będą chcieli, żeby trofeum było na widoku.

- Co zrobisz potem, już po walce? - spytała Jehan.

- Zwycięzcy złożę gratulację i będę mu życzyła wielu dobrych zbiorów. Mój brat powiedział, że ten, kto wygra, przejmie pod zarząd moją ziemię - odpowiedziała Iana , wciąż wściekła na Newella.

- Prawny opiekun nie może przejąć twoich włości - zapewniła ją Mairi.

- Lecz może dostać plony z ziemi, czyli wychodzi na to samo.

Po wyjściu na dwór zobaczyły tłum gapiów. Z daleka słychać było gwar podekscytowanych głosów.

Lord Robert opuścił resztę towarzystwa i podszedł do rycerzy. Wyglądał na strapionego. Zanim do nich dotarł, zaczął coś mówić na migi. Lady Mairi jęknęła, a Jehan krzyknęła:

- Nie!

- Co? Co się stało? - dopytywała się Iana , mocniej przytulając dziecko.

Mairi odwróciła się i złapała Ianę za rękę.

- Sir Ambrose chce, żeby to była prawdziwa walka. Henri myślał, że odegrają tylko małe przedstawienie, choćby z powodu Jehan. Ambrose jednak postanowił iść

na całego. Rob podejrzewał, że tak się stanie, a teraz już jest zupełnie pewny.

- Przecież Ambrose na pewno nie będzie walczył na śmierć i życie! - z rozpaczą zawołała Iana . - To byłby absurd! Nawet on nie może być aż tak głupi!

- Pomyśl raczej, że Henri jest na to zupełnie nieprzygotowany - westchnęła Mairi. - Jak zlekceważy przeciwnika, to może odnieść ciężką ranę.

- Powiedzcie mu to! Niech sir Robert go ostrzeże! Szybko zanim zaczną! - gorączkowała się Iana .

- Rob go ostrzegął, ale Henri mu nie uwierzył. Wciąż myśli, że Ambrose zamierza zrobić z pojedynku zabawę - powiedziała Mairi.

- No to może tak naprawdę będzie.

- Nie. Rob wie swoje. On zawsze wszystko wie najlepiej - wtrąciła Jehan.

Iana spojrzała na nią.

- To niemożliwe. Nikt nie może wiedzieć, co ktoś inny ma na myśli lub w sercu.

- Rob może. Potrafił to już w dzieciństwie.

- Lady Iano, proszę przesunąć się do przodu! - grzmiącym głosem zawołał Newell.

- Lordzie Newell, proszę iść do diabła! - odpowiedziała mu grzecznie Iana .

Mairi zabrała od niej dziecko, a lord Robert delikatnie ujął ją pod ramię i poprowadził w stronę placu. Tłum rozstąpił się przed nią, ale komentarze, które po trochu do niej docierały, nie były pochlebne. Wreszcie stanęła koło swego brata i z bliska zobaczyła obu rycerzy w pełnej gali.

Widać, że chcieli zrobić z tego wielkie widowisko. Henri ubrany był na czarno i srebrno - w rodowe barwy Trouville'ow. Pod kaftanem, sięgającym bioder, miał srebrzystą kolczugę. Polerowane nagolenniki błyszcząły w promieniach słońca. Wszystkie części jego zbroi wyglądały na zupełnie nowe.

Sir Ambrose też miał na sobie zbroję, a na niej - purpurową tunikę z herbem w kształcie jastrzębia. Jego solidna tarcza, której Iana nie widziała przedtem, sprawiała na widzach niemałe wrażenie.

Puklerz sir Gilleta wyglądał na nieco słabszy, nawet hełm sięgał mu tylko poniżej uszu, dość niebezpiecznie odsłaniając kark i szyję, podczas gdy hełm Ambrose'a zakrywał całą głowę, kark i część twarzy. Na szczęście, miecze mieli tej samej długości. Stalowe ostrza zabłyśły w słońcu.

- Henri, uważaj na siebie! Bądź ostrożny! -krzyknęła Iana .

Odwrócił się i napotkał jej smutne spojrzenie. Uniósł broń, uśmiechnął się, przytknął do ust rękojeść miecza i ucałował ją w rycerskim pozdrowieniu. Potem spokojnie popatrzył wokoło i z wdziękiem uklonił się zebranym. Następnie spojrzął na starego rycerza, który był sędzią w tej walce. Ten zaś głębokim głosem zaczął wyliczać warunki spotkania. Gwar stopniowo się uciszał.

- Walka będzie trwała aż do śmierci jednego z walczących, lecz może zostać przerwana wcześniej, gdy któryś z nich zacznie domagać się pardonu. Zwycięzca musi okazać łaskę zwyciężonemu, jeśli ten o nią poprosi, bo inaczej będzie musiał zapłacić karę.

Śmierć. Na to słowo oddech zamarł w piersi Iany i ugięły się pod nią kolana. Jeden z nich będzie musiał przyznać się do porażki lub zginąć! Ten twardogłowy du-reń, sir Ambrose, na pewno nie poprosi o litość, a Henri także się nie podda, dopóki w piersiach mu tchu starczy.

Poczuła nagle, że Newell łapie ją za łokieć.

- Nie myśl, siostró, że od razu muszą się pozabijać - rzekł. - To tylko taka stara formułka, której zazwyczaj każą wysłuchać wszystkim biorącym udział w turnieju.

- Jesteś tego pewny?

- Pochlebiasz sobie, moja droga - powiedział z nie-ukrywaną drwiną.

- Newell, zatrzymaj ich! - zawołała. - Bardzo cię proszę.

Sir Hamilton popatrzył na rycerzy.

- Za późno.

Sędzia podał komendę: „Zaczynać”. Szczęk stali zagłuszył wszystkie inne odgłosy.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Henri zadał pierwszy sztych. Dość łatwo odparował cięcie Ambrose'a. Odskoczył do tyłu, chroniąc się w ten sposób przed uderzeniem w kolana.

Zupełnie dobre posunięcie, pomyślał. Podziwiał zręczność i szybkość przeciwnika. Ciągłe krążyli wokół siebie, nawzajem usiłując odgadnąć swoje następne ruchy. Boże, jak ja to lubię! - pomyślał Henri. Jak bardzo tego mi brakowało!

Postąpił naprzód i wymierzył mieczem w sam środek ciała przeciwnika. Jego cios wprawdzie ześlizgnął się po tarczy, za to pchnięcie sir Ambrose'a dosięgło ramienia Gilleta.

Stal zazgrzytała o zbroję. Henri wzdrygnął się. Miecz mógł mu odciąć ramię. Ambrose użył o wiele większej siły, niż to było po cichu ustalone. Mógł mu połamać kości.

Zanim pomyślał, co się dzieje, Ambrose natarł znowu. Henri niezbyt dokładnie zablokował jego pchnięcie i machnął mieczem, jakby odganiał muchę, by nie dopuścić do następnego sztychu.

Co się stało? Ambrose tak dobrze grał swoją rolę czy chciał zwyciężyć? Wreszcie i Henri uderzył z całej siły.

Stal zadźwięczała o stal, aż się posypały iskry. Ambrose odpowiedział kolejnym uderzeniem, które o mało nie rozplatało tarczy sir Gilleta, i przygotował się do następnego ciosu. Wszyscy święci, pomyślał Henri, ten człowiek nigdy nie przestanie.

- Chcesz mieć nauczkę? - wyszeptał przez zaciśnięte zęby.

Odskoczył w bok, pochylił się i uderzył w nagolenniki Ambrose'a. Ten zwałił się na własną tarczę, która rozpekła się na dwie części. Henri odrzucił na bok swój puklerz, na znak uczciwej walki, czego na pewno nigdy by nie zrobił w ogniu bitwy. Prawdę mówiąc, nie był do końca pewien, czy w tej sytuacji jest jeszcze miejsce na jakąś kurtuazję.

Spokojnie czekał, aż Ambrose wstanie i upewni się, czy nie połamał sobie żadnych kości. Kolejny błąd, pomyślał z głębokim zniechęceniem, patrząc na napięte mięśnie rozwścieczonego przeciwnika. Zarazem nie chciał, żeby pojedynek zakończył się zbyt szybko.

Wziął głęboki oddech. Obaj naraz podnieśli miecze, dając tym sygnał, że wznowiają walkę.

- Nie! - usłyszał okrzyk Iany. - Dosyć!

Zaryzykował spojrzenie w jej stronę. Nagle Ambrose natarł na niego jak bezlitosny wiking, żądny krwi i chwały. Henri odskoczył, przyjąwszy cios na rękkojęść miecza. Zręcznym pchnięciem odrzucił Ambrose'a do tyłu - tak że dzieliła ich tylko długość ostrza. To już nie były żarty. Ten imbecyl wcale nie chciał stoczyć niezłej walki ku uciesze zebranych, a następnie się poddać. O wiele bardziej cenił honor niż miłość Jehan.

Henri wiedział, że musi zapanować nad sytuacją i wygrać - choćby dla dobra tego idioty, a także paru innych osób. Przypomniawszy sobie wszystkie lekcje szermierki i postanowił obrócić zamysły Ambrose'a na własną korzyść.

Jednak nie było to takie łatwe, gdyż sir Ambrose okazał się trudnym przeciwnikiem. Niemal dorównywał mu umiejętnościami. Walka ciągnęła się bez końca. Henri czuł, że ręce mu już mdleją od dźwigania miecza, a nogi drżą od długiej serii uników i podskoków.

Koniec pewnie nadejdzie wówczas, gdy jeden z nas padnie bez zmysłów na ziemię, pomyślał. Nagle ostrze Ambrose'a sięgnęło jego hełmu. Henri otrząsnął się po ciosie i doszedł do wniosku, że jedynym sposobem szybkiego zakończenia walki będzie potężny cios w to odwrócone wiadro, które nosił na głowie Ambrose.

Zaatakował z całej siły, lecz w tym samym momencie otrzymał cios w klatkę piersiową. Przez chwilę nie mógł złapać powietrza. Krzyk Iany odbił się echem w jego skroniach, czerwona suknia mignęła mu przed oczami, gdy padał na kolana.

Iana biegła w ich stronę.

- Zatrzymaj ją! - krzyknął Henri do Newella.

W desperackim odruchu uniósł miecz, aby zasłonić się od ciosu, zerwał się i przyskoczył do sir Ambrose'a. Ten szarpnął głową do tyłu, lecz koniec miecza Gilleta wbił mu się w hełm w okolicy oka i utkwiał tam, zaklinowany. Zebrani wydali głośny okrzyk nieklamanej grozy.

Henri wyrwał swoją broń z hełmu przeciwnika i wyjął mu miecz z ręki. Zaciskając zęby z bólu po ciosie w żebra, podniósł się na nogi.

Potrząsnął rycerzem.

- Mów! Jesteś ranny?

Rob podbiegł do nich i razem posadzili Ambrose'a. Hełm miał przekrzywiony na bok.

- Powiedz coś wreszcie, Ambrose! Odezwij się! Jesteś ranny?

- Nie - usłyszeli stłumioną odpowiedź - tylko ogłuszony. We łbie mi huczy jak w ulu.

Henri roześmiał się z ogromną ulgą i poprosił Roberta, żeby się odsunął. Przywołał następnie Newella, aby ten był świadkiem zakończenia walki. Brat Iany podszedł do nich, trzymając siostrę za rękę. Jego kroki dudniły po ubitej ziemi, przerywane odgłosem lekkich kroków Iany.

Henri czekał na klęczkach. Oddychał szybko i płytko, z ręką przyciśniętą do obolałego boku. Miał wrażenie, że coś mu rozrywa ciało. Chciał jednak dotrzeć w tej pozycji do samego końca, aż herold ogłosi wynik.

Newell i Iana stanęli tuż przy nich. Henri nateżył wszystkie siły i głośno krzyknął do siedzącego obok Ambrose'a, który ciągle miał przekreślony hełm na głowie i przez to był zupełnie ślepy.

- Panie, jesteś bezbronny i nic nie widzisz, bo hełm zasłania ci oczy! Zgadzasz się, żeby cię uznać za zwyciężonego?

Usłyszeli niezrozumiały pomruk.

- Głośniej, *mon ami* - zachęcał Henri, potrząsając jego ramieniem.

- Tak, poddaję się! - zabrzmiało o wiele wyraźniej.

- *Merci* - odpowiedział Henri, spoglądając na Newella. - Masz, co chciałeś, Hamilton.

Rob towarzyszył Ambrose'owi do domu. Newell popatrzył, jak jego przyjaciel opuszcza pole walki, a następnie zwrócił spojrzenie na sir Gilleta.

- Oto dar dla zwycięzcy - powiedział. - Jest twoja. Życzę ci z nią wiele radości.

Puścił rękę siostry i odszedł, chcąc dogonić Roberta i Ambrose'a.

Henri był ciekaw, co powie Iana, lecz ogarniała go coraz większa słabość. Wzrok mu się mącił. Wiedział tylko, że stoi, patrząc na niego.

- Jesteś ranny - szepnęła.

- *Oui* - przyznał słabym głosem - ale wygrałem. Mam ciebie.

Była jego. Powieki same mu się zamknęły i upadł na ziemię.

- Pomóżcie mi! - krzyknęła Iana i opadła na kolana przy rannym, podkładając mu dłonie pod głowę.

Natychmiast otoczyła ich służba. Everand przybiegł razem z nimi. Iana odsunęła się, aby bez przeszkód mogli podnieść Henriego. Następnie ostrożnie ponieśli go razem w stronę zamku. Byli tak tym przejęci, że nie zauważyli jeźdźców, którzy tłoczyli się na podjeździe. Zatrzymali się dopiero wówczas, gdy konie zablokowały im dalszą drogę.

Ludzie, niosący sir Gilleta, delikatnie złożyli go na ziemi, Iana ukłękła przy nim, pełna obaw, że jego rana jest znacznie poważniejsza, niż jej się wydawało. Henri otwo-

rzył oczy i nad jej ramieniem popatrzył na przyjezdnych. Lord Trouville szybko zsiadł z konia i pochylił się nad synem.

- *Pourquoi, est-ce que vous ne nous avez pas attendus, Henri?* - spytał ze złością i niepokojem. - *Tu es endommagé?*

- To tylko małe zadrapanie - odpowiedział Henri i skrzywił się niemożliwie.

Po chwili uspokajająco popatrzył na Ianę i znów zwrócił wzrok na ojca.

- Nie czekałem na ciebie, bo bałem się, że zechcesz mnie powstrzymać.

Trouville podniósł Ianę i kazał ludziom ponieść swego syna, ten jednak poprosił, żeby mu podano rękę. Chciał iść sam. Ojciec chwycił go za obie dłonie. Henri, nie zginając się w pasie, z jękiem stanął na nogach.

- *Merci.*

- Nie dziękuj mi, synu - ostrzegł go Trouville. - Możesz mieć więcej zadrapań, niż ci się wydaje. Zaprowadźcie go zaraz do środka - polecił towarzyszącym mu zbrojnym.

Pomogli Henriemu pokonać schody. Hrabia i Iana szli nieco z tyłu.

- Oczywiście wygrał - stwierdził Trouville.

- Nie było to wprawdzie łatwe, ale tak, wygrał, *mon-sieur le comte* - odpowiedziała Iana .

- Pewnie sprawiło ci przyjemność, że dwóch rycerzy tak cię pragnie - rzekł niezbyt przyjaźnie.

- Nic podobnego! - zaprotestowała urażonym tonem. - Wręcz przeciwnie, zrobiłam wszystko, żeby zapobiec walce. Proszę spytać mojego brata. W przypły-

wie desperacji nawet zgodziłam się wyjść za mąż za sir Gilleta.

- I już jesteś gotowa do ślubu? - indagował dalej.

Roześmiała się.

- Nie. Newell zamiast męża zaoferował mi prawnego opiekuna.

Byli już w środku. Przez drzwi wielkiej sali zobaczyli, że Henri jest ostrożnie sadzany na wyłożonym poduszkami fotelu sir Roberta.

- Meg, idź i sprawdź, jak on się naprawdę czuje, Iana dopiero teraz spostrzegła trzy kobiety, które podążały trop w trop za nimi. Stały tuż koło lady Mairi, która właśnie oddała Thomasinę jednej z pokojówek. Starsza niewiasta, skromniej ubrana od pozostałych, skinęła głową na polecenie hrabiego i szybko weszła do komnaty.

Iana chciała iść za nią, ale Trouville chwycił ją za ramię.

- Zostaniesz tutaj, dopóki lady Margaret nie obejrzy jego obrażeń. A teraz poznaj moją hrabinę, lady Anne i naszą córkę Alys. To jest nasza nowa protegowana, Iana baronowa Duncan.

- Moje panie. - Iana wykonała niedbały dyg, myślami wciąż będąc przy Henrim. - Czy ta kobieta to znachorka? - spytała.

- Najlepsza, jaką znamy - odpowiedziała hrabina.

Iana uspokoiła się trochę, chociaż wołała, żeby Henri nie był leczony przez kogoś innego.

- Bardzo przepraszam, ale chciałabym asystować przy tym badaniu.

- Nie - stanowczo powiedział Trouville. - Henri musi być rozebrany ze swojej zbroi i bielizny, aby można było zobaczyć ranę. Twoja obecność byłaby tam nie na miejscu, pani.

- Nie na miejscu? Zajmowałam się nim, i to z dobrym skutkiem! Wiesz o tym, panie. Wolałbyś, żebym raczej mu pozwoliła umrzeć, niż zachowała się niewłaściwie? - zapytała Iana .

Przygwoździł ją wzrokiem.

- Wtedy to było podyktowane względami konieczności. Teraz nie jest.

- Proszę, abyś mnie zrozumiał, panie. Chcę go zobaczyć, bo czuję się za niego odpowiedzialna.

Nie zmienił swojej nachmurzonej miny.

- Tak, moja droga. Święte słowa. Jesteś zań odpowiedzialna.

Powiedziawszy to, odwrócił się i sam poszedł do ranego syna. Zamknął za sobą drzwi komnaty.

- Musisz mu wybaczyć - powiedziała hrabina z kojącym uśmiechem. - Kocha swoje dzieci i jest bardzo oddany Henriemu. Najważniejsze dla niego to dobro następcy.

- Tak, wiem o tym - westchnęła Iana . - Gdy był tu poprzednio, był mi ogromnie wdzięczny za to, że mu ocaliłam syna, a teraz pała do mnie nienawiścią, bo uważa, że to z mojej winy doszło do dzisiejszej walki.

- Nienawiścią? - powtórzyła ze śmiechem lady Alys.
- Nie, tato cię wręcz podziwia, pani. Sam nam o tym powiedział.

- To prawda - przytaknęła hrabina. - Może najwyżej

czuje żal, że jakaś niewiasta mogła odrzucić zaloty jego ukochanego syna.

Iana potrząsnęła głową.

- Tutaj nie chodzi o sir Henriego - wyjaśniła. - Nie chcę żadnego męża.

- Wiem. Kiedyś myślałam to samo o Edwardzie. Ale zastanów się przez chwilę, Iano. Henri będzie leżał w sąsiednim pokoju, lecz ty nie będziesz mogła się nim opiekować. Jeśli w przyszłości zostanie ranny, nawet nie będziesz o tym wiedziała. Czy to cię nie martwi? Czy w ogóle ci na nim zależy? - spytała hrabina.

Iana wiedziała już, że pokochała Henriego. Przypomniała sobie, jak bliski śmierci był wtedy, kiedy go poznała. Jak bardzo dziś się obawiała, kiedy bez czucia zwałił się na ziemię. Wciąż dręczył ją niepokój, choć już wiedziała, że nie został ciężko ranny.

Lady Anne ma rację, przyznała w duchu. W przyszłości mogą nawet nie wiedzieć, czy jest zdrow, czy chory, czy może zginął gdzieś na wojnie.

Nawet nie chciała o tym myśleć.

Mairi podeszła do niej i powiedziała:

- Chodź z nami, napijesz się wina i zjesz coś.

We cztery dołączyły do pozostałych. Everand podbiegł do nich, skłonił się i oznajmił z uśmiechem:

- Ojciec przysłał mnie tu, bym was zapewnił, że nic mu nie jest i że będzie mógł wziąć udział w przyjęciu, a lady Margaret powiedziała, że może nawet tańczyć.

- Jakim przyjęciu? Dlaczego nikt mnie nie poinformował, że w moim zamku ma być jakaś uczta? - z udawanym zdziwieniem zapytała Mairi.

Pozostałe damy zaśmiały się wesoło. Iana bez trudu mogła zauważyć, że humor znacznie im się poprawił. Ona sama omal nie uklękła, żeby podziękować Bogu. Poczucie ulgi i wspomnienie wspólnie przeżytego szczęścia zmniejszyły jej pragnienie swobody i niezależności. Jednak w dalszym ciągu nie zamierzała się poddać. Na pewno nie na tych warunkach.

scan-dalouis

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Iana zniosła Thomasinę do dziecięcego pokoju i zostawiła pod opieką niani bliźniaków i dwóch pokojówek. Kiedy tylko wróciła na dół, chciała wejść do komnaty, w której przebywał Henri. Nie wpuszczono jej tam, mówiąc, że sir Gillet właśnie teraz się kąpie.

- Zostaw go wreszcie w spokoju, troskliwa opiekunko! - zawołała do niej Mairi. - Chodź lepiej do nas. Musimy odbyć małą naradę wojenną.

- Wojna? - zapytała ze śmiechem Iana. - A któż to tym razem ma zamiar walczyć?

Oczy Jehan rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Jak to kto? Mężczyźni. A któż by inny?

Przysunęła się bliżej do Iany.

- Duma Ambrose'a została nadwerżona i biedak chowa się w pomieszczeniach dla straży zamkowej - szepnęła. - Dałam mu znać, że wieczorem odbędzie się przyjęcie, na które ma przyjść, jeśli nie chce, żeby go tu dostarczono związanego jak kapłona. Przy okazji dowiedziałam się jednak, że chciał dziś wyjechać.

- Idę o zakład, że to zrobi - powiedziała Iana. - Nie pójdziesz go pożegnać?

Jehan przecząco pokręciła głową.

- Nie uda mu się, bo schowałam siodło, a bez niego nigdzie się nie ruszy.

- Niemożliwe!

- Naprawdę tak zrobiłam! Najpierw chciałam ukryć jego konia, lecz paskudne zwierzę nie dało się nawet dotknąć. Tak je wytresował.

Lady Anne podeszła do Iany i wzięła ją za rękę.

- Henri czuje się zupełnie dobrze. Hrabia powiedział nam o tym, kiedy byłeś w dziecięcym pokoju.

Iana uśmiechnęła się.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny za to zamieszanie, którego byłam powodem.

- Nonsens.

- Mam nadzieję, że sir Henri jest teraz oficjalnie moim opiekunem?

- Nawet kimś więcej - wtrąciła się lady Alys. - Chce być twoim mężem.

- Jest w tobie bardzo zakochany. Rob to potwierdził i powiedział, że ty także kochasz Henriego - dodała lady Anne.

- To nie miłość jest tu problemem - powiedziała Iana. Mairi klasnęła w dłonie.

- Mamy zatem więcej powodów do świętowania niż zakończony szczęśliwie pojedynek! Czekają nas zaręczyny.

- Podwójne zaręczyny - poprawiła Jehan z chytrym wyrazem twarzy.

- Pojedyncze - poprawiła ją Iana - Chyba że...

Wśród zebranych zaległa cisza. Wszyscy czekali na wytłumaczenie ostatnich słów Iany.

- Nie wyjdę za sir Gilleta, chyba że spełni moje warunki - oznajmiła.

- Jakie warunki ? Możesz powiedzieć nam coś więcej?
- spytała lady Anne.

- Odpowiem na to pytanie przy Henrim. Tak będzie najuczciwiej - odparła Iana .

- Ona ma rację. Henri pierwszy powinien je usłyszeć, ale będzie lepiej, jeśli ogłosisz je publicznie - dodała Mairi.

- Z upływem czasu pamięć mężczyzn staje się dość wybiórcza - zauważyła lady Anne. - Powiedz mi jednak, czy te warunki będą do spełnienia. Jesteś gotowa na kompromis? Powinnaś wiedzieć, że rozsądek i kompromis to dwie sprawy, które leżą u podstaw dobrego związku - dodała z uśmiechem.

- Popatrzcie, idzie sir Ambrose! - wykrzyknęła Mairi, wskazując na rycerza, który właśnie wszedł w towarzystwie Newella.

- Przyszedł zawrzeć pokój - zgadywała lady Anne.
- Albo szukać siodła - dodała szeptem Jehan.
- Wyjdiesz za niego? - spytała Alys.
- Oczywiście, jak tylko minie mu zły humor - odpowiedziała Jehan.

Podczas gdy panie rozpoczęły rozmowy na temat przygotowań do przyjęcia, Iana zastanawiała się nad uwagą wygłoszoną przez lady Anne. W tym co mówiła, było wiele sensu. Iana nie знаła mężczyzn zdolnych do kompromisu, ale podczas wspólnej wędrowki Henri słuchał jej uwag i wskazówek. Kiedy chodziło o coś ważnego, z łatwością dochodzili do porozumienia. Na pewno zależało mu na niej, tak jak jej zależało na nim.

Miłość to nie największy problem -jak to przed chwilą powiedziała - ale te drobne codzienne sprawy. Była przekonana, że już niedługo się dowie, czy uda im się przystosować do wspólnego życia. Na razie sir Henri Gillet nigdy nie dał jej powodu, aby mu przestała ufać. Ale teraz stawał przed trudniejszą próbą. Musiał przy świadkach udowodnić Ianie, że chce, aby naprawdę została jego żoną.

Henri wraz z innymi mężczyznami czekał na damy. Było już grubo po południu. Jego niecierpliwość wzrosła, kiedy wśród przybyłych nie spostrzegł Iany. Czyżby właśnie przed nim się schowała?

Przestępując z nogi na nogę, popatrzył na ojca. Hrabia wydawał się bardzo zadowolony. Robert nagle uśmiechnął się radośnie i wskazał bratu oszalamiającą zjawę, która ukazała się właśnie na zakręcie schodów.

Iana wydawała się płynąć w powietrzu. Blask świec tworzył wokół niej świetlistą aureolę, sprawiał, że mieniła się brokatowa suknia, którą miała na sobie. Bursztynowy naszyjnik, zdobiący jej szyję, połyskiwał złotem.

- Zamknij usta, młody człowieku.

Głos ojca wytrącił Henriego z transu. Podeszedł do Iany i dwornie podał jej rękę.

Czyż ta wieczerza nigdy się nie skończy? Henri nie miał apetytu. Na stół podawane były kolejne dania, a on nie mógł się wprost doczekać, kiedy wreszcie będzie można wstać od stołu.

Honorowymi gośćmi byli jego rodzice, siedzący u szczytu stołu. Robert i Mairi zajęli miejsca na lewo od

nich, obok Jehan i Ambrose'a. Newell siedział na prawo od hrabiostwa, a przy nim Iana i Henri, na którym ciążył dodatkowy obowiązek rozmowy z siedzącą po jego drugiej stronie Alys. Obok niej zajmowali miejsca ojciec Jehan, Michael, i jego małżonka, lady Meg.

Pomniejsi goście tłoczyli się przy długich stołach, również uginających się pod obfitością wyśmienitego jada; Sir Robert znany był z tego, że przy różnych uroczystościach nie oszczędzał na jedzeniu. Kucharz, przyzwyczajony do gustów swego pana, użył całego kunsztu, aby nikt z biesiadników nie czuł się pokrzywdzony. A że wśród gości byli cudzoziemcy, oprócz tradycyjnych szkockich potraw, służba podała na stół wiele smakołyków przywiezionych z obcych stron i chowanych w spiżarni na specjalną okazję.

Francuzi, w przeciwieństwie do szkockich górali, lubowali się w zbytkach, choć na co dzień zachowywali wstrzeźliwość. Lubili dobre jado, ale bardziej chodziło im o smak delikatnych potraw niż o obżarstwo. Nawet więc przy suto zastawionych stołach posilali się dość umiarkowanie. Hrabia Trouville, choć sam spędził w Szkocji wiele, długich lat, nie stanowił pod tym względem wyjątku.

Sir Robert, Szkot z krwi i kości, lubiący dobrą kuchnię, zachowywał przy stole nienaganne maniery. Nieraz zdarzało się, że inne nacje zarzucały ludom północy żarłoczność i pijaństwo - a co za tym idzie, skłonność do bitki. W zamku Baincroft, chociaż bawiono się do upadłego, zbrojna straż, czuwająca nad bezpieczeństwem gości, praktycznie nie miała nic do roboty. Żaden przykry incy-

dent nie przeszkodził licznie zebranych biesiadnikom radość się z dzisiejszego triumfu młodego rycerza.

Służba, prócz mięsów różnego rodzaju, podała także kołaczki i ciasta, które zazwyczaj ukazywały się tylko na stołach najwyższych rangą parów królestwa. Już to świadczyło o niemałym znaczeniu, jakim cieszył się ród Trouville'ów wśród innych rodów.

Do picia nie brakowało najprzedniejszych trunków, zarówno francuskiego wina, jak i szkockiego piwa.

Henri, nałożywszy potrawy na talerz siostry, co należało do obyczaju, szybko odwrócił się do Iany, ta jednak była zajęta cichą rozmową z bratem. Grajkowie umilali ucztę skocznymi melodiami. Wreszcie podano na stół orzechy, owoce i sery - przyjęcie miało się ku końcowi.

- Henri - zabrał głos hrabia - wypijmy ten kolejny puchar za twoje dzisiejsze zwycięstwo. Wznoszę też toast za twojego dzielnego przeciwnika, sir Ambrose'a Sturrocka.

Trouville wstał i czekał, aż wszyscy pójdą w jego ślady. Zebrani hurmem zerwali się z miejsc i z głośnymi okrzykami wypili za zdrowie obu rycerzy.

Sir Ambrose bez urazy przepił do swojego niedawnego rywala i przeciwnika.

- Za zdrowie zwycięzcy, sir Henriego Gilleta de Trouville'a! - zawołał.

Henri kiwnął głową i przepił do Ambrose'a.

- Los dzisiaj ujął sprawy w swoje ręce, lecz nie mogę powiedzieć, że jestem lepszy od ciebie we władaniu mieczem, panie - powiedział donośnie i w jego ustach nie była to wyłącznie czcza kurtuazja. - Zwyciężyłem. To pra-

wda, ale w tym przypadku był to tylko uśmiech fortuny, czyli zwykły łut szczęścia. Obym już nigdy nie spotkał przeciwnika o tak wielkich umiejętnościach.

Znów wypili.

Teraz Henri spojrzał na Michaela, potem na Newella, a w końcu na Ianę. Wziął ją za rękę. Publiczne formalności nie były mu miłe, wołałby, aby to wszystko się odbyło w bardziej prywatnej atmosferze.

- Milady, błagam cię, abyś wysłuchała prośby biednego rycerza. Jeśli mnie przyjmiesz, będę twoim mężem.

Jej piękne brwi uniosły się, jakby naprawdę była zaskoczona.

- Czy będziesz moją żoną, lady Iano? - dodał miękko.

Popatrzyła na zebranych dookoła.

- Mogę nią być.

- Możesz? - Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Czego, u licha, ona jeszcze się domaga?

Odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Panie, jeżeli przy zebranych tu świadkach zgodzisz się na moje warunki i przysięgniesz, że ich dotrzymasz aż do końca życia, to ja z kolei bez wahania zgodzę się być twoją żoną.

Henri poczuł, że wzbiera w nim gniew. Opanował się jednak, ciekaw, co będzie dalej. Jakie warunki mu postawi? A może zażąda zbyt wiele?

- Mów zatem, jakie są twoje żądania.

- Chcę ci przedstawić raczej moje trzy życzenia. Po pierwsze, musisz przysiąc, że nigdy mnie nie uderzysz, nie będziesz mnie więził ani głodził.

Henri odetchnął z głęboką ulgą.

- Przysięgam na moją duszę, bo i tak przecież wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił.

Mówiła dalej:

- Chcę mieć twoje słowo, że zamieszkamy w kraju, w którym się urodziłam, w Szkocji.

Serce w nim zamarło. Przecież dobrze wiedziała, że to niemożliwe! Miał obowiązki we Francji, nie mógł wyrzec się swej ojczyzny. Odchrząknął, pomyślał chwilę i tak powiedział:

- Wiem, że nie miałabyś zaufania do kogoś, kto w chwili próby porzuca swoich podwładnych, tak jak ja musiałbym to uczynić z moimi poddanymi we Francji. Chcę więc ci zaproponować odmienne rozwiązanie: spędzimy tam, co roku, tylko dziewięć miesięcy, a trzy miesiące w Szkocji, Czy zgadzasz się na to?

Nie odpowiedziała od razu, podniosła kubek z winem i wypiła łyk. Następnie kiwnęła głową i oznajmiła:

- Zgoda.

Mało nie usiadł z wrażenia.

- A twój ostatni warunek?

Wzruszyła lekko ramionami.

- Musisz mi obiecać, że nigdy nie będziesz kwestionować moich decyzji, że pozwolisz mi robić i mówić, co będę uważała za stosowne, i że nigdy nie będziesz mi niczego nakazywał.

Szmer zdziwienia rozległ się wśród zebranych. Wszyscy czekali na odpowiedź sir Gilleta.

Nie mógł powiedzieć po prostu „tak”, bo stałby się w oczach świadków jej pokornym sługą. Nie mógł też po-

wiedzieć „nie”, bo straciłby ją na zawsze. Wziął Ianę za drugą rękę i delikatnie ścisnął jej obie dłonie.

- Jak długo będę żył, przysięgam, że będę spełniał twoje życzenia. Będę traktował z pełną rozwagą twoje słowa i potrzeby. Tylko wówczas, kiedy znajdziesz się w niebezpieczeństwie, sam będę podejmował stosowne decyzje. Mam nadzieję, że mogę na to samo liczyć z twojej strony.

- Zatem kompromis, mój panie? - spytała Iana .

- Dzielmy odpowiedzialność we wszystkich ważnych sprawach. Bierz pod uwagę moje zdanie, tak jak ja będę brał twoje. Oddasz mi swoją rękę, Iano?

- Oddam - odpowiedziała.

Uściskał jej ręce i przyciągnął do siebie. Odwrócił się do księdza i patrzył, jak ten żegna ich znakiem krzyża.

- Stało się zatem, jesteśmy poślubieni - ogłosił sir Henri i ucałował mocno pannę młodą. Bojąc się, że Iana zacznie mieć pretensje o ślub z zaskoczenia, wziął ją na ręce i skierował się w stronę schodów, aby zanieść ją do swej komnaty.

- Teraz już jesteś moja, bez zaręczyn i bez czekania.

Uderzyła go pięścią w ramię.

- Jesteś straszliwie sprytny! - zawołała z udawaną złością. - Powinnam była to przewidzieć.

- Nie gniewasz się?

Pocałowała go w policzek.

- Żyję w Szkocji od urodzenia i nikt nie wie lepiej ode mnie, jak łatwo wpaść w małżeńskie jarzmo. Ksiądz był na miejscu, suta ucza, życzenia i błogosławieństwo. To ostatnie nawet niepotrzebne, ale cieszę się, że je otrzymaliśmy.

Henri popatrzył jej głęboko w oczy i powiedział:

- Nie traktuj małżeństwa jak jarzma. Wszak obiecałem ci równe prawa.

Otworzył nogą drzwi do swej sypialni, wszedł do środka i tak samo zamknął je za sobą. Iana podała mu usta do pocałunku, a gdy się skończył, powiedziała:

- Masz rację. To nie jarzmo i nie obowiązki, ale małżeńska rozkosz - westchnęła.

- Można to tak nazwać - odparł. - Naprawdę jestem bezgranicznie szczęśliwy. Jak nigdy dotąd'

- Dajesz się łatwo uszczęśliwić, mężu - powiedziała, wskazując na szerokie łóżce. - Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że nie będziemy korzystać z dobrodziejstwa zaślubin i nie sprawdzimy, czy twoje szczęście osiągnęło już właściwe rozmiary?

Henri na chwilę postawił ją na ziemi, zamknął za sobą drzwi na klucz i znów wzięwszy ją na ręce, położył na miękkim materacu.

- Czyż nie obiecywałem, że spełnię każdy twój kaprys? - odpowiedział pytaniem na pytanie

- Ten chyba spełnisz z przyjemnością - odparła, prowokacyjnie przesuwając palcem po jego piersi i dotykając suto zdobionej sprzączki, przytrzymującej jego pas z mieczem. Broń z cichym brzękiem upadła na podłogę. Henri położył się przy Ianie.

- Mówiłaś ciągle, że pragniesz wolności. Dlaczego teraz nie mamy być wolni razem? Jestem na twoje rozkazy.

- Oddaj mi swoje serce.

- Moje serce już zawsze będzie twoje, a dzisiaj czas na inne części ciała.

Usiadł, ściągnął tunikę i zaczął zdejmować resztę ubrania.

- Już dawno proszą, by ich użyć, ale nie jest to możliwe, dopóki masz na sobie tę drogocenną suknię.

- Pożyczyłam ją od Mairi. Naprawdę ci się podobała?

- *Mais oui*, jest urocza, moja droga.

Iana westchnęła cicho. Wreszcie spełniły się jej marzenia. Henri przesunął ręką po jej włosach.

- Jesteś niezmiernie piękna, Iano, ale to twoja słodycz i czystość twojej duszy jest tym, co mnie do ciebie przyciągnęło i wciąż mocno trzyma.

- Dziękuję, że przyjąłeś moje warunki, Henri. Na pewno cię nie zawiodę.

Pocałował ją lekko.

- Wiem o tym. Wszystko ci dziś obiecuję: zamki we Francji, góry skarbów. Proś, o co zechcesz, a będzie twoje.

Ze zdziwieniem zobaczył, że oczy jej błyszczą radośnie.

- Dziękuję ci bardzo, drogi mężu. Gdybym wiedziała, zażądałabym dużo więcej.

- Czego więc jeszcze sobie życzysz, moje serce?

- Och, zdrowia, szczęścia i niewypowiedzianej przyjemności.

- Obiecuję ci to, obiecuję. Och, byłbym zapomniiał, przecież jest taka przyjemność, na którą ciągle czekasz.

- Po chwili wziął ją w ramiona. - Już nie będziesz czekać.

EPILOG

W kajucie na statku „Ariadne” Iana zmrużyła oczy i przytuliła się do Henriego.

- Kiedy zawiniemy do portu? - zapytała, przeczesując mu palcami włosy.

- Stanowczo za szybko - odpowiedział ze śmiechem.

- Kapitan byłby głupi, gdyby naprawdę czekał, aż mu powiemy, że mamy dość pływania. Chyba już prędzej zestarelibyśmy się na morzu.

Iana skwitowała śmiechem jego słowa. Dwa dni na statku to za mało, żeby mogli naprawdę nacieszyć się swoją samotnością, której im brakowało podczas długiej podróży przez Francję. Wracali do domu po raz pierwszy po dziewięciu miesiącach, które minęły od dnia ich ślubu. Henri sumiennie wypełnił swoje obowiązki w ojczyźnie, więc z czystym sumieniem mógł pojechać z żoną na trzy obiecane miesiące do Szkocji.

Iana z niecierpliwością czekała na spotkania z dawnymi przyjaciółmi. Lady Anne pisała, że niedługo odbędzie się ślub Jehan z Ambrose'em, który już odziedziczył tytuł po swoim ojcu. Od Newella dowiedziała się, że Dorothea wstąpiła do klasztoru, a od Mairi, że bliźniaki spodziewają się wkrótce siostry lub brata. Mimo że była ogromnie ciekawa, co jeszcze dzieje się w jej rodzinnym kraju, doszła

do wniosku, że podróż z Henrim była jedną wielką przyjemnością.

- Nasze dzieci muszą się martwić, czy nie jesteśmy chorzy, bo tyle czasu spędzamy pod pokładem.

Henri uśmiechnął się.

- Everand bardzo lubi rolę niańki Thomasiny - powiedziała Iana .

- On jest raczej jej niewolnikiem, a ona zachowuje się tak, jakby była jego prawdziwą panią. Zupełnie jak pewna inna dama w naszej rodzinie.

- Tylko dlatego, że na to jej pozwalasz. - Iana zgodziła się ze śmiechem.

- Bardzo bym chciał, żeby Ev i Tam mogli mieć braci i siostry - powiedział smutno.

- Czyżbyś tak szybko się poddawał? A może jeszcze jeden wysilek?

- To nie jest śmieszne, Iano.

- Zatem się nie martw ani chwili dłużej! Miałam ci to powiedzieć w dniu twoich imienin, ale wygląda na to, że nie mogę dłużej zwlekać. Możesz poczekać jeszcze siedem miesięcy?

- Iano, czy ty...? - zapytał ze wzruszeniem.

- Tak, na pewno.

Przytulił ją do siebie i pocałował gorąco.

- Jestem taki szczęśliwy. Nigdy nie myślałem, że moje marzenie się spełni.

- A zatem dobrze, mój szczęśliwy chłopcze, ale nie myśl, że to cię zwalnia z twoich obowiązków.

- Nigdy nie domagałem się wolności, więc czego żądasz ode mnie? - spytał.

- Wszystkie moje dawne marzenia stały się rzeczywistością. W tej chwili myślę tylko o jednym.

I to marzenie zostało bezzwłocznie spełnione. Henri nie lubił odkładać niczego na później.

koniec

scan-dalouis